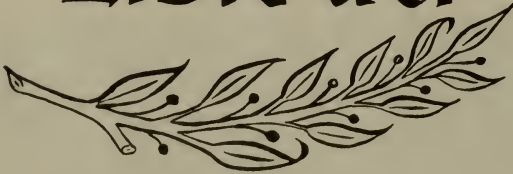
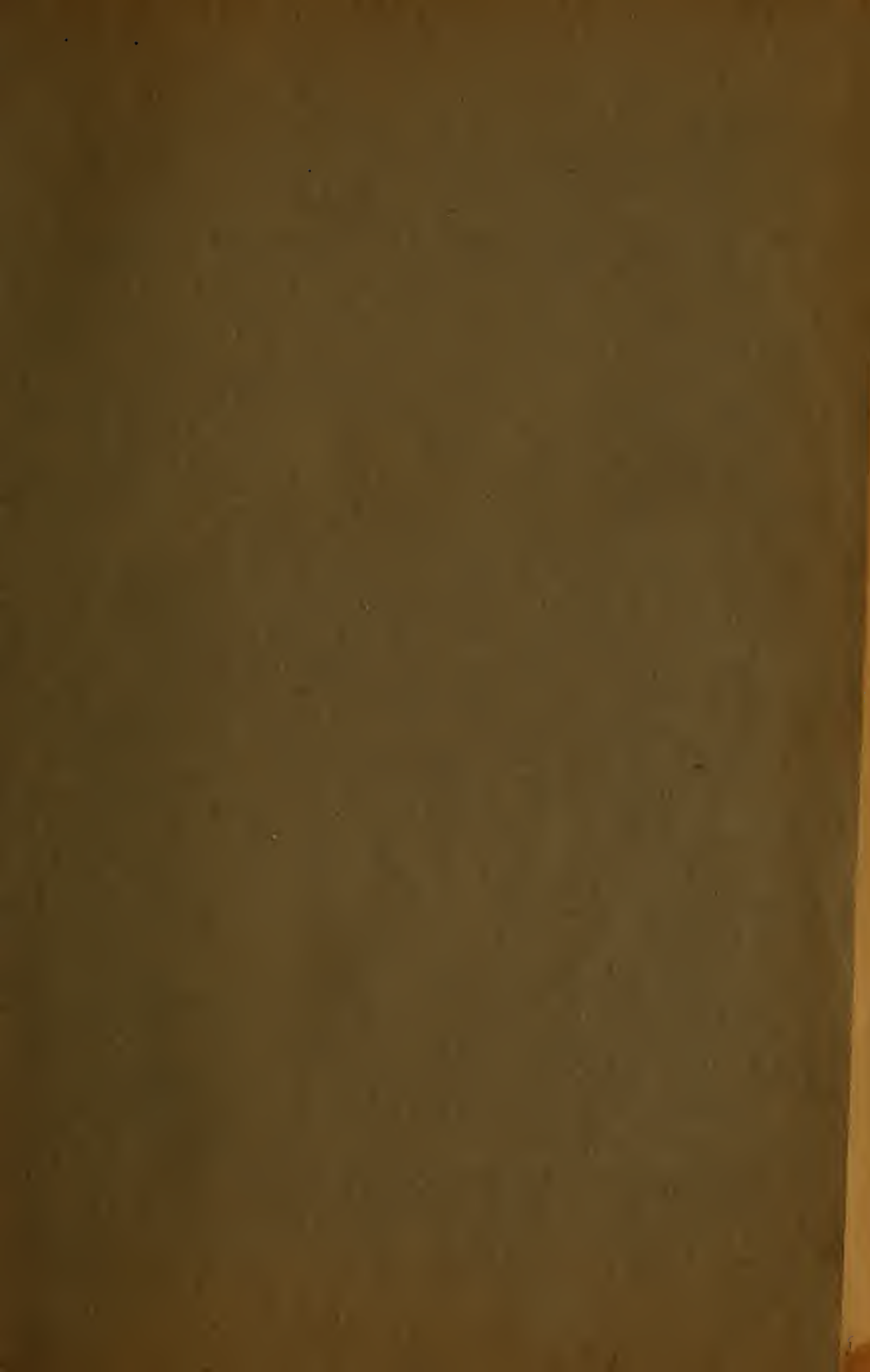
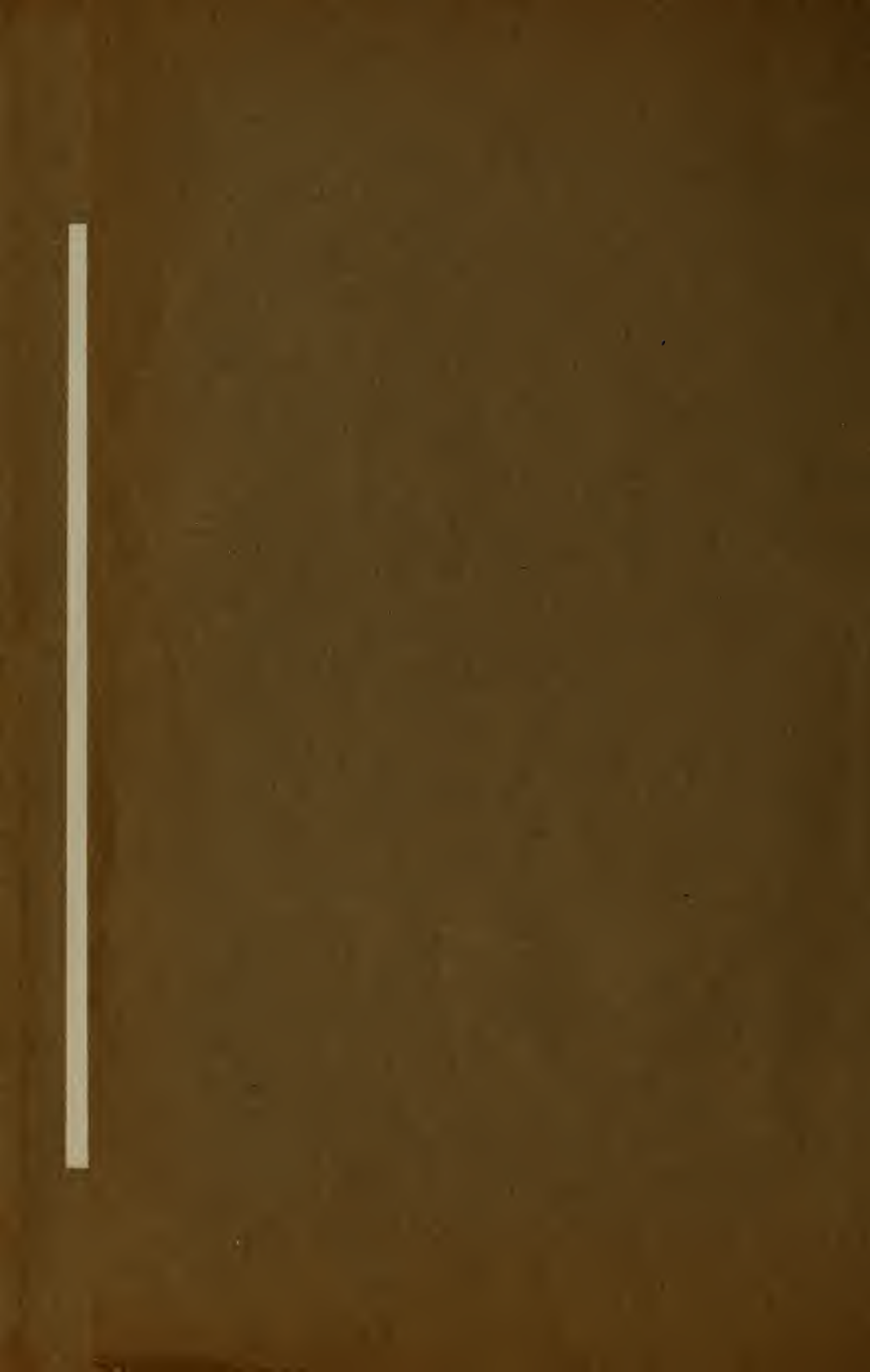


**BOSTON
PUBLIC
LIBRARY**







DUCISSA CUNEGUNDIS

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO :

U KSIĘŻNEJ PANI, wydanie szóste, Lwów-Poznań, 1922.

NA DWORZE KRÓLA STASIA, wydanie drugie, Lwów-Poznań,
1921.

W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA, Lwów, 1918 (wy-
czerpane).

ROMANS PRABABKI, wydanie drugie (w druku).

O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ, Lwów-Poznań, 1921.

SZAMBELANOWA Z WALEWIC, Lwów-Poznań, 1921.

KLASZTOR I KOBIETA, studjum z dziejów średniowiecza (w druku).

STANISŁAW WASYLEWSKI

DUCISSA CUNEGUNDIS

POWIEŚĆ Z WIEKU TRZYNASTEGO



Pol.

LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH

WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY ŚWIAT L. 69

KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, ULICA ŚW. ANNY L. 11

POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

WILNO, KSIĘGARNIA J. ZAWADZKIEGO, ULICA WIELKA 27

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

PG7158
.W27D8
1922X
RL

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
pod zarządem Józefa Ziemińskiego.



Gdy ją przez góry do Polski wieźli, płakała. Dawał jej Mikulasz soku hanyżowego wachać, nie pomógł. Więc przyniósł do kolaski kostek z drzewa bukszpanowego, iżby bawiąc się niemi poznawała litery, nie chciała. Wtuliła się w cwelichowe poduchny i skryta między swe dworki, zawodziła.

Pan Klimek Gryfit z panem Januszem, wojewodą, którzy ją zdrową dowieźć mieli do Krakowa, frasowali się bardzo, wszem wobec nie wiedzący jak do tej małej niewiastki gadać. Nie miała chudzinka wyżej dwunastu wiosen, a oni strachali się o nią więcej, niż o te bryki, srebrem i perłami ładowne, które z nimi jechały wespół. Wierę prawil im król Bela w Budzynie, żeby na dziewczkę baczny pozór mieli. Maluśka jest — powiadał — i nietęgich kosteczek, więc jej przed czasem nie kładźcie w łożnicę księciu swemu,

póki lat swoich dziewczyńskich nie dojdzie. I to jeszcze dołożył: Wolej mi było wienić ją jakiemu królu szanownemu, niżli tym panom Piastom krakowskim, ale niechta!...

Zaś pan Janusz wojewoda coraz łypał okiem na zawieszistą kolaskę. To z Mikulaszem ochmistrem księżniczki radził, to na pokładzie stawał, pozierając do wnętrza. A kiedy widział, że ta dziewczeczka smęci się i głośno skwirczy, czuchrał mocno swe gęste kędzierze, rozkazując dworcom, żeby ją ciszyły. Niechaj jej prawią albo o białej wodzie, nad którą gdy staną, ujrzą dworzyszczce śliczne i oprawne, albo o pawłokach księżny Grzymichy, jeszcze cieńszych niżli te, które są u pani Salomy. Prawiły, ale nie słuchała.

Więc może zbójców kosmatych stracha się, którzy po górach chodzą? Już chciał pan Klimek szarpać psami leśne ludzie przydrożne, albo i głowska im nawet ścinać, aliści dworki wyznały Mikulaszowi, gdy je dobrze nacisnął, że nie z przyczyny zbójców płacze Cunegundis, ani gór skalistych, jeno li z przyczyny jaszczurczego oka.

Jakieby to było jaszczurcze oko? — pytał zaraz ciekaw Klimek ochmistra Mikulasza. Lecz nie chciał wyznać. Więc go pan Klimek sfukał

bardzo, obiecując, że go dźgnie. Wtedy Mikulasz:

— *Sauros* — prawi — jaszczurka, *omma* oko się wyklada, zaś wyście są Sauromaci. Stąd nasza najmilsza księżniczka stracha się, nie wiedzący, żali może ten Bolko ma jaszczurcze ślepie.

Już go miał pan Klimek dźgnąć gdziekoli za te słówka jadowite, lecz z Boskiego wejrzenia ostał się. I tyle jeno burknął, że po pięci dniach, gdy z tych leśnych wertepów w doły zjadą, obaczy.

A wtedy Mikulasz pytał pana Klimka, dokądby jechali, czyli na krakowski dworzec czy do Sędomierza? A także na którym z tych zamków siedzi teraz pani Grzymicha z synkiem swoim Bolkiem, księciem krakowskim i sędomierskim? Pan Klimek nie rzekł nic, bo nie wiedział co rzec i zaciął się, mówiąc. Po prawdzie bowiem nie siedzieli oni ani w Krakowie ani w Sędomierzu, jeno w czystej puszczy i to ze strachem wielkim. Bo było tak... Po Leszku białym, co go w Gąsawicach zadusili, została pani Grzymicha z Bolkiem, który do księstwa krakowskiego najstarsze prawo miał. Ale ksiądz Konrad mazowiecki tego nie chciał, przeto, że zradnik nędzny i mięsa faleszny jest. Ciągle im przegróżki śle i z woj-

skiem następuje, powiadając, że on prawo ma i żeby się do Krakowa nie wazyli. I dlatego pani Grzymicha, jakkoli każe oddawna wołać się księżną całej Polski i pieczęcie na to są, przecież w puszczy siedzi z dworem i synkiem swoim. I teraz nawet pan Klimek bał się, żeby ich gdzie po drodze księcia Konradowi zbójcy nie opadli i kazał rotom trzymać kusze w napięciu.

Jechali długo przez góry lesiste, a dziesięć łańcuchmi spiętych brankardów toczyło się za nimi, w których było grzywien srebrnych tysiąc razy po czterdzieści i jeszcze więcej.

Po pięciu dniach, gdy dobrze zjechali w doły, Sącz, Czchów i Wojnicz za sobą zostawiwszy, już im tylko siedmiu stajań do Bolkowego schowku brakło. A wtedy dało się widzieć wielkie i kosztowne zbiegowisko! Którzy tylko są w krakowskiej ziemi nobilowie, wszyscy na koń siedli, którzy tylko Boga chwałą prałaci i opaci, wszyscy w szyku ozdobnym wyjechali im naprzeciw. Baronowie w złotych frendzlach i rycerze w sutych zbrojach i księcia biskupowy orszak w czerwieni. Ci, co zbawieni będą i ci, co potępieni, opasłe mnichy, swawolne wiły oraz ćma pospolitego luda przystanąła, gapiący się skroś równi, na których roz-

bito okoły. Zaś w tym okole, który z darte go jedwabiu był, posiadała się na kruszcowym stołku księżna Grzymicha, po Leszku białym, co go zadusili, wdowa. Z każdego ucha zwisa jej śliwa perlista (miała ich skrzynię całą, którą wielmożny ksiądz Konrad zrabował), podwikę wdowią przykryła kołpakiem sobolim, szyję sznurami koralu, a twarz i pojrzenie smętkiem bolesnym. Opodał grzymiszynego stołka przystanął jeden chudy ociec eremita, który wcale nie miał rozkosznego przyrodzenia, ani złotości nijakich na sobie, jeno stał między nimi potulen i bosonóż, w sznurze węźlistym na kościstych biodrach. Wołali go imieniem Przebor. Lica miał szare, jakby pieprzem nasypane, a postać mizerną, wysechłą na skwarczek i od męki podrapaną. Z tym óccem wiodła pani Grzymicha ciche i zawzięte pogwarki. Najpierwej zapytała, czyli skłął dziś w swych modłach księcia Konrada, tego djabelskiego włodarza, jenże ją skrzywdził, ze skarbów wyzuł i w kaźń haniebną posadził. Już od dwu niedziel ociec Przebor wody do ust nie bierze i co noc pas z jigłami ostremi wdziewa, a to przeto, by Pan Bóg skazał tego zbójcę.

— A jako kłalesz go? — pospytała.

— Kłalem, żeby był od Trójcy św. oddzie-

lony i do mocy piekielnych przyłączony i żeby w nim wątróbsko poczerniało.

— A syny jego kląść?

— Aż do ósmego pokolenia kląłem. Żeby byli od Trójcy św. oddzieleni i do mocy piekielnych przyłączeni...

— Małość jeszcze — skrzykła Grzymicha. I powstawszy ze stołka dołożyła:

— Żeby czopka w gardle dostali! Żeby im krtań zaśmierdziała! Żeby im na twarzysku jadowita trędowizna wyrosła!

— Amen — rzekł ociec Przebor i pochylił nisko bezwłosą głowę.

Pan Klimek z Januszem weszli najpierw dookoła i pokłon oddawszy, świadczą, że oboje całodowieźli: tak dziewczkę jak i srebro, którego sprawiedliwość niech odważą mincarze. Potem kiwali na Mikulasza. Ten, wszedłszy, upadł zaraz na kolana i złożył do stóp Grzymichy pisanie od ducissy Salomy, że w Sławonji zdrowa żywie ze swoim Kalmanem. Odpowiedziała Grzymicha, że rada jest. I pytała, co jeszcze. Więc Mikulasz uchylił opony i wiódł dookoła małe, ciasno okutane biedactwo. Powstała zaraz Grzymicha z kruszcowego stołka — wszyscy rozgarniali długo zasłony i skóry,

aż z nich wyrzała dziewczeczka, krucha i śniada, wielce drogą zabiedzona. Chybotwała się jak czyżyk w potrzasku. Patrzyła o ziem i nie mówiła nic.

A wtedy pan Klimek z Januszem dobyli pergaminów z pod pazuchy i dawali Twardosławowi, z których ten, złamawszy węgryńskie pieczęcie, czytał głośno, jako wielki król Bela rad jest dziecinę swoją samotrzecią Piastom w stadło oddać i oddaje. Odpowiedziała zaraz Grzymicha, że ma wielką chęć ku niej i kazała wołać synka swego.

Szukali go długo, bo gdzieś po dworze biegał. A kiedy przybieżał nareszcie, uczynił się wielki gwałt w całym okole. Bo miał sukienkę jaksamitową skroś rozdartą. Zaraz mu księżna dała z wrzaskiem jeden pogębek. Zaś bryzy na kabacie miał tłuczem zwalane. Więc obaczywszy to księżna, dała mu drugi pogębek. W rękę dzierżył kawał smyczy, a cudne, barwione trzewiki utyłł błoćkiem docna.

Więc księżna:

— Ejże, brzydaku! Gdzieżeś się ubabrał?

A on, że właśnie ścierwo gończakom dawali, więc na to pozierał.

Tu księżna:

— Wolej ty zawsze, tam siedzisz, gdzie psia mać, niżli tu, gdzie twoja rodzona. Kędyżeś podział, pośmieci, pągwich od kabata srebrnolity?

A on:

— Psi mają go w zębiskach, bo mi odgryzły.

Więc księżna:

— Patrzajże kto jest i pokłoń się!

A Bolko:

— Żali nie słyszycie jak tam psi niedźwiedzia głoszą?

I precz wybiegł z okołu, nie bacząc na strojną i wielmożną cizbę, ani na dziewczkę węgryńską, ani na dalsze pogębki, które mu głośno mać obiecowała. Zaś bosonogi ociec Przebor eremita powiadał, jako wszystko jest stąd, iż chłopaka dominikanie chrzcili, przeto mu Pan Bóg jeszcze głupości nie odpuścił.

Wtedy chyboćca się dziewczeczka podniosła oczki na biejącego i ujrzała, że nijakich jaszczurczych ślepiów nie ma, lecz owszem ludzkie chąbrowe, a jeno psim powiatrem brzydko cały cuchnie. Chudy ociec jął teraz pytać ją zcicha o to i owo. A najpierw — czyli polską pojmuje mowę, czyli tylko węgryńską, a potem, żali słyszała o tym Panu naszym, którego świat, ziemia i morze, dosyć na-

chwalić nie może. Dzieweczka wstydała się ust rozewrzeć, więc za nią prawił Mikulasz, że u żelwicy swej, Leszka białego córy, Salomy, uczyła się mowy polskiej, a też coś nie coś wie już o Bogu w Trójcy jedynym.

Poszła pani Grzymicha pilnować, czyli dobrze srebro ważą, a oni wszyscy jechali w zawieszonych kolaskach, na dworzyszczce wawelskie, kędy już poprzód posłano cztery rotę kopijników. Bo rozkazała księżna tak, że niechajby i w bitewnym szyku stanąć przyszło — lub morawskich kopijników nająć, to ślubiny Bolka z Cunegundą na krakowskim zamku dokonać się muszą.



Od przysieni aż po wieżowe stołpce moczono, co się ino dało, izbę wawelską, jakby na wielkie święto i jeszcze więcej. Ale niebardzo się dało, bo kasztel stareńki był i okrutnie spaćkany. Braciszkwowie z Tyńca malowali co nieco pendzelkami brudny strop modrzewiowy w ptaszyska różne a barwiste, zdun kominy przewiercał, żeby duch był dobry dla gości, a ćma pachółów biegała tam i sam, rozwieszając na zakopconych belkach cudne kobierce, na których skrzyły się gryfy z nitek srebrnych i pantery w dzikich skrętach, jigłą wyszywane. Potem kładli na stołach złote i srebrne puhary, co z nich jeszcze król Krzywoust pijał i kryli suknem tarczyny biesiadne u ścian.

W pośrodku świetlicy, która jedna największa była, stawiano łóżnicę małżeńską. Dwunaście miękuśkich matrasów dali na spód, bo tyle lat

miała Cunegundis, a czterynaście poduchen kładli na wierzch, bo czterynaście lat było Bolkowi. Potem opony i połogi, wszystkie z tafty białej, narzecie cieniuską pierzynę przynieśli ze złotemi sznurami, którą księżna Grzymicha własnorącz dobyte z swej wyprawnej gierady. Inszy zaś z dworaków pognali do biskupa, prosząc, by zwołał jakie świątobliwe piszczele, czyto ze św. Benedykta kosteczkę, lub św. Szczepka — położyć u wezłowi, bo to odczyni uroki i zdrowia przyda młodożęcom. Ale ich biskup sfukał i przepędził.

Podczas dworki ścielące powiadały sobie o księżniczce. Jako jest pokorna w chodzeniu a w lędźwiach chybka, zaś głos ma anielski i pieściwy. Którego poprzód nikt tu nie słyszał, aż ninie pierwszy raz w okrągłym kościele.

Bo gdy samowtór z Bolkiem ukłękli przy ołtarzu, iżby sobie ślubili, spytał ją biskup:

— Czyli sobie podobasz tego Bolka?

A ona cichutko i ślicznie, jak ptaszyna polna:

— Podobam go sobie.

Więc biskup dalej do niej:

— Czyli go zachowasz aż do śmierci?

A ona cichutko i ślicznie, jak ptaszyna polna:

— Zachowam go aż do śmierci.

Gdy braciszkwowie to malowanie skończyli a zdun z komina zszedł, rzucono kłody wielkie na palenisko. Ogień buchnął tęgopłomienny i rozpedził precz wieczorne mroki świetlicy. Skroś całej góry wawelskiej grały trąby i kotły. Którzy tylko są w krakowskiej ziemi nobilem, wszyscy szli w rzędzie na dworzec, którzy Boga jedyne go chwałą prałaci i opaci, z świecą gorejącą w rękę, przystanęli, czekając w izbach. A kopijnicy z Moraw wzięci stali wedle góry i u bram, warując baczenie, czyli jakie Konradowe pomiotła pod miasto się nie podkradają.

Siadła Grzymicha na kruszcowym stołku, i ksiądz biskup krakowski na sukiennym stołku i wojewodowie na gołych pniaczkach. Wszyscy wokół łożnicy, która była na pośrodku.

Przywiedziono Bolka i przystanął z prawej strony łożnicy. Miał na sobie nową kurtę z jaksamitu, kołnierz z frendzlami, soboli kołpak z kitą i ciżmy barwione.

Przywiedziono Cunegundis i przystanęła z lewej strony łożnicy. Była na twarzy subtelna i blada, miała kieckę bielutką, katankę dziewczynską i wianuszek na głowie z niejakiego kwiecia.

Teraz mówią Bolkowi, żeby do tej żony swej, nynie jeszcze dziewczki, przystąpił, ułapił ją za ten wianek, co go na głowie ma, i zdjął z głowy. Wstydził się Bolko baronów i nie wiedział, jakby to. Więc mu biskup dopomógł i swoją ręką wianek zdjął. Rozwiał się wraz dziecięce kosy i stanęła wszem wobec dziewczynka mała, przetowłosa, bez pętlików i harpandów na główce. Wraz przybiegły dworki i nuże rozdiewać ją z ślubnych stroi i kiecek szelestnych, aż niebogę, w samej jednej koszulinie zostawiły.

Rycerze zaśę zdziewali przybiory z Bolka. Jeden wziął mu kurtę jaksamitową, drugi kołnierz z frendlami, trzeci ciżmy barwione, tak że chłopiąstek w samym spodnim pozostał pasie.

Teraz najstarszy biskup czytał z księgi zaklęcia i kropił tak ich dwoje, jako łożę ślubne, z którego djabła wypędzał. A gdy skończył, trąby zagrały.

Wzięli panowie na ręce pannę Cunegundis i cisnęli ją w łożnicę z lewej strony, zaś dworki chwyciły Bolka za ręce i nogi, który nie krzyczał nic, bo miał obiecywane, że za to z biskupem na łowy o świcie pojedzie.

Położyli go rządkiem przy dziewczynie rów-

siutko i nakryli oboje pierzynką, a kapę złotogłową dali na wierzch.

Aliści ledwie kapę przykryto, podnieśli węgrzyńscy panowie krzyk do Grzymichy, żeby nie trzymać ich nadto, bo nie ma jeszcze dziewczka lat dwunastu, i przypominali, co król Bela w pergaminach pisał.

Więc gdy czasu nieco minęło, odkryli panowie kapę i pierzynkę. Bolko co rychlej uciekał precz, a Cunegundis poszła do Grzymichy, która jej wdziała na główkę ruszycę, zaś biskup wszem wobec rzekł, iż ci oboje przed Bogiem i ludźmi są już małżonkowie, a ona niewiasta.

Siedm dni i więcej trwały igry, tańce i gonitwy po lasach między panami wesołymi, pō których stara księżna zawołała oćca Przebora, Mikulasza i Przybysława i rzekła Przeborowi: będziesz je uczył wiary w Boga, a Przybysławowi: będziesz je uczył pisma, a Mikulaszowi: będziesz je uczył królewskiego obrządku.

Więc magister Przybysław dał zaraz moczyć różgi w kadziach, kańczugi rzemieńne na chłopca, a na dziewczkę batożki niejakię, dla panieńskiej skórki odpowiednie.

Potem rozkazał małżonkom kucnać na ziemi

i baczny pozór dawać. A sam, pozierając co naj-srożej, dobył z almaryi księgę zamczystą, i czytał z niej powoli:

— *December, Barba, Nico, concep et alma Lucia.*

I to im każe mówić za sobą zwolna, nie raz, ale wiele razy. A potem, żeby piąstki wypięli w górę. Wypięła rączyny panna Cunegundis, wy-pięł i Bolko, owszejki chmurnie.

A Przybysław:

— *December* jest głoszek trzy, a *Barba*, jest głoska czwarta, co się tak wyklada: 4-ty dzień grudnia miesiąca jest świętek Barbary panny. *Nico* jest głoska od początku szósta, co się znów wyklada, iż 6-ty dzień grudnia miesiąca jest świętek św. Mikołaja. *Concep* zasię jest głoska od początku ósma, *conceptio* znaczy poczęcie, tedy wiedzcie: że w 8-mym dniu miesiąca grudniowego święcim Poczęcie *Beatissimae V. Mariae*.

Teraz rzekł Przybysław do Cunegundis, żeby mu na palcach rozliczyła, który dzień grudnia jest św. Łucji? A ona nie rozumiała nic, więc zaraz Przybysław dał jej trzynaście różeg po lędźwiach na pamiątkę, że 13-ty dzionek grudnia jest dniem patronki Łucji.

Podczas Bolko naśmiewał się, że Cunegundis tak cienko piska, gdy biją, więc mu magister wyliczył plag rzemiennych ośm, iżby pamiętał, kiedy Poczęcie.

Rada była małżonka pośmiać się z niego wzajemnie, ale nie mogła, boć od tych różg pocierpła bardzo w przyrodzeniu.

Mikulasz zasię uczył niewiastkę królewskiego obrządku oraz pokroju dziewczynskiego:

Że gdy ją nobil jaki pozdrowi, niechaj głową skinie, a innemu nie.

Że idąc przedsię, niech ani w prawo ani w lewo nie poziera, lecz patrzy, jako sokół w gnieździe.

A przy stole siedząca, niech lewy łokieć zegnje. I odtychmiast nóżek na się nie zakłada:

A koli śpiewa, żeby żaden pacholek jaki nie słyszał. A ku słowu każdemu, które do niej mówią, niech się wstydzi bardzo.

Tako albowiem powiada św. Jeronimus: Bądź rzecz dziewczynska dobrze opatrzona i smierna.

Bolkowi tyle jeno rzekł, żeby małżonki swej za grzywę nie chytał i o leda co w podolek nie kopał. A potem prał go kańczugiem, powiadając, że jest gruby i leśny.

O południu dnia każdego pięli się oboje

po drabinie, stękając bardzo, do stołpca na wieży wysokiej, kędy była mała izdebka oóca Przebora. Siedział onci bosonóz na mieszku ze słomy, a ręce oboje miał w łokciach zgięte i na kłódkę zamknięte, żeby się umartwiał. Zaś opasany był rzemieniem, w którym półtorasta jigieł ostrych tkwiło. Zesechł był już całkiem na skwarczek, bo tylko jabłka polne jadał, sypiał zasię na starych wrotach, a pod głowę bezwłosą mieszek słomy kładł. Tak każdy dzień i noc w męczeństwie trawił.

Kiedy Cunegundis stanęła w stołpie, pozierając, rzekł jej cichym głosem ociec Przebor, że przódzi będzie obiadał, więc aby mu z pułapa jedno jabłko polne dała do zamkniętej na kłódkę ręki, lecz niechaj je wpierw na troje przekąsi, a to na pamiątkę Trójcy świętej. A potem nauczał ich, że teraz o czarcie wiedzieć mają, czyli o djablisku.

Bo jak człowiek na źwirza obierze łowcze sposobi, tak szatan na człowieka. Jest to ksiązę piekielne, wszędy obecne i panujące nad nami. Aliści niezawsze go obaczysz. Jest on postaci ludzkiej, jeno kosmaty. Ogon ma długi, sucherlawy, jakby u szczura, a ucha maluśkie, kieby lelek. Razem zaś jakby smoka z małpiskiem po-

łączył. Gdzieby zaś plecki być miały, tam djabeł nie ma nic. Do pasa światłem świeci, od pasa smrodem kurzy.

Gdy Cunegundis bardzo się strachała tej powiastki, Bolkowi owszem oczka pałały i pytał:

— A ślepie jakieby miał?

— Ślepie ma jak u wilka, ale kaprawe i ciekące, a szczieć na brywiach krzaczystą, świńską, albo jeszcze gorszą.

— A pazury jakie też ma?

— Pazury ma jak u ptaka dzikiego, ale wszawe, a kopyta jak u kozła, ale smołowe.

Więc przemyślał Bolko nad tem, jakimby psem takiego źwirza gonić, lisim gończakiem, czyli niedźwiedzim ogarem? I pytał dalej:

— A jaki wielki ten djablisko jest?

— Taki wielki, że kiedy zachce, to na siedm mil ramieniem posięgnie, lub indziej taki maluśki, że na samym jednym włoszczku twoim usiędzie i siedzi!

— A jaką strzałą go urazi?

— Nijką, świdrogłowie, nijką, bo się go nie imają!

— A gdybym strzałę ciemierem trującym namazał?

— Gdybyś ją niewiną serca namazał, to
rychlej!

Już się dalej Bolko nie pytał, bo nie poj-
mował nic. Jenó chyłkiem uciekł ze stołpca i do
psiarczyków pognał, żeby z nimi w lesie szukać,
czy gdzie takiego nie ujrzy.

Zaś ociec Przebor prawił do niewiastki dalej:

Że nie wystarczy tylko warować się szatana.
Bo to jest najpierwsze przykazanie, aby z nim
wojnę zawdy mieć, i hańbić i szkodować, gdzie-
koli można. A ktoby z czartem piekielnym nie
wojował, grzeszy! Niewiastki zasię, to uliczka,
po której djabeł do człowieka idzie, najbardziej
w nich sobie upodobał, rad w każdą włazi i fi-
gluje.

Więc Cunegundis smęciła się bardzo, że ma
kształt białogłowski, a ociec Przebor prawił dalej:

— Największym ogniem fuka czart na te
białogłowy, które z wielkiego pokolenia są.

To prawiąc, znagła polekał się bardzo i cały
odmienił na twarzy. Jął mocno chybotać rękoma,
które miał w kłódkach zamknione, i do głowy je
podnosił i za głowę się ułapiał, krzyczący:

— Eja, eja, dziewczko nieszczęsna! Wiesz li
co cię czeka? Jakże się ostoisz? Chyba ty się nigdy

z paszczek smokowych nie wydrzesz i potępiona będziesz na wieki wieków amen.

Mówiąc, płakał i skowyczał.

Słysząca, że ociec skowyczy, płakała dziewczka także. I płakali razem ociec Przebor z panną Cunegundis.

Potem prawił dalej:

— Wiesz li albowiem, czyjaś ty wnuka?

Powiedziała, że wie. Owej babuleńki starej, księżny Jadwigi, opacichy w Trzebnicy.

— A wiesz li, czyjaś jeszcze?

Powiedziała, że także nieboszczki królowej węgryńskiej Helźbiety, która w Niemcach żyła i umarła.

— Toli pojdziesz teraz. Obie te prababy twoje święte są, Helźbietę już pan papież między takowe zaliczył, a Hedvigis ducissa żyje w Trzebnicy, w zapachu świętym dotychmiast. Na nie obie czart najwięcej złości ma. Całe piekło przeciwek im skwierczy. A tyś ich wnuka! Na ciebie tedy nieszczęsną, złość swoją wypną! Mordować cię będą wszzechwszedy: stojącą, siedzącą i śpiącą. Do złego przynaglą, w dobrych postąpieniach przeszkodzą, byleby cię tylko wiecznemu ogniu przysądzili!!!

Cunegundis bałuszyła szeroko przerażone oczka.

— Czart, bujny król, będzie powszędy za tobą chodził samowtór, czyhający. Ujrzysz go w kapturze czarnym i w jakach pozłocistych. Jako pies przyleci ujadający, jako świegotarz zgrabny i wiła. Będzie ci, szkodźca ohydny, gadki śmieszne prawil i do wesela ciągał.

Gorzej jeszcze zaczęła ryczeć biedna Cune-gundis, a ociec Przebor ustał i tak groźnie na nią pozierał, jakby już czarta w jej wnętrzu widział.

A wtedy świerczek czyli ziemny konik zaczął piskać w bierzmie stołpca. Więc ociec:

— Toli i w takiego świerczka wleźć czart umie i może.

Potem uczynił krzyż ręką w kłódkach zamknioną i zaraz świerczek już nie piskał więcej.

Lecz opadł był całkiem z sił ten bolesny ociec i tylko zcicha rzecz kończył:

— Waruj się, dziewczeczko, djablisków, którzy wszyscy spiknęli się na twą cnotkę malušką. Z pomsty, żeś tamtych wnuka, że masz dwie ba-bule przeczyste, żeś z wielkiego pokolenia jest.

Więc Cunegundis w lęku wielkim pytała, jak

tego czarta warować się i jak go precz pędzić od siebie. Żeby jej rzekł, gadając.

Wtedy eremita jął patrzeć na nią długo. I widział, że aczkoli ma na głowie czepiec białogłowski, jeszcze na niej dziewczynskiego kształtu wcale nie poznać.

Tedy rzekł:

— Jeszcze czas twój nie nadszedł.

I uczynił nad nią znamię krzyża.

To księstwo oboje krakowskie i sędomierskie wagi w świecie nie miało przeto, iż źle siedział książę Bolko na swym majestacie. Jak przódzi tak i ninie Konradus w siatce ich trzymał i rotami swemi, których miał więcej, nękał łściwie, bezprzestannie... Ledwie ino trochę odpoczęła pani Grzymicha z małżonkami na krakowskim dworcu, a już przychodziło im cichcem chować się w skrytki leśne, gdyby prostym karwatom jakim. Mieli tam kasztel skalny mocny, jeden i drugi do tego gotowy. Gdyż znowu Konradowe rotę miasta nieco odstąpiły, wracali na Wawel w niepewności. Na tych haniebnych rozjazdach pani Grzymicha z ślewą swoją młodziuchną tchnienia spokojnego nie miała. I długo tak było. Opiąć Bolko rad temu był i cale do Krakowa nie kwapił się, odprawując tam w głębokości puszczy łowy turze i niedźwiedzie. Insze rzeczy swe, tak

rzec książęcą jak i małżeńską, za nic trzymał. Nabrał już podczas wzroku lisowatego i siły w mięszach, a z dziecek już był wyszedł dawno. Macierzy i żonce niebardzo widzieć się dawał, przedsię po zasiadkach koczujący, na leśnej zielinie byle jak. I przeto jeszcze od Cunegundy stronił, gdyż go do ksiąg wabiła, nieprzestanna i zapalista w nauce. Oprócz na igrach niektórych biegał czas jej dziewczynski. Łasiczkę białą hołubiła sobie i liska swoistego, w kości grywała z dworkami, żadnej złej sprawy nieświadoma.

Sama jedna pani Grzymicha cierpiała to pogorszenie. Sama jedna, nie wiedząca, gdzieby mocy na mięsala plockiego poszukać.

Gdy do Więclawa, czeskiego króla posyłała, śmiał się. Korony księstwa obojgo chcecie? Niechże wam taką zduny krakowskie z gliny ulepią. W lasach, kędyż królujecie, inszej nie potrza.

Gdy do Beli, już teraz powinowatego króla węgryńskiego posyłała, miotał się. Albo się tam mocno posadzicie, albo precz dziewczkę biore! Nie przetom ją wienił, by waszego bronić!

Konradus zasię szumiał groźnie w Plocku, tak rozumiejący, że skoroż tylko Polska jedyna, z dziewięci złączona, wróci — on księciem osobnym pol-

skim będzie. I rozdzielone w siatkę swoją zwiąże. Bowiem pierwszy jest, odkoli stary ksiądz Brodacz Henrykus zawarł sędziwe oczka. Naprzeciw wszystkim rotę jego wystarczą, których rozdmuchnie, jako pancerze na wodzie. Brodaczowego syna w habit da! Brodacza członki śmierdzące w grobie splugawi! Bolka w psiarczyki, Grzymichę starą kaźniom wtórym odda! A ową młodkę węgryńską niech ta który synal jego ślubi, jeśli zachce. Jadźwingi leśne ma w podorędziu i krzyżowych wojów którzy go słuchają.

Zaczem do pani Grzymichy słał pewne pisane ohydy, prosząc, żeby się miłość wasza ze starych sińców lizała co prędzej, boć już nowotne kańczugi moczy na cię ksiądz opat w Sieciechowie!

W niemocnej złości darła pani Grzymicha swe przybiory pawłoczyste. I szarpała bardzo rozpuściła kędziorki. I krzyczała gorzko, splatająca ręce:

— Ohej! na świecie ludzie! Wolej mi było w kraj ten piastowski nie jechać, gdzie jak hultajka nieosiadła żywię! Wolej mi było na ojcowej ostać miedzy, gdzieżem w sytości chleb włodarski jadła! Jażem docz Ingwarowa, jażem kniazów łuckich dietna potomkini, spumą w te ich

pyski arpadzkie, przemysłidzkie i konradowe pluć godna!

Na poczynania pani Grzymiszyne patrzyli bokiem panowie obojogo księstwa, tak Sędomiczyki jak i Krakowianie, którzy chrześcijańscy byli i to dobrze rozumieli, iż w niewieściej duszce naj-
 snadniej anioł piekielny skrycie mieszkać lubi. Któż bo zdradził Adaama niewinnego a Dawidka świętego? Któż Salomona mądrego, a Samsona mocnego? Zaprawdę nikt, jeno niewiasta. Bo gdyż człowieka serce jako szklenica jest, w której widać wszystko, inak serce niewiasty. Zły to kraj juści, jenz się babskiej ruszycy w jęctwo daje. Złe to księstwo, na swym przestole rejencichę cierpiące. Zaczem panowie na wiec tajemny zjechali, o którym żeby nie wiedziała Grzymicha. Zjechał Włodzimirus, krakowski woj, i Raciborowic Jakób z Wojciechem Stamposzycem, też stareńki, Krystyn Sulkowic z Niedźwiedzia, Ziemięta, Gryfity Klimka kum, też Gryfit z Ruszczy sam i Pakosław, woj sędomiczy. I inszy, Konradusowi krzywi.

Stanowili, iż czas Grzymiszynego rozrządu dokonany być ma. Nie potrza nam ustawnej z Konradusem zwady o jedyną Polskę. Niech już baba w schowaniu te pieczęcie ostawi! Jako drzewiej,

bądź wszystko wedle rozrządu bywszego króla Krzywousta. Z tą rejencichą dworca krakowskiego nie strzymamy.

Mąci ona z Konradusem tam i sam, sprzeczek szuka, lecz gdzież mu podola w niedostatku rot tak kopijnych, jak i łucznych? Ten zbójca mocniejszy jest. Niech li jeno Jazygów więcej podkupi, niech li Morawców za złoto najmie, a już przepadła Rusaczka i nasz miły Piastowic z nią.

A Ziemięta :

— Tak my na stolcu nagłego spadnięcia siedzimy. Bo znowuż kołują gadki nieco okropliwe, iż Mongoł albo Tatarzyn na kraj ten potrzebę ma i nastąpić chce na węgryńskie miedze poprzód, na halickie potem, na lackie wreszcie.

Tu Włodzimirus skrzyknie :

— A cóż my wtedy, przepadłe syny z babską rejencichą i z tym piędzimęzykiem, księciem nieumiałym?!

I krzyczeli jedni, żeby wraz Bolka na osobnego księcia wołać. A drudzy, żeby go poprzód do tego przyuczyć.

— W złem ćwiczeniu jest!

— Chrobrości nie ma, rzemiosła nie zna!

— Na drogę waleczności nawieść go potra.

— Żeby jeno bez macierskich poszeptów!

— A będzie miał nas wszystkich przeciw, gdyby tego nie chciał!

Tak oni radzili i stanowili, a potem onym trzem: panu Pakosławowi, Krystynowi i Wojciechowi Stamposzycowi stareńkiemu ortyl od wiecu dany był, żeby co nieco księciu rzekli. Którzy samotrzeć pojechali na ów kasztel leśny, kędy ksiązę Bolko właśnie siedział przez macierzy i żonki. Że czas był dżdżowy i leśne mokradła broniły drogi w puszcze, więc zastali go doma na spoczywaniu. Zaraz Stamposzyc ortyle wyłożył. Że niedostojnie tak i osławę to młodemu księciu czyni. Nie ten jest władzycki strój i nie ta zbroja! Nie ten sahadak i tuła. Że czas, aby się z macierskiego jęctwa dobył i na stolcu sam siadł, ku czemu wolę ich wszystkich za sobą pałającą ma.

Bolko, rozparty na tarczynie, ciężko słuchał. To nurzał ręce w kędzierze, to spierał na nich oblicze dobre, słonecznym promykiem schłostane. Lub wodził przedsię spojrzeniem leniwem, pokojnem i jasnem, jakby modre jeziorko leśne. A gdyżby połajać chcieli, nie mogli, tak na nich tęsknie patrzył. Owszejki o inszem może dumał.


Stamposzyc dalej wiódł. Czasy drzewiejsze

wspominał, w których chłopiastkiem z królem Mieszką Starym w cesarskie chodzili krainy. Kazimirusa wywodził, co go zwali Sprawiedliwym. I Bolkowego oóca, Białego Leszka, któremu niech Pan spoczywanie wieczne da. Hnet o wielmożnym majestacie wszech panów Piastów prawil, którzy mocnym rządem służby ludzkie szafowali. A gdy takie były przeddziadowie, czyli insze będą przerwukowie? Przyjść może rychło czas potrzeby gorącej. Więc niechby, o to proszą, ksiązę w sędomierskie dworzyszczce jechał na przebitki, gdzie się spróbuje w mistrzostwie rot-kusznicznych i skład bojowy pojmie.

Powstał Bolko i rzekł:

— Gdyż tak chcecie, uczynię! Ino mi tu poprzód tura dwunastego położyć trza!

1

n jeden, widno, pomoc wam może, matuchno, nizaden inny, a on — orędownik wyborny!...

W jegoż imię proście, jemu włodarstwo dajcie i gorejącą kładźcie się przyczyną —
jemuż, które imię dziwne jest ninie po wszej ziemi —

jemuż, za którym bieżą chłopiastkowie i panny w habitku szarym —

którego zakon najbliżej stolca niebieskiego posadzony, ponad Benedykta św. regułę wyrosły, od cystersów, norbertanów cudniejszy —

którego szkaplerz a pas węźlisty nad złotogłowy droższy, ważniejszy —

jemuż ofiarujcie się, matuchno, a wywiedzie was ninie z obierzy, jako drzewiej wywiódł z pohańbienia.

On jeden pomoc wam zdolen, włodarz Pana

Krzystowy, jenż pomarł w Asyżu, a żywie w sercach — FRANCISCUS“...

Takie pisanie na kościanej tablicy słała do pani Grzymichy z okrajów dalekich jej córa, ducissa Sławonji Salome, rzeczy matczynej sercem oddana. Alic rejencicha sędomierska nierada wysłuchała tych mętleń krętosłownych, tyle jeno pomyślawszy, że widno owe mnichy nowotne zakonu franciszkańskiego już ułapiły w więcierz duszkę jej córy i wedle swego czernidłem w tej tabliczce piszą. Wierę ona wcale w sercu swem nie pieściła tych włókitów bosych. Przybłąkało się owo i do niej z Pragi z listami świadomemi po prośbie. Dała im łońskiej wiosny prawo osiedli w swem księstwie (choć pan opat tyniecki dotychczas o to krzyw), dała im też wygodę niejaka, ale patrzyła na tych ludków koso. Bo cóż? Ponad przyrodzone mniskie prawo żyją te Boże włóczęgi z żebranej paciary, a mielą gębą do tłuszczy, gdzie się zdarzy. Na nic nie dbają. Ni to na ziemię, ni na srebro łakome. Juści lepiej pojmowała pani Grzymicha regułkę czarnych, nigdy sytych brzuchaczy św. Benedykta, którzy miód z imbierem piją i gnaty wieprzkowe gryzą, juści chętniej ucha dawała braci norbertańskiej, choć owym wycierusom pospo-

litym lada ochłap wystarczy. Przenajbardziej zaś temu się dziwowała: skąd ci żebrakowie w karpielach, pokorni, zagnała rząd mocny dostali i gdziekoli nim szafują? Tocho wszechwszędę posłuch oni mają, porówni u papieskiego jako i cesarskiego stołu. Gdzieby nie zajrzeć, osiągną. Chyba ze Złym dzierzą, alboby w nich pod postacią habitu guślnicy jacy byli? Bo kogo ujęli, już przepadł. Tu wspominała myśląc pani Grzymicha, jako landgrafowi turyńskiemu takiego mału w głowę nakładli, iż pan tenże udzielny łachmany wdział i z nimi wespół po żebrach chodzi. A cóż Audacja, grafini szweryńska, z woli swej własnej na wsze czasy im wraz z czterma córami zapisana? A cóż Agnessa, na dziwy, ta wielka Agnessa czeskich królów potomkini, od której siła dobrego zaznała pani Grzymicha, gdy w sieciechowskim klasztorze, przez Konrada zamkniona, jęczała od plag sina. Przyjechał do tej Agnessy, już wdowy, król jeden sycylijski i o rękę prosi. Nie chciała, Przyjechał drugi król, francuski. Odprawiła. Przyjechał trzeci król, niemiecki. Wzgardziła. Zaczem siedm córek swoich oblekła w habit i z woli własnej pokutnicą ostała i ninie w Pradze u tej braci siedzi. Tu zaś przysła na pamięć rejencisze jej

stara hańba i ta zemsta, co ją za to ratajom cysterskim, Konradowi oddanym, przysięgła. I zaraz uczuła serce dla żebrzącej braci franciszkańskiej, przeto samo, że na nich cysterskie mrowie zawistnie poziera i gdzie takiego dopadnie, zaraz mu kości liczy.

Napoślad tych pani Grzymiszynych rozmyślań weszła znagła pierwsza dworka do komnaty i pytanie w pokłonach daje: czyli wielebny gwardjan franciszkański przed oczy pani miłościwej jawić się może najpokorniej?

Przyzwoliła i wszedł. Był to człek dziwny, którego Chromym Paszkiem zwali. Tak w pysku jako i w habcie szary. Szczurek w oczach, w myślach piskorz, w słowach czeski. Cich a pokor, ni to ptaszek, ale widno, że pyszny z bosego rodzaju swego. Ten ci słowa próżnego z ust nie wypuścił, a które rzekł, to je wpierw na troje przekąsił. Zsunął kapiec z ołysiałej głowiny, pochwalił Boga i zaraz jął cosi koszkać się po gębie.

Więc pani Grzymicha pospyta, skąd mu to koszkanie. Odrzekł płaksiwie, jako idąc tu na kasztel, napotkał wielebnego opata ojców cystersów z Mogiły, w kolasce jadącego samoczwarci. Gwardjana dojrzawszy, opat znaki dał, wychynął

z kołasy i zaraz dwa pucki w gębę mu trzasnął, przyłożywszy. A to dodał jeszcze, że „ilkoraz cię napotkam przybusiu ty dziadowski, tytkoraz kości policzę, aby ci ta łązega z kazaniami po mieście i po grangjach moich obmierzła“.

Tutaj rozśmieję się pani Grzymicha i zapyta Paszka, jak mu się ten opat wydał z oblicza. Odrzeczę gwardjan, że na obliczu rumiany był. A na podołku? Na podołku tłustobrzuch. Zaczem spytała, czyli widział, jaką cerkiew kamienną stawia ten opat w Mogile, i tak rzekła:

— A wyście na pysku jacy? Otże sucherlawi. A mszę gdzie czytacie, w chatynce cieknącej. Nie zawiść wam?

A ten Paszek chytrze okiem śmignie i rzecze:

— Mychom żebraczkowie cisi, a regułka u nas takowa: sobie skąpi, Bogu szczodrzy.

A Grzymicha:

— Ale kasztel kamienny zdałby się?

Znów Paszek:

— Nie lza nam, miłość pani, jeno na zielonej darni żebraną strawę jeść.

Znów Grzymicha:

— Słysz, ty niezguło! A gdyżbyście mia-

steczko jakie na prawie niemieckiem dostali, albo też siółek parę, hej?

I Paszek:

— Nie lza nam, miłość pani, jeno z użebra nej strawy żyć. Tako rzekł ociec nasz w Asyżu, umierajac, iżbychmy ku niczemu oskominy nie czuli przenigdy, jeno po świecie wędrować mamy *mendicantes*.

Już strzytać nie mogąc tych gadek, skrzykła pani Grzymicha:

— Łziesz, ohydliwie łziesz! Wiem ci ja dobrze, ktoście wy są i kędy się poszerzacie. Wam to pan papież rzymski najpierwszym ucha dawa, a już też na cesarskim dworcu widne owe paski węzliste, które pod oblikiem cnotek anielskich wszędy się posięgają... Wiem ci ja i więcej...

Chromy Paszek zaśmiał się, a śmianie ukazywało, co w sercu miał. I tak zerkał potajemnie, jak gdyby żyda grzebał.

Pani Grzymicha dalej wykladała:

— Owaciem widzę, kędy w was ugodzić! Ejże, panie gwardjanie, bacz, co powiem, a braci swej powtórz. Niech jeno zachcę, a zapowiem tych kazań po mieście i łążęgi, a was w ilości zupełnej do stróży oddam i powozu, albo i precz

z księstwa mego wypędzę. Chyba, że się k rzeczy mojej przyłożycie, tak i tak.

Gwardjan, wielmi ciekawy, główsko z kaptura wynurzył, szczurzem oczkiem świdrując:

— A jakaż to rzecz waszej miłości?

Tu Grzymicha usta wysechłe koralem gorącym pokryje:

— Rzec stolca krakowskiego! Żebyż na jedynej Polsce nie Konradus, ale my z Bolkiem włodarzyli, żebyż mi k tej myśli pan papież mocy swojej przydał. Niech mi w Konradzie antychrystowego pachółka i sampierza piekielnego uznają i zeklną. Niechże mu oćca w grobie spaćkają. Otoć rzecz moja!

Zaczem skrzynię otworzyła i dobyła z almarji woru dość wielkiego i miotała weń srebra bezliku, oraz i nieco złota okrągłego. Ażci tyle nałożone było, ile dźwignąć człowiek zdoła.

— Wór ten nieostatni bierz i w posły jedź. I o to proś, by pan papież wolę dał.

Znowu gwardjan skłonił się najpokorniej i czdził słówka powoli:

— Nie potrza, miłość pani, ni złota, ni posłów nie potrza. Ta wola pana papieża, o jąż pytacie i posyłać chcecie — bliżej jest.

Zaczem posięgnął ręką pod przypiersną szatę i dobył pergaminu, z którego na zawiaskach purpurowych zwisały ciężko świątobliwe pieczęcie Stolicy apostolskiej.

Wraz rejencicha popatrzy, jakieby były w barwie: czyli czerwone? Bo czerwone łaskę znaczyły, a insze niełaskę. I przena gorzej ujrzała, bo żółte były.

A gwardjan dalej prawił:

— Pisanie to, które goniec kapituł naszych generalnych przywiózł, właśnie objawić miłości waszej przybyłem. Tedy powstać raczcie, znak krzyża uczynicie, a słów oóca świętego wysłuchajcie!

Ciekawością porwana, rejencicha bez głosu wstała słuchając, gdy Chromy Paszek czytał zapaliście, słowa łacińskie w polskie przemieniając:

„To ci poprzód wiedzieć dawamy, ducisso krakowska i sędomierska, iżeście niepożyteczne sługi Boga miłego są i owszejki książęcego obzrądku nieświadome. A przeto nie jest włodarstwo wasze chrobre ani mocne...“

Tu pani Grzymicha wrzaśnie, ogniem cała pokryta, a to pisanie, co je Paszek czytał, porwawszy, o ziem ciśnie. Jegoż samego za kapicę mniską chyci, chełtając mocno i bardzo. Zaś wtórą piąstkę posunie do oczek przerażonych gwardjana.

Jakoby lelek w słońko zaniesiony, skurczył się Paszek niebożę. I losu czekał. Znałci on bowiem przyrodzenie rejencichy, w którą czart łącno wstępuje. I tak rozmyślał:

albo mnie teraz Rusinka światła oczek pozbawi?

lubo pod ziem głodnego posadzi?

albo jeszcze odjąć mi rozkaże niektóry członek wyborny?

Wszelako oblekł się w spokojność i chytrze przedsię pozierał.

Pani Grzymicha zasię zgryzła jeden czerwony paluch swój i nawiodła się na drogę cierpliwości a potem krzyczała:

— Wiedzieli kniaziowie łuccy o należnym obrządku włodarskim drzewiej, gdy jeszcze Przemysłid z Arpadem skoty w debrach pasał. Ty mi, wierę, o walniejszej rzeczy mów, co się stolca krakowskiego tknie!

Więc gwardjan:

— Owaciem o stołecznej rzeczy też będzie!

Kazała mu tedy czyść dalej. Czytając, miętolił słówka, a twardsze na troje przekasał. Które takie były:

„Niechrześcijańskie to wasze księstwo. Bo

kiedy *totus christianitatis orbis* o kamień grobu Pańskiego krwawił się, — gdzież wonczas byli? Gdy nawet i chłopiastkowie maluchni biegli ławą do Ziem Świętych, aby niewiną serca saraceńskie zmóc naboje — gdzież wtedy byli? Ninie nowa potrzeba krzyżowa gotuje się. Śpiewający i poszczący, z grzechów swoich odpuszczeni, pobiegną rycerze wszech krain i ziem. Ma ich być pięć razy po dziesięć tysięcy i jeszcze więcej, ma ich być tyle, iżby pod skrzydłą miłosierdzia Bożego zeprali Saracena.

Ty także, ducisso krakowska i sędomierska, siłę ku potrzebie dasz. A też rotę łuczne i kopijne wystawisz. A to jeszcze być musi, żeby na ich czele syn twój w postach i śpiewie do Ziem Świętych jachał!“

Tu przerwał Paszek czytanie i słowem dołożył:

— Gdyż to wszystko spełnicie, miłość pani, wtedy ociec święty za wami wolę swoją da. Inak w klątwę postawi.

Lecz rejencicha rąco sprzeciw ogłosiła. Coż tam komu sprawa krzyżowa? Jeździł był do grobu Pańskiego Jaksa Gryfitów syn z hufcami i cóż? Po próznicy? A Fulko, grabia andegaweński, ileż

pozyskał, jakkoli nagi poczołgał się do Ziemi Świętych i tam kawał kamienia z grobu Pańskiego zębem swoim odkąsił? Ona zaś, gdyby rot dostatek miała, wolejby je rozesłała na znieważenie płockiego zamczyska. Ani synała jedyne go k temu oddawać nie chce, boć otrok w szyku bojowym wcale nieumiały jest.

— Nie potrza mi — tak dalej prawiła — krzyżowej, gdy doma wrychle potrzeba będzie. Już też pełzają gadki okropliwe, że tatarskiej tłuszczy khan ku Węgrom ruszył.

Odrzekł na to pan Paszek, że tu nie przyjdzie, bo jadą już k niemu dwa rozesłańcy zakonni, którzy khana tego światłem wiary oświecą i do posłuchu panu papieżowi przywiodą.

Aliści rejencicha dalej wołała, że Bolka nie da na potrzebę, chybaby to panom i nobilom przykazała, niechaj w poczcie swoim jadą. Zaczemby wiedzieć rada, ilkoby miało być tych rot i kosztu zbrojnego?

Znowuż przybrał gwardjan najpokorniejszą postawę, dalej czytając z pergaminu:

„Jakaby siłę ducissa krakowska dać miała, o tem wielebny minister franciszkowy w Pradze rozsądzi. Ileby rot kopijnych i łucznych w koszcie

wystawiła, to wielebny minister franciszkowy policzy.“

Na twarz pani Grzymiszyną siność teraz wystąpiła, ukazując, co w sercu czuje.

— Tak tedy w waszych ręku rzecz cała?

A Paszek wciąż pokorny:

— W naszych ręku przez oóca świętego złożona.

A Grzymicha:

— Wierę, pojmujecie, że ani kosztu nie mam, ani jedyne go swego dać mogę.

I Paszek:

— Pojmuję.

Teraz go Grzymicha słodziutko pospyta, czyli im kiedy skąpą była. Odrzeczce Chromy, że owszejki i zawsze szczodłą.

A rejencicha:

— Owaciem teraz szczodrzejszą i najszczodrzejszą będę. Miasta wam na niemieckiem prawie wypuszczę, siól przydam bez liczby, ile zachcecie.

Nie mówiąc, Paszek słuchał, uśmiechem tym swoim pokryty.

Dalej rzecz wiodła:

— Więcej dam jeszcze. Znasz owo jedno prawo władne, księskie, sądu Bożego prawo? Wa-

sze będzie! Moc dostaniecie członków ludzkich mutylacji i wylupiania oczek, będziecie grzebać pod ziemię ludzie żywe, będziecie wiedli na stos, kogo li wam się żywnie zachce!...

Jakoby słów nie słyszący, mówił k temu chromy gwardjan:

— Ci zasię z książąt chrześcijańskich, którzyby alibo kosztu zbrojnego nie mieli, alibo w szyku nieumiali byli — powinni są dopełnić *conditionem alteram*.

— Jakaż ona? — rączo pospytała Grzymicha.

A Paszek:

— *Conditio* krzyżowej pokuty, która wykłada się tak: Pokoli Ziem Świątą dobytą nie jest, mają wszelkni małżonkowie książęcy czystotę cielesną chować. Którzy w zmysłach igrają, przestaną, którzy z nałożnicami siedzą, precz je przepędzą od tychmiast. A jeśli ninie niewiastki pojęli, tedy je w dziewczyństwie ostawią. A owo tknie się i waszego Bolka.

Zaraz wołała pani Grzymicha, żeby więcej rzekł o tem ślubieniu, jak z niem jest. Więc prawił, jako Cunegundis ostać ma *casta et castissima*. lżby cale a cale nie zaznała grzechu męskiego. K temu miłość pani stróżować pilnie muszą do roku.

— Zaś po roce?

— Po roce ją ociec prowincjał w dziewczyństwie obejrzy i ślubami utwierdzi.

Jako mincarze srebro ważą, tak pani Grzymicha myśli ważyła rozmaite i pytała:

— A jakli slewka moja pokuty owej dopełni, wtedy wierę stolec krakowski mój? Toć powiem, iż dopełni!

Tedy odparł gwardjan, jako nadto srebra i złota brankardów trzy upakować lza. Aliści nie ono najpierwsze.

— Któreż znowu? — rzeknie patrząca końca tej gadki Grzymicha.

— Najpierwsze to, iżbyście miłość pani z dworem swoim całym niżadnego ucha spowiedniego nie brali, krom naszych oćców franciszkowych.

Tu jął wykładać wiele o dostojności habitu szarego i paska z węzłami, w którym zbawienie duszy pewne i jedyne. I twardo urągał wszelkim innym kpicom mniskim, tak benedyktyńskim, jako i cysterskim. Więc tamtym żadnego ucha nie dawać, ani wygody. Temu jeno winy wyznawać, je- goż nakaże konwent franciszkowy. I to owszejki przyzwolić, iżby po wsiach i miastach księstwa wszechwszędy kazać mogli braciszkanie, od na-

paści bezpieczni. Ano jeśli klasztor postawić chce pani Grzymicha, niech ta stawi, żeby jeno nie jeden, a dwa, z cegły czerwonej ulepione. Też na kapitułę przysłać raczy co rok grzywien srebrnych pięć razy po dziesięć, też obraz św. Franciszka w szczyrem złocie wyklepać. Tak mówił, a re-jencicha, słuchając, stękała.

Rad wielce, że go pod ziem nie posadzili, wracał dodom Chromy Paszek, a zaraz potem w stołpach rozzuto oćca Przebora z jigieł kłujących i z kłódek odemkniono, aby przed oblicze dostojnej na sekretny pogwark szedł. Któremu ostro nakazała: Niech tam, jakie chce, dziewczynie nauki wykłada, to jej atoli przykazując, żeby w cno-cie trwała. Bo inak potoroku do wora główsko lyse dasz!

Tedy posłuszny prawił do młódki, kiedy na-zajutrz po naukę przybiegła:

— Ninie o djablisku więcej powiem ci. Dobrze mnie słysz, iżbyś pojęła, słuchając. Niezawdy ma on ślepie wilcze i włos kosmaty. Niezawdy do pasa światłem świeci, od pasa smrodem kurzy. Też każdą, jaką zachce, skórkę ludzką wziąć może na się, gdyż przyrodzenie jego węzowe. Alici wpierv na jedno okamgnienie strzyma w człeku duszkę

Bożą. Jako każdy zjawić się może: jako mać i żelwica, jako rodzic i brat. Taka moc, taka w czarcie moc! Wierę i we mnie biedaka wniść zdolen; i w ciebie, okrom chęci i myśli naszej. I jedno sam ociec święty, pan papież to dane ma, za przyczyną Macierzy Pana Krzystowej, iż w skórkę jego nie lza włazić djabliskom.

Tu Cunegundis:

— A hej, cóż mi prawicie? W mać wlezie ten czart i w brata? Otoć i w małżonka ślubnego też?

A Przebor, w oczkach rozgorzały:

— I w małżonka ślubnego też. Przenajbardziej, to wam mówię, przenajbardziej. Gdy dziewczkę w czepiec odzieją, mężowi dawszy, wtedyć czar-cisko skwapliwe! I pożąda ku niej tak, jako jeleń pożąda ku studniom wód.

Więc Cunegundis:

— Wejdzie li w małżonka mego, jakoż rozpoznam?

— Znamiona będą niejakię, z których poznacie. Azdali kiedy wasz Bolko sapiący do was przybieży, gdy ogniem zajdą mu oczy, a dziwnem pojrzeniem okoli lica twe i osobę, — wtedy waruj się go, dziewczeczko! Azdali kiedy tak będzie, iż

w pałającej przyskoczy postawie, gwałtem za oburącz chyci i cichcem prawić pocznie wabne słówka niejaki — wtedy waruj się go, młódko miła! A to pod przewiną grzechu śmiertelnego! I pod piekielnych męków karą! Albowiem nie on to jest, mąż twój. Nie on, jeno djablisko jest! A jedno okamgnienie starczy, iżby największe szkodowanie uczynił duszce waszej!

Skrzykła mocno Cunegundis i struchlała, bo jej to w pamięć weszło, co już raz była ujrzała w majaku sennym. Zaczem, ze stołpca zszedłszy, pobiegła w okrągły kościółek wawelski. Sama jedna stanęła maluśka wpośród ścian wysokich, szerokich. Poprzez węzuchne okieńce w grubych ciosach kamienia napływało słońko, ukazujące nieszporną chwilę seksty. W ołtarzu rozwarł ryte w kamieniu ramiona Krzystus, zbawiciel bolesny. Na ciekących wilgocią kapitelach i zwornikach gziły się wodożygie szatany, szczerząc ku młódce okropliwe pyski. Cunegundis na ziemistej polepie kościoła rozłożyła w krzyż swe dziewczynskie kosteczki i chciała Boga miłego prosić zapaliście, iżby przynigdy czart piekielny nie wszedł w duszkę jej książeńcia. Aliści słówek potrzebnych k temu nie umiała.

Podczas chorus zakonny godzinę odprawiał. Poklękały rządkiem kaptury mniskie i, chełtając się tam i sam, jednym pospólnym mamrotały głosem:

Inclina Domine aurem tuam et exaudi me, quoniam inops et pauper sum ego.

Cunegundis klęcząca szeptała cichutko, powoli:

— Oócze nasz, jenż jeś na niebiesiech, oświć się imię Twe, przyjdz Twoje królestwo...

Mróz był tak twardy, że panu Pakosławowi nos pobarwiło na sposób mycki biskupowej. Wiselkę zasię mrozy związały i stanęła. Aliści, jak zawsze od lata, wyjechali oni samopiąt z pod sędomierskiego kasztelu. Książę Bolko poprzód, pan Pakosław wojewoda za nim, dalej Mszczuj, zwany Lisem, Siegniew i Strachota, Pakosława syn. Spół z nimi gnała rota jedna kuszników w pół setce koni i głów, chłopcy wyborne. Owszejki w wielkiej do wojowania ochocie.

— Eja nam, — prawił pan Pakosław jadący — bychmy takich rotów pięć razy po dziesięć i więcej stawić mogli, trzymałbych tą ordę za głupka. Alić wierę, gdy lody trzasną, być może Tatarzysko tu!

Który, skąd nadejść mógł, Bóg jeden na niebiosach wiedział. Kniazia Michała ludzie w roz-

sypce z Czernihowa uciekając głosili, że khan Peta ku krakowskiej teraz ma chętkę ziemi.

Co prędzej tedy przyuczał się Bolko z młodziankami składu bojowego w kasztelu, jenż o pięć stajań od Sędomierza stał. Kładziono codzień księciu zbroję kopijną srebrzystą, brał mycki ciężkie i nakolanki, oraz dwie półpłaty: na piersi jedną, na plecki drugą. Bywało stąd fukania co niemiara, gdy miał nawdziwać to wszystko. Na pawęż wołał, że nieporęczna, bo kształtu ważnego nie ma. Raz mu było kłaków pod zbroją za mało i ziąb czuł, gdy zaś więcej przydali, piszczął, że gnioł.

Na błoni, nad Wiselką, rozszykowali młodziankowie kuszników, pilno czyniąc z nimi obroty i składy. Zaś pan Pakosław pouczał księcia wszystkiej sztuki kuszniczej. Nośnej kuszy Bolko do rąk nie chciał, że nieskładna i księżęciu nanic.

— Tedy, niech się miłość wasza li do jezdnej kuszycy przyłoży.

— Podajcie!

Podał woj księciu na koń kuszę jezdną, która była ze srebrnym kutasem i kością wyprawna. Zaczem prawił, jak z nią jest. A to, że bywa mniejsza od pieszej i z cieńszego żelaza obłąk

ma, cięciwkę zasię z kichy bydlęcej lub kręconego rzemienia.

Zaczem pytał Bolka, czyli nie przepomniął doma pasu kuszniczego. Nie przepomniął.

— Toli widzicie hak na poboczny pasa?

— Cóż z nim?

— Zaczepić raczcie o lewar, a raźnie i z siłą. I pokazywał tak i tak.

— Teraz ku koniu pierś pochyłcie. Mocno li strzała siedzi w rowie? Stopkę zaś dzierzcie w gotowości, by wraz o kuszę zawadzić.

Ale te próby nierażno szły u Bolka.

Więc pan Pakosław dalej przyuczał:

— Hejże, a cięciwki nie silić za bardzo. Teraz baczcie, kiedy powiem. A oto mówię wam: mierzaj! Co się wyklada, aby dobrze od oka wziąć. Wzięliście? Puść!

Świštu, drzystu pomknęła strzałka w białe dale. I zaraz nad przeręblą wiślaną wykopytnęło się jedno kmiece pacholę, z kupy całej, która tam tropu bobrowego szukać rozkaz miała.

— Słabo pchniona — warknął pan Pakosław. — Dwu chłopu możnaby naraz!

Tu Bolko jął prać się oburącz co siły po ramionach, bo go ziąb większy brał, a k'rzeczy

wojennej chęci nie miał, więc pan Pakosław trąbił na Strachotę, Mszczuja i Siegniewa, niech z nim trochę gwoli uciechy w polu przegnają.

Gnając po polu, gadali młodziankowie, bo mieli do księcia śmiałość, od dziecek razem będący na igrach i gonitwach.

Mszczuj prawił do Strachoty, a Strachota prawił do Mszczuja:

— Powiedział mi stryk, że drzewiej, za staro-
wego wieku, koli kich bydłęczych do cięciwki nie
stało, urzynały niewiastki kosy swe, aby cięciwy
z nich kręciły.

— Zaśby?

— Tak bywało. A czasem niektórzy i prze-
nich woli chycił za kędzierz i ciachnął kosę na cię-
ciwy. Toli białogłówka piskać musiała... Uhi...

Śmiali się, aż dech im w sośle tężał.

— Tatarski śmieć toby zaś nie mógł!

— I czemużby nie?

— Żali nie wiesz? Wierę u nich babska łyse!

Uj - ha!

— Prawda li to, że Tatar z kobyły się rodzi?

— Ahi, głuptasie! Jakżeby człek ze źwirza?

To jeno, że je pod kobyłą cyckę kładą, bo ta-
tarska mać dwunaście dziecek naraz rodzi, a przez

rok trzy razy po dwunaście: pod wiosnę raz, jesienią wtór, i w mrozy jeszcze też. Zrazu ślepe, a potem trzy oka piesku takiemu rosną.

— Muszą ci być owszejki babska wyborne, naschwał!

— A z Kumankami wiecie, jak jest?

Tak sobie oni gwarzyli, a Bolko uchem strzygł i słuchał rad, bo mało tego świadom był. Więc prosił, by jeszcze mu co powiadali, ale żeby o niewieściej rzeczy.

Tu Siegniew, cichy dotychczas, rzeknie oskómliwie:

— Wierę, trzebaż to waszej miłości osobnych gadek słuchać, gdyś żeniuch został jest? A toż niewiastkę ślubną w krakowskim dworcu macie i czeka ciepluśka...

— Owszejki mówcie, nie powiem jej!

Zaraz parskali głośno z tego, szeptać cichcem gadki o nim znamienite.

Wtedy ksiązę Bolko zaperzył się bardzo, wołający:

— Hejże Strachota, co tam cichcem prawicie? W te pędy powiadaj mi, jak jest z niewiastkami, bo nie wiem.

— Nie wiecie owszejki jak jest? Prawda li to?

— A nie wiem.

Więc Mszczuj:

— Toliście się już pokładali?

— Pokładałem łośńskiego roku, to i cóż?

Widzieliśta w świetlicy wawelskiej.

— A potem samowtór nie?

— A pocóż? Ślubiny jedne są.

Więc oni chórem rechotali. Mszczuj pierwszy, Siegniew wtór za nim, Strachota także i wszyscy razem.

— A jakże śpicie?

Mówił Bolko, zły i nie rozumiejący, o co go chcą, jak śpi. A oni w chichoty jeszcze większe. Wtedy książę jął ich wielce przenagabywać, wpadł w złość i wałacha kłuł. Więc wyłożyli mu biało-głowską rzecz jasno.

Zamilczał, słuchając, ale w pamięć wziął. Mróz zasię brał coraz sroższy. Bolko ziąbu już nie czuł. Prychając, gnał do dom chmurny i głęboko ważący.

Skroś drogi siedział kudłaty chłop, dzierżąc z babą owo pacholę, z kuszy ustrzelone, które już było stężale w trupka. Tłukli w pokłonie głową o śnieg i wyli społem, prężąc żałośnie gicały do książęcica.

— Dać tym ninie szkojców pięć i kamienia woskowego ćwiartkę — krzyknął Bolko Strachocie i jechali doma.

Gdy do zamku posięgli, już tam goniec z Krakowa czekał, co mu donieść kazali, jako ichmość ducissa, księcia panowa żona, w odwieczerz w Sandomierzu stanie.

Rozzuł pawęż kopijną, cisnął gdzie nie bądź płachy i nakolanki, wołał, by szczap dołożyć w kominie, legł na skórę i mocno spał.

Gdy oczy rozwarł, wieczór był. W komnacie przyległej coś świegotało. To Cunegundis z dworkami kosteczki w kominie grzała. Spojrzał ksiązę w kąty, szukając męskiego przyodziewku. Nie było. Nalazłszy zbroję kopijną, wdział ją. Odwarł łańcuszek komnatki i wszedł. A idąc, dźwięczał.

Czyli to, że przy ogniu siedząca, czyli, że od dwudziestu niedziel niewidziana, wydała się ducissa księciu krańniejsza i rumiana. Kędzierzawe promienie, barwy laskowego orzecha, biegły w dół od białego czepca. Szatę miała fałdzistą, długą, u piersiątek ciasno obłapioną. Napozdłuż i nawszerz wypulchniała niby gruszyna, kiedy źrzeje. I na każdym członku jednako cudna była.

Pozdrowili się i poszli w pogwarki. Powieda

mu ona, że w tym Krakowie były wczoraj wielce jadowite gadki o Tatarzysku, który, prawią, już haj haj nad Wiselką stanie. Więc wyprosiła się u macierzy, by obaczyć i pospytać, coli to się święci?

To prawiąc, pokraśniała, dotychmiast go ani w kirysie, ani w tej zbroicy srebrzystej nie znająca. Wydał się ducissime Bolko inakszy. Latem chłopię zeń jeszcze było, ninie witeż i woj. Mówiła, że już teraz nie strach jej przed Tatarzynem, odkoli tu jest. I wstydzając się, prawiła mu tak, jak dotąd nigdy. Że w tej zbroicy zda się jej, jakby już był owym, którym go mać widzieć chce przenajbardziej.

— Chce mnie widzieć? Kimżeby?...

— Całej ziemicy polskiej księciem!

— Mać jeno chce tego — a wy nie?

— Jaci też!

I rozbłysła bardzo w oczkach.

Potem jedli społem z mis chlebowych, dzieląc palcami kawały sarniego uda, które było dobrze dymione i jałowcem pachło. A potem mieli się ku spaniu i szli precz od siebie.

Jeno huknął książę z okieńca, iżby zwód mostowy ku górze ściągali. Zaczęły zbryczeć łań-

cuchy, które przez kroksztyn szły od dworu do pułapu, gdzie tkwił w bierzmie kran żelazny. A potem cichość zimowa zaległa na kasztelu.

Nie czekał Bolko długo. Trącił nieco łańcuchy i do komnatki wszedł. Łuczywo z piskorza suszonego łyssało u stropu niezgaszone. Cunegundis, w pościeli siedząc, grzebała kościanym grabkiem w kędziorach, które roztoczyły się tam i sam po ramionkach, po przypiersi i po białej ciasnosze.

Obaczył w niej teraz niektóre znamiona niewieście (też same, co o nich Strachota rankiem opowiadał) i wraz wstały w nim wszystkie zmysły cielesne. Rychłym skokiem przybieżał ku posłaniu i posiadł się przy małżonce, sapiący.

Cunegundis oczy ucieszone na Bolka podnosi, chcąc rzec, iż mu rada, lecz oto zatchnęło ją z przestachu. Spojrzała nań i wnet owe słowa oćca Przebora stanęły jej w myśleniu: „Kiedy ogniem zajdą mu oczy, gdy sapiący do cię przybieży“...

A wtedy jęło ją cosi mglić w gardziołku i ciskać. Ziąb z ogniem pospołu biegał po dziewczynskiej lędźwi. Chybotwała się caluśka bardzo

a bardzo. I tak ją trząść wzięło okropliwie, jakoby chorość niejaką czuła.

Sapiący, chycił ją Bolko za oburącz i szeptał, aliści nie jego cale mowę słyszała, jeno oćca Przebora, eremity: „Przyskoczy do cię nagabliwie, chyci i pocznie cichcem prawić rozmaite słówka“...

On zasię mówił: Czyli jej co powiadali, bo jemu już. Być musi żywot wespołek między małżonkami. A to ostanie tajemne między nimi. Potem wabił ją ku czemuś, czego nie rzekł. Chciała go prosić, żeby się nad nią zmiłował jest, ale nie lza jej było. A on, chłysnąwszy, wołał, iżę ją miłuje prze wszystko. Prze tych włosów rozpuści-
stych, prze pąkowie na piersiach obojogo tu i tu i prze jej tego rozkosznego smaku, który mu dotychmiast ostał był niepostrzeżony. I że ninie pożąda ku niej tak, jako pożąda jelen kę studniom wód...

Wtedy porwała się i krzykła wcale nie swoim, aleć tym oćca Przebora głosem:

— Djablisko jest! djablisko jest!

Rzuciło ją o ziem trzęsącą i znowu podniosło. Chyciła się rączką tarczynu, patrząca, kędy uciec.

Bolkowi, ognie szły z chabrów ocznych, gęste, obfitsze, płowy kędzior zjeżył się w kudły i spotniał, a słowo polazło w krtań.

— Djablisko jest! — krzyknęła znów i zemdlała docna.

Natenczas ksiązę krakowski i sędomierski skórę turzą o ziem cisnął, chycił swą żonkę wtór i na zielnych woniach ułożył.

... Gdy zagnała zaszczękały ostro łańcuchy u pułapu i jęły zgrzytać niepomiernie, obracając się ze stukotem na żeleźcach kranu. Skrzypnął zóraw, hrymnęła wdół brona i zwód.

Na zwodzie mostowym zadudniało, jakoby rota cwałem tam gnała. A krzyk i lament działa się w przysieni. Bolko niewiastkę skórą nakrył i odgarnął spotniałe kędzierze. Pchnął zawór w okieńcu i wyrzał. Łuna zaćmiła mu oboje oczu. Niebo stało czerwone. Gdzie dojrzeć, gorzały wici smołowe. Na dziedzińcu pełno było od jeźdźców, którzy głosili trwozę.

Wnet doszedł, co tam jest: że widno idą na Sędomierz ci, których piekielne ksiązę sędomierskiemu księciu śle: ścierwo na konikach, Tatarowie.



Od wschodu słońca biegli, w gęstwie wielkiej, niepoliczony, na postrzał z łuku rozstawieni, lodem namarzli, w skóry zaszyli. Naprzeciw śnieżnym przewałom szli, naprzeciw zamrozom twardym, bez znaków uprzednich, w zaciszu. Kudłaci, łściwi, drapieżni, dotąd niesłychani. Ohej!

I wierę antychryst z nimi gnał, aliści nie w jedno obleczony ciało, jeno we wielości ciał małych, do koni przyrosłych.

A od naboju tego stękała ziemia, której spokojność jako miód z leśnej barci brali.

I już tam kur przez wielki czas nie zapiał, kędy podeszli. Kyrje elejson!

Jak pokoszona traw padało plemię chrześcijańskie.

I już tam zgłiszcz dymiła bolesna, zasmucona. Chryste elejson!

Peta, suczyny syn, wiódł jedne, Hajdu, zgłobliwy pies, drugie gnał. Służył im wielbłąd, konik garbaty, służył im Kuman, Bulgarus i Rusak, rojno przodem pędzony.

Tu tysiąc po dwieście łuczników —
 tam tysiąc po sto siekiernych —
 tam tysiąc po sto oszczepnych —
 W kotłów łomocie, w bębnow jazgocie szli.
 Ogniem parzyli, okrzyk czynili, hoszczepem kłuli.

Piekło stanęło otworzone, niebo stanęło zasmucone. I aniołowie Pańscy skrzydłem wzrok nakryli.

Nim koziorożec lody uwięził, dobyli Kamieńca, a kiedy wodnik ryby zamroził już na ten gród sędomierski naszli. I ciasno go obegnawszy, strzelbą prażyli.

Ani ich wstrzymać mogła Wiselka, woda biała lodami ścięta, ani ich śnieżna zamieć obłąkała. Jeden mógł widno odpór temu dać, w niebiosach nadnawyższy Bóg!

Wtedy na dworzec krakowski trwoga podeszła i wypełniła go powszędy od przysieni aż po wieżowe stołpy. Struchlał zalekły zbór czeladzi, umknęły w kąty dziewczki darmopłochy. Tłum

niewiastek i panów, tłum rotmistrzów, kapłanów pokrzykał, przebiegał strachem oparzony, rady szukający.

Żeby wały oprawiać, — mówią mnisi cysterscy.

Czyli bramy zamykać? — pyta starost grodowy.

Którym Bogom się modlić? Panu Krzystowi nowemu, czy dla starucha Jessego końskie łądzić obiady?

Cizba białogłów zachłyśniętych przy ogniu kucnęła. Płucowieszczki, paprosznice, kobiety. Kądziel do ognia kładą, wróżek różnych szukają. Co będzie, co z nama będzie? I wszystkie przeciwek doli zlej zaklęcia pazdrotają.

Pazdrocą jedne, wołając: † IRAN † LIRAN † CARAPHAN.

Pazdrocą drugie, wołając: † STOLIDAN † CALIRAN † CARAPHAN.

Gospodzie, zmiłuj się, Jesse ulituj, ogniu uratuj!

Wszystkim widny ksiązę Bolko komnaty przebiega. Słowa niejaki rozruca, znów czoło trze i o macierz pyta. (Która podczas cichcem na kasztel leśny udała się, skarby do ziem chować). Więc panów do rady skrzykuje. Biegą k niemu strachem.

obleciami. Żeby wraz wici palić, woła, żeby włódków spędzać. Jaka siła k nam idzie, o to pyta.

Więc barony w szmer, a zgłobliwy. Nieogarniona ta siła. Przecz tak znagła podeszła, nie wiedzą. Na insze krainy ruszyć miała poprzód. A tak gorze nam! Jakoż włódków zbrojnych przywabim, kosztu nie mając? Skąd rotę wystawim, leli-poleli? Miecz nasz na obojej nieostrej stronie, hej. A cóż Sędomez? Nie strzyma. Chybaby oddać i ten gród krakowski, nieoprawny? Chybaby księciu z niewiastą ku węgierskim okrajom iść? Boć tam przymierza nie uprosi u nich.

W rozgwarze ciżby struchlałej, w piskocie niewiast jęczących, wśród modłów, za księdzem wtórzonych, wśród guseł, w ogniu czynionych, jedna tam ona była osobna i cicha: Cunegundis. Precz od tych gadek biegła na samotne myślenie.

Panowie tamci nie wiedzieli, przecz tak rychło Tatar nastąpił? Ona owszejki wiedziała.

Mężowie tamci nie pojęli, czemu na lackie ziemie pierwej runął, bez znaków uprzednich, najnaglej? Ona bystro pojęła.

Od dziecek słysząca, że przyjdzie, w tem spodziewaniu wyrosła.

Jasno wiedziała, kto idzie. Pod przykryciem

tatarskim bujny król! Przeciwek mnie on tu idzie,
 chocia dzieweczce, przeciwek mnie wielki sunie,
 chocia maluśkiej.

Jenżeś był wstąpił w oczka Bolczyne — tyś to
 sam, bujny królu!

I wraz potem gród sędomierski obegnał —
 tyś to sam, wraży rabie!

A ktoby z tobą nie wojował, grzeszy!

A kto cię pognębi, przeszczęsny!

Chłopiastkowie cieńcy szli do Ziem Świętej
 przeciwek tobie w potrzebie —

Mać Boża łeb ci zdeptała żmijowy —

Hedvigis święta i pani Salome najmilsza
 bojują z tobą najtwardziej —

I ociec Przebor krwawiący. I Boża czeladź
 powszędy...

Te pomyslenia gorące kołowały w głowinie
 niewielkiej, która ważyła długo myśli różne, to
 ufne w moc Bożą, to nieco truchliwe. A wtedy
 z wejrzenia Boskiego jął w niej narastać mocny
 duch. W niej jednej, kruchej dzieweczce. Z po-
 myśleń wyszła okrzepiona, wyższa nad tamte po-
 strachy, mocy pełna i potrzeby z czartem żądna!
 K temu jednemu przybyło jej latek i rozrządu,
 sumienia i wszystkiego.

A wtedy księżę przybieżał. Splątany w kroku, pokwitający bladością, jakby w nim umarła jedna duszki połowa, a drugą lęk ochwacił. Jął prosić cicho, by się nie strachała. Zna on niejedne schowki leśne w puszczy. Tam uciekną samowtór.

Ogarnęła go dwoją swych oczu, zawsze dobruchnych.

— Albobyś w ojcowe krainy pojechać skora, kędy król-ociec da nama tarcz bezpieczną — tak prawił dalej.

Spojrzała nań raz wtóry, nie rzekąc.

Pospytał, czemu milczy. I powtórzył, jako zna dziuple skalne, wyborne, wszystkim ospizone.

Jemuż wtedy odpowie Cunegundis:

— Tambyś skrytek poszukał, nieduchu?

Zagadnął, czemuż do węgryńskich ziem nie-rada.

Jemuż wtóry raz odkrzyknie:

— Tambyś mnie wiódł, ku ojcu?

Więc Bolko:

— A wiecie wy, że ninie nocą deszcz krwawy z nieba pójdzie? Nie strach wam?

— Nie strach...

— A wiecie, iż ninie rankiem wyrzął dziw

straszliwy z przerębli wiślanej, w oczach świecący,
w pysku kozi. Nie strach wam?

— Nie strach...

Tu przyjął książę spojrzenie zdumiałe, próżno
dociekające.

— Wierzę objawcie, alboli poradę dajcie, co
mi uczynić lza?

A ona:

— Co lza? Ziem Bożą od czarta chronić,
włodarstwa od szkody wiarować! Rabu wrażemu,
zboju pieskiemu odpór dać. To wam lza!

Chytał oburącz głowinę i ramiona rozsze-
rzał, rzekąc:

— Niestetyż, milutka, niestetyż!

I wszystko wyrzekł, cò tam panostwo mó-
wiło, jako chrobrości brak i sprzętu i srebra
na żołdy, a przeto precz wyciekają rotę najemne,
nieopłacone.

Jakoby promyczek, z nieba bieżący jasnego,
spłynęła wonczas w tę główkę dziewczynską myśl
przemądra, dostała.

Kruchą rączyną ozwarła błonną zaworę
w okieńcu.

W dół góry wawelskiej biegły rączo srebrne
brankardy, strzymywane karczydłem wołów jarz-

mistych, którym ucieczkę nagłą w lasy rozkazała pani Grzymicha. Człapały wolno juczne muły, dźwigające biesagi pełne kosztu drogiego i złota, pełne ważnych kamieni i pereł. Były tam grzywny srebrne pochowane i łańcuchy zawiesiste i świeczniki, były puhary i figury, klepane z przyczystego złota...

Cunegundis rączyną k temu chynęła:

— Ot wiano moje, gierada! Bierz je! Na potęgę Tatarzysków bierz, na odpór, na rot wspomóżenie!

Książę bałuszył na nią oczy nabożne, szerokie. Zasię ona dalej wołała zapaliście, iż to zetrwają, gdyż Bóg, jenz anioły piekielne pognębił, uskromi plagę!

A pod każdym słówkiem takim tajał mróz Bolczynego strachu. I docna odmieniała się myśl w truchłym książątku. Ta duszyczki połowa, co w nim była umarła, ożyła, ta co ochwaciała, odeszła.

Już o schowkach nie myślał.

Słów mocnych w sobie poszukał, rząd wziął. Wici rozkazał, listy przypowiednie najrychlej. Panów nieduchów sfukał.

— Gdyż nie dopuszczą k temu pocziwe świętych zastępy, by nas zmógł Tatarzysko. Niech

mi hnet roty nowe z włodyków formują, niech
hojnie kupią najemców i sprzętu za srebro, za
perły, za złoto! I niech mi koników tysiąc we
zbroi stanie. A ma być wszystko *pro communi
defensione terrae*.

To Cunegundis w nim sprawiła.

Zaiste z wejrzenia Boskiego.

Z jej oczu szmaragowych skrzepienie wziął,
siłę. Wpierw męża w nim podsyciła, ninie wło-
darza.

Sędomierz, od dwu niedziel obegnany, bro-
nił się. Był gródek ten co nieco oprawny,
aliści miętko. A ospizony niewiele, a przy-
prawiony niebardzo. Te tam parkany obronne,
Boże litościwy, to jeszcze bywszy król Krzywoust
układał. Ledwo na trzydzieści dłoni większych
wysokie stały i ośmnaście mniejszych; z pni dę-
bowych wpoprzek ułożone, polekku gliną ole-
pione. Wały tam były stareńkie lada gdzie, a prze-
kop skąpy, niedbały. Chcieli k temu braciszkwie
cysterscy przydać wtóry parkan okolny i wpuścić
hurdy nowe w dębinę. Jak raz byłoby! Ale, żeby
im zato oddała pani Grzymicha prawo ryb i zrębu.
Która, jak to białogłowa, nie chciała.

A też nienadto rycerstwa w Sędomierzu zosta-
wił pan Pakosław, odjeżdżając, i to przykazał, mów-
wiąc: „Ilko można strzymać plac ten, tylko trzy-
majcie. Chociaby do śmierci, do zabitej śmierci!“

Wierę, trzymali. Gniady Piotr secinę ludzi miał, Szpaczek z Bystrej dwie, ci bramy strzegli. Łukasz ze swymi na wschodnim parkanie stał. Kulesz zaszczycał od zachodu słońka. Janowi z Biełan dano rotę posilną w załodze. Było tego ze wszystkim, rot kusznych i łucznych, tak swobodnych jak i najemnych sześć, ale cóż, wielki mieli oni niedostatek przyprawy oraz stroju kusznego. Modły Bogu oddawali, bo się trwogi spodziewali.

Gdyż tylko w bramach ostatnie zapory wdół natrząśnięto, już ten przybuś kudłaty nastąpił. Zaczerniało powszędy na śniegowych polach. Przedem Rusacy przyszli, wieże jakieś z sobą ciągnąc, na kołach jedne, insze na wielbłądach. A te wieże od naszych wyższe były. Zaczem w pobliż podjeżdżały tarany pewne, a każdy baraniogłowy, dwuczelny. Też kusze niesłychane na kozłach sposobiono.

Uszykowawawszy ten przybór djabelski, zaraz toporem zmóc próbowali pierwsze palisady. Więc Gniady Piotr w nich troszeńkę pociskiem kamiennym na oddal. Nie dbają na to wcale, rąbią, a insze plugastwo do przekopów glinę już sypie. Też chróstu siłę na podpał gromadzą. A to wszystko aby miasteczku na potęgę!

Alic sędomiczyki też próżno nie siedzą; albo pocisk ciosają, albo smołę topią, albo to i to do siebie krzyczą. Ku bitwie niezbyt radzi, owszejki czekający, kiedy Tatarzysko przynagli.

Pode ćmą nocy przynaglił, bladysyn! Nasamprzód wrzask haniebny bębnow i kotłów i ludzi podniesiony był. Potem znagła iść ją strzelba gęsta i gęściejsza. Z tych łuku, co je podwójne miał każdy ścierw kudłaty, z tych kusz, na kozłach uładzonych, prażyli.

Zastękały parkany od wschodu i zachodu słonka. Zapłakała brama, głazami kąsana. Lecz nic to. Naszy twardo na parkanie zasiedli i odpór dają wyborny. I jeszcze Tatarowi wołają: Pójdźże bliżu, bladysynu, a pośpiej się, niedomordo!

Jakoż podeszli. Z nimi wespółek mróz uderzył. Już tłuką parkan tarany, już go od dołu próbują czekanem. Coraz orda podbiega i podpały kładzie. Że podżarzy ten gródek, rozumie. Alic glinna nalepa namarzła twardo lodem i nie daje.

Teraz te wieżyce na wielbłądzich barach podjeżdżają. To owdzie, to indziej. Poryk z nich idzie, rzawa paskudna, strzelba bezprzestanna.

A sędomiczki na nich smołą pałający, ops!

I wapnem nieugasistem, i gładem, i pociskiem
wszelknym, uj-ha!

Po dwakroć, po trzykroć! A naści, a odstęp!

Prycha, miażdży się i rozpryska suczyne ple-
mie, atoli na jednych flakach rozprysłych inszy
zdrowi następują.

Ledwie gnojarsz taki na ostrokół podlzie,
już mu główkę na płask przygnietli. Gdyż jeno
drabinę na parkan wyrzuci, hnet wskok odejdzie
posoką rzyga.

Więc Tatarowie tak wymyślili: żeby sobie
nad głową udziałać wielki sklep z tarcic i szczy-
tów. Udziałali i tak zasklepieni postępują, rycząc.
Kulesz wraz w te tarcice i kłonicami, i kamykiem,
i masłem plugawem w sam raz! Poznał kocmo-
łuch, że nie zdierży, ależ siłuje jeszcze. I tak
pierwsza niedziela tego obegnania przeminęła z Bożą
i pocziwych zastępów anielskich pomocą!

A gdy druga niedziela nadeszła, zelżały ostre
zamrozy. I wcale niedobrze to było, bo lód na-
marzły stajał na parkanach, a gęstokoły zwilgły
i ciekły, już do podpału pochopniejsze. I też wiatr
się odmienił, a to przenajgorzej było, bo go dal
siebie mieli odtąd Tatarowie.

A tu naszy obegnańcy strzałki ostatnie liczą, a tu kuszných głązów brak i siły odpornej niedostatek. I też głód bierze moc nad nimi. Próbowali owszejki z bram wyciekać we zbroi i na rękę bić się. Może przebiją. Nanic. Zawždy ich Tatar liczbą zaskoczył i rozsiekał.

A wtem piekielnik przynaglił jak najmocniej. Przyprawy zgotował, jakich oko nie widziało. Wory siarczane, żagwie zapaliste wyrzucał. Oszczepami ciskał, które w kądziel owinięte były. A ta kądziel, smołą i olejem napojona, płonęła. A te wory smrodem dymiły.

I odtychmiast wcale kamiennym pociskiem nie miotał, jeno inszym, straszniejszym, dotąd niesłychanym.

A to tak było...

Z kusz tatarskich jęły wylatać, świszcząc, drewniane beczuły.

Naszy w śmiech, obyczaju strzelby takiej nieświadomi.

A oni trupiego, czy jakiego ścierwa do tych beczuł ciasno nakładli. Gdyż jeno owa chlupiąca skrzyneczka uderzywszy przepękała, już nasmrośliwszy cuch szerzył się wśród parkanów i spływał maślistą ciekliną. Mgląca wonia osnuwała strażę,

luczników i panów rotmistrzów. Zielony, trupi miąższ bryzgał powszędy, chlustał w pyski i mglił. Którzy najtwardsze walki mieczowe zatrwąć umieli rycerze, tego nie mogli. Coraz to zwał się z parkanu jeden i drugi, chocia bez skazy najmniejszej, owszejki nieświadom niczego, zemglały. Szpaczkowi od jadu tego spuchła docna paszczęka. Już też inszy zesłabli. Gniademu Piotru strzałka ramię prawe podrapała i miał pół rotę ubitej, Kulesz z udręki ledwie zipał.

Ano oni wtedy półtorasta drabin ku parkanom podwlekli. Powszędy pcha się robactwo i przedsię na blank skacze. Już dźwięczy miecz krzywy, o tarcze szczerbiony, już leci krzyk w niebo, bolesny. Jan z Bielan ostatkiem przyciska i spycha i paprochy plugastwu temu wypuszcza. Zepchną po raz, powróci, zajmą mu plac, odbierze. Ażci go docna wdół zbodli i już tam u niego siedzą na ostrojeżu.

K temu jak nie poczną do bramy wielkiej przeć! Tysiąc Rusaków z toporem podeszło. Ażtu sieką, ażtu rąbią. Pies jakiś ogromniasty biczem je pędzi i kłuje, a do naszych wykrzyka. A to był, na dziwy, sam Batu, ich khan najstarszy. Znamienny zaraz, bo trędownię miał czerwoną na

pysku i powiechę włosistą, ku nosu mu chełtającą. Dał zaraz kaźń taką, by hnet imać to miasteczko. I, niedbały na pocisk, w osobie swej do bram postąpi i siecze we wrota srebrnem toporzyskiem.

Zaraz Gniady Piotr kuszę k niemu napina. A ten Batu do niego słowa jakieś wykrzyka.

Więc Gniady:

— A ty rzyć wielbłądzą w sedno całuj, nie-tworze!

A ten Batu:

— Wyście — pry — tacy i tacy... (ale jacy, tego nasi nie pojęli, bo po tatarsku skrzeczał).

Zaraz mu Gniady na to dołożył, że jest przyszychost i lepur i żeby mu żywo zagniła jego mać kobyła. Potem insze dodał słówka najgorsze i strzałkę wypuścił. Chyba, że go drapnęło, bo pianę dał, odstąpiwszy.

A oni podczas dziurę w bramie wielkiej wysiekli. I glinę powszędy obili. Wnet ogień wschodnie parkany ogarnął i czerwonym zębem przegryzał ostro kolcyste kłonicę.

Wtedy naszy, bez wszelknej już strzelby będąc, zwątpili. Chyba ksiązę krakowski o nich przepomniał! Co było jeszcze strzałek, to wypuszczono, co głazów starczyło, zepchnięto — i smołę

zagrzaną wylano docna. Chyba już Pan niebieski
je opuścił!

Wnet pod taranem brama runęła.

I już tam nikt żywota sobie nie wymówił.

I zapłakała czerwonemi łzami Wiselka. Ra-
niutko Tatar do miasta wszedł.

Topił krzywe szabliska w żywotach niewiast
i grdykach ojców duchownych, dziecka hoszcze-
pem kłuł, rznął na śniegu niewiastki co starsze,
a młódki, otroki wiązał i na boku kładł. Aż wykłuł,
wyrznął, powiązał do znaku.

Dzionek zaś był jak raz popielcowy, ten,
w którym od porodzenia Pana Jezu Krzysty lat
dwanaście set i czterdzieści i jeden przeminęło.

Na koniku czarnym Siegniew drogą gnał. Od szydłowskiego jadąc miasteczka, już minął był Skalmierz i Działoszyce i do Krakowa prężyło mu się. Bo tak chciał, żeby żywo dowieść tę psią rybę tatarską, jaż za nim na wozisku trzymali.

Jadąc, wspominał, co było, cale nie pojmując, jak na to przyszedł, iżże żyw wrócił między swoje.

To wiedział, że w Sędomerzu wdół skoczył z ostrokołu płonącego szalony i że mu tama ogniem w pyski plunęło, zamdliwszy.

To pomniał, jak po rozwarciu oczek Tatarów ujrzał naokół, którzy go wiedli w pokwapie i karmili. A potem Rusaków nań dali, prawiących, że albo, psi synu, śmiercią zabit będziesz, albo ty nama ścieżynki różne odkryjesz!

— Poznasz ty воск, piekielniku! — pomyślał i przystał.

Więc oni na pętlę brali go i coraz przedsię pędzili wedle ścieżynek owych. Przeróżnie tam biegał na przeszpiegi, tu z gromadą, indziej samoczwart lub i samowtór. A niedługo to było, z wejrzenia Boskiego. Raz bo chwilę zachwycił sposobną, stryk zszarpał i zgryzł, a zbójcę, jenż go gnał, w dochwytkę jąwszy, zmógł.

— Pomóż dokończyć, miła Panno Maryjo! — westchnął i w kałdun kopnął Tatarzyna.

Łotros zamierzchnął w oczach, padł. Siegniew duchem oprowił padłego. Taż samą pętlą spętawszy go wybornie, w pyski błota napluskał i pakłaków dał. I do konia przytroczywszy, pognął hen na przesiąły. Obrzeżem lasu i manowiskami popędzał, uciekając.

Zawczora działo się, jako do swoich był dopadł i we łzach witał łuczników, wojów krakowskich, dopadłszy przed księżęciem ukląkł, jenż stał w szydłowskiem miasteczku, w obozowisku ze zbroją wielką, a na chorągwi ptak biały, piastowski, polatał rozszerzonemi skrzydły. Przywitał księżę wróconego i ręce łamał, a to nad utratą grodu sędomierskiego, a to nad utratą rot. Potem Tatara spiętego obzierali i wraz księżę na to wspomniali, co był obiecał macierzy swojej, jako pierw-

szego niewolnika cało do dom poszle. Więc tak Siegniewowi rozkazał:

A też niech tam doda, że księżę ninie bitwę pieszą wydaje Tatarowi. Największa będzie ta bitwa, uderzą rotę, ze wszech zespolone, krakowskie, sędomierskie i najemne, i owe, przez jejmość ducissę fundowane. A z niemi księżę pojedzie, pod skrzydłą ptaka białego na chorągwi. I dać Bóg, że zmogą. Więc niech ducissie jasnej, najśłodszej, pokłony odda niskie i o paciorki uprasza.

Aż zatchnął się Siegniew z tej pociechy.

Owaciem ujrzy tę, jaż umiłował cicho w serduszku swoim.

I w sowit nagrodzon będzie, koli nań pojrzy królewna nad królewnami.

Bo gdyżby mu serce żywiące wpół rozkroili, jednoby tam słówko znalezione było: ducissa!

Gdy z ostrokołu skakał, widział ją.

Gdy ogniem duszony o ziem padał, widział ją.

Tej dla dożyć chciał, jaż miłował nieugasicie.

Temu k woli do Krakowa gnał. Duchem i ptaszkiem radby, aliści rydwan nie nadażał, wlokący się niedbale. W odwieczarz bramy krakowskie osięgnął. A tama im truchło było, w niewiedzy.

Już ci stały powszędy bryki upakowane i kolaski gotowe. Już też niektórzy drzewiej w asy pomkli.

Zaraz duszka zapłakała w Siegniewie, bo nie znalazł tu wcale ducissy. W okraje dalsze pojechała jest. Więc w żałości chciał chlusnąć śmiertelnie Tatarzyna, jegoż hnet otoczyła ciżba niewiastek, tyrpająca. Lecz go dworacy na komnaty wiedli, kędy chciwie czekała rejencicha. Utwierdził ją na duchu i dobrą wieścią napełnił: już tam im naszy ostatni dech biorą.

Potem rozkazowała pani Grzymicha postawić niewolnika tego przed oczy swe, ciekawa, jakiby on widny był: człowieczy czyli djabli, kozi albo li wężowy. I siadła w stołek czekająca. Przywiedli ścierwo kudłate, rozpętane. W obliczu skośny, pod okiem spuchły, głowę pokrywał kłobukiem futrzystym, ramioniska skórą jeleniową.

Wołała, niech zdzieją zeń to wszystko. Zdziała docna, zaś ociec Przebor przykrył łoktuszą co nieco Tatarowi płeć jego człowieczą. Tak stanął wszem wobec czysty w skórcie jasnej, białuśkiej, w pischzelach twardo sterczących i szczeci czarnej, na przypiersi porosłej. Wzięła pani obzierać zbójcę powszędy i nieco stukała go laszczką to po barach wzniesionych, to po łydach mocnych, dosta-

łych, to po udkach krótkich, półkolnych, rada. Jeno temu dziwowała się najbardziej, iż Tatarzyn ten, gadkom naopak, też samo nosi postawienie członków, jako i mężowie pobożni, chrześcijańscy, a wcale nie objawia tego, co mówili, pagórka śmierzącego na grdyce. Chciała go jeszcze w tę szczerć spróbować, jąż na przypiersi porastał. Tej aliści dotykać zapowiedział Przebor, pokornie błagając. Bo nużby tam jaka mastyka jadowita skryta była?

Potem wszyscy ujrzeli, że w biodrach ma ten Tatar wciętość kształtną i dziwną, gdyby niewiastka. I zaraz odskoczyli wdał, zegnając się, albowiem Przebor przywiódł był im na myśl słówko owo z pateryku: *diabolus in cingulo gracilis*, co się wykłada: kształtny djabeł w pasie! Więc dalej w strachu wielkim patrzyli, jakie plecki ma. Miał je zupełne. Czyli w biodrach światłem nie zaświeci? Nie zaświecił. Czyli od bioder smrodem nie zakurzy? Nie zakurzył. Ani żadnej takiej makuły nie miał na skórze swojej.

Teraz dworki w prośby poszły do Grzymichy, niech ta przyzwoli dźgnąć go kolcem w cielsko, iżęby głos tatarski usłyszały. Alić jak na począte, tak ninie, dżgany Tatar nie wydał słowa nijakiego.

Jeno białe zębiska łściwie k sobie ścisnął i w tej najwzgardliwszej postawie trwał.

Potem radę złożyli, coby z nim czynić. Starost grodowy z Przeborem rzecz przedkładali. Bo żeby go na sądy Boże wieść, niegodny. Albo li czartu wzdać na ofiarę, ale jak? Chyba go kołem połamać od stopy do głów, albo wyjurzyć, a oczy z jęzorem wyjąwszy, do gorącej wstawić wody? Jeszcze inak radzili: niechby oburącz i obonóż mieczem obciąć, miodem namazać pyski i tak go na mrówki posadzić, hę?

Nad tem długo dumając, zamknęła radę Grzymicha:

— Wierę, niech mi na koniku pojedzie!

Wnet gadka poszła o tem najszersza po dworcu, po grodzie i mieście. I zewsząd przybiegła ciżba ciekawa.

A oni konia ogromnego na dziedziniec wawelski wiedli. Był ci on cały z blach żelaznych sztucznie uklepany, a w wnętrzu mieścił palowisko wielkie. Nad tym koniem stawili wisielinę szubienną z jedliny, tak, aby ramieniem swem sięgła powyż potworu żelaznego. Potem do brzucha żelaznego kładli szczapy smolne i cały stos drzew, które dobrze rozpalili. Z pyska i nosów konika

jęło wnet kurzyć dymem, jakoby z kuźnicy, a blachy żelazne, zetknięte z ogniem, stękały. Bosonóż spętanego wzięli biedaka i na plac wiedli. Konik żelazny, coraz i coraz kłodami podsycany, rozgrzał się już wybornie. Napośród śniegu białego ryły się jego kształty ogniste, pulchne, syczące. Pierwszy rozgrzał grzbiet potworu, dotychczas w mroku niewidny, potem zad krwawy wychynął z ciemności, zaczem igrające płomyki rozbiegły się po karczydle, na którym tkwiła jakby ogniomiotna kulbaka. Na koniec szcerwieniła się paszczyka i wnet cały ten haniebny nietwór rozplonął, świecąc się w mrokach, na obraz smoka piekielnego. Iskrami w ciemność prychał, w brzuszysku głownią trzaskał. To szarzał, gdy wiatrem powiało, to jarzył się, bo podpału przydano. Na wzgórzu było jasno, jakoby w kupalną odwieczarz.

Oblana smugą czerwoną, czekała tłuszcza w oskomie, widoku chciwa. Tatar, konia gorącego ujrawszy, pojął, zadygotał i ścirpnął. Mimo ziąbu wietrznego rosa zeń ciepła kropiami. Pachołowie zasię przycisnęli go najmocniej, żeby snadź w wilkołaka odmieniony nie był. I przykazu dalszego czekali.

Tu starost ogniowy pierwsze słowo dał.

Włożyli mu na ramiona żelazne obrączki, potem je do łańcucha wisielnego przydali i tak na kran ciągnęli. Hnet zawisnął wysoko nad czerwonym smokiem wprost, ramionami wzwyż, nożyskami wspan, tak gotów, że gdy go wdół opuszczają, w sam raz na gorejącej siadzie kulbace.

Tak bujał. Białe i truchliwy w obliczu męki, coraz wargi kęsający, z których posoka z pianą szła.

— Uj-ha! — jazgotała tłuszczka, widoku chciwa.

— Hnetki pojedzie! — wołał Siegniew, oskomiwie w tarczę stukający.

Pachoły łańcuch prężyli, kaźni czekali.

Teraz starost ogniowy drugie słowo dał.

Puścili.

Ryk wypadł nagły, okropiwy, jakoby z dziesiątej gardzieli wilczej. Z którym zaraz pomieszały się ucieszne, nasycone pokwiki tłuszczki. Ze zwierza iskry poszły, stanął w dymach i znów rozgorzał. Na karku hyczał mu Tatar trzepiotliwy.

— Uj-ha, eja-hi — wyła tłuszczka, charkocąc. Tatar paszczkę na ścieżaj, ozwarł i rykiem żygał. Głową, podolkiem, kolanem i udem, p'szczelem każdym, członkiem wszelakim trząsł, tłukł i miotał. I wściekłym bluzgotem z gardzieli pluł. Jak kiedy w kniei psy żrą żywy flak jeleni, tak jemu

ogień krzekąc uda jadł. Szalone cielsko kolebało się tam i sam na gorącej siedli. Dygocące, sprężone i rozprężone, skwierczące, żywo pieczone, całopalone. A wonia mdła i słodka w tłuszczę pobiegła.

Gdy już ten trzepot z dygotem widny był, wołano :

— Owa, już jacha, na koniku jacha, hej!

Aliści bali się rycerze, aby nie był w tym poryku jaki śpiew czarnoksięski, tatarski, z którego szkoda dla plemienia chrześcijańskiego przyść może. Więc ociec Przebor, kropidło w wodzie święconej zanurzywszy, mocno ku pieczonemu bluzgał. I widno nieczysta rzecz była, gdyż ileraz kropia na kulbakę padła, zaraz coś tam krzektało i dymem białym kurzyło. Gdy poryk Tatarzyna zelżał i chyboty, dodano podpału konikowi, aby nie ustał w czerwoności.

Lecz już ten jeździec bolesny przycichł i barwę odmienił. Zetlał mu docna kłobuk skórzany i kudły płonęły spienione. Już pyskiem skręconym nie ruchał, ni plecką, na kość uwędzoną. Ostatnia posoka jazgocąc smażyła się na udach, chciwie ogniem chłęptana. Jeszcze nogę jedną z kuny wyrwał, śmigocąc pozdłuż gnatem krwawym, osmolonym.

Lecz głosu wcale nie dawał. Cich siedział na kulbace, czarny, pogięty, do pół mniejszy, upieczony. A zmysły wszystkie w nim umarły.

Tłuszcza, widoku syta, chwyciła nozdrzami słodki swąd...

Tu znagła dzwony trwogę zawołały. W zwierzynieckim kościółku poprzód, we franciszkowej wieży wtór i w inszych razem też.

Na niebiosach pokrwawa ognista błysnęła. A ludkowie jacyś dalecy czy ode Pinczowa, czy od Działoszyc, wjechali w miasto na woziskach, w otoku dziecek krzykliwych i wśród wardęgi ryczącej. Za nimi gońce przybiegli z bojowego placu, zjuszeni, chąziebni. Widząc pokrwawę na niebie ognistą, słysząc te dzwony, trwożnie wołające, ciżba z dziedzińca precz poszła w krzyku.

I strach ostatni wziął nad nimi rządy.

Zaś późno w noc, w pierwosny, powrócił i ksiązę z bitwy. Bez stróży był i ozdoby pańskiej. Samoczwart przygnał, w dochwytkę, poprzez karcze, manowiska. Z nim razem ptak biały na chorągwi, alic bolesny, ze skrzydły zwiniętymi. Co jeno dobył się Bolko z prażma i ulewy krwi. Ledwo żyw, z męki siny, zwałił się na tarczyn w kom-

mnacie. I w ciężkiem wzdychaniu toczył łzy swoje, gorzkie, zawściekle.

A ci czterej, co wraz przygnali, — oszpaceni i w oczach zamierzchli, — dysząc, wykrzykali bez poładu słowa rozmaite:

— Że to już gańba ostatnia i zgryzota! Bo hnet z pogonią biegną tu za nami! A ilko chce złego słyszeć, słyscie. Tak pan Pakosław, jako i Włodzimierz ubici. Okropa! I pan Klimek z Ruszczy też i Raciborowic Jakób! — A Stamposzyc stareńki? I Stamposzyc też. — A Sulkowic? I Sulkowic zabit. W gęstwie strzał Bogu duszę oddawali. — Juści nanic! Bo też inszych dusz zabita ilość niepoliczona! Najmici w jętwo poszli, przybór w perzynę. Widno, że z tego grzmienia kotłów tatarskich czar wyszedł i nama miecze potępił!... I to mówili, że do południa zajdą tu na Kraków.

Potem im wszystkim krew w żyłach zawięzła i płakali.

K temu powstał książę dostojny, w oczach krwawy:

— Wobiasz tu do mnie chłopaki. A cóż? Chyba nam ninie w obcy kraj!

I płaczem ryknął.

A kiedy słońko rankiem zajrzało, już tam

ich nie znalazło. Którzy jeno żywi byli ludziska, precz pobiegli w las i okraj daleki. Jakoby trwożna złaja owiec gonili.

Odeszedł pól miodnych bartnik, zdawna osiadły, i kmiecie, puszczy dziedzice.

Mknęły na brykach zawinięte siostrzyczki norbertańskie z konwentu, ze strachu stygnąc po drodze.

I szpylman umykał z gospody i pleban porzuczał kościółek.

Ziem cała biegła przedsię w zgryzocie. Nie krakowska sama, a wszystka wiślańska, polska. Konradus pognał z synkami. I pani Grzymicha z pieczęciami. I chromy gwardjan franciszków. I Siegniew, jenż miłował chąziebnie. I Bolko napoślad ducissy.

Coraz hufiec tatarski następował. Sto tysięcy i pięć po dziesięć tysięcy, jeszcze więcej, przęnajwięcej!

A potem poprzez roztopy szli oni i bagienne młaki, poprzez strumienie, wiosną huczące, i rzeki. Pod brzuchem końskim wiązali miechy, dziwnie uczynione i płynąc, szli.

Rozsypane stanęły miasteczka i odstąpiła

wszystka tej krainy chwała *et comederunt alii labores eius*.

Jakoby przewał deszczowy, który, z obłoków ciekąc, czyni potopy wielkie, z brzegów wylewające, a cokolwiek zasiągnie, z sobą weźmie i poniesie, jakoby kobyłka, albo szarańcz leśna na kłósną zielinę opadła, tak Tatarowie ziemię polską ogarnęli.

Stańło im naprzeciw miasto krakowskie ciche, samiutkie. Gdzieby nie zajrzeć, pusto było i bezludnie. I tylko jeden ostał w grodzie człek żywy: w wawelskim stołpie wpośród jabłuszek leśnych w kłódkach zamknięty ociec Przebor, eremita.



Już wtóre lato siedział książę krakowski na dalekiej tuławie. Niby ten kłodnik w ciemnicę schowany, nieszczęsny. Ani on tam nie miał dostatniej życia używy, ani takiego miejsca swoistego, gdzieby głowę podklonił.

Był w morawskiej krainie kasztel pewien mocny i skalny, w Buchlowie, jenż nad równiną daleką władał. Tam oni posiadli we troje: Bolko z żonką i macierzą — o pięć chyba konnych jazd oddaleni od ziemi swej i włodarstwa. I po haniebnej wędrówce spoczywali, na bezwieści, kiedy do rodzonych krajów powrócą. Owaciem odstąpili ziemi polskiej Tatarowie, ale inszy nastąpił. Poprzód Łysy Bolko, łotros wyborny, Krakow wziął, potem go Konradus przepędził i mocno się tam rządził, zaraz po Tatara przejściu główkę podniósłszy.

Aleć na to nie dbał Bolko tuławy, ani go też

gorzkością nie napełnił Bóg. Na ganeczku kasztelnym posiadł się, rozpostarty w słońku. I poziera.

Powszędy trześnią kwitnącą bieleło, wiosna była. Dołem w chłodniku pomykała ścieżynkami cesarzówna serca jego. Jakoby cudny uczynek Boży chodziła. Płaszczyk miała modry tej barwy, której niebo jasne. I szyjkę nosiła pomkłą, z okrągłych ramion wynikłą. I brodeczkę okrągłą i gardziel bielutki i brwi jako dwa sznureczki, pięknie zatoczone. Caluśka nito śliczne drzewo różane, gdy kwitnie, a tak wdzięczności pełna, iż nawet duchowie, którzy ciało nie mają, rozmiłować by się mogli w ducissie.

Jako jest studnica wodą wypełniona po brzegi, tak on był w oczach pełen żony młodej i nie-nasyt. Bo też — tak sobie ważył — ku czemu doszedłbym, gdyby nie owa guślniczka maluśka, miłowiewna! Ni ku czemu!

Za jej przyczyną wszystko działo się...

Azdali inak odeszliby Tatarowie?

Azdali bez jej pomyślenia ostałbym się wątpieniom?

I to jeszcze czuł, że do swej ziemi niewpierw powrócą, aż Cunegundis zechce i rozrządzi.

Juści dwu stajań nie uszedł Bolko bez du-

cissy. Czuł w oczach moce tajemne, nadwładne. Trwożny stawał przy niej, jakoby wieczyście zapisany. Wszystką chęć zdeptała w nim i pychę, nachyliwszy go ku pokorze.

Lecz nie znajdował miłości, jakiejby chciał. Niedosiężna dlań była, nigdy jeszcze dotknięta, *dignissima*. Rozkazała tak, aby przed jej obliczem stał zawsze od cielesnych zamysłów daleki. I stał daleki. Ani też przenigdy o tem napomykał, czy to spojrzeniem, czy pytaniem rozmaitem. Taką go mocą związała. Biało - czy czarnoksięską, hej?!

Ilko razy układał, co jej powie! A to, że do żon cudzych pójdzie, jako małżonek, a to, że się ku nierządowi uda, w jej sercu przytulenia nie mający... Owaciem przenigdy tych słówek obiecywanych nie wysupłał. Do leków uciekał się, do gwiazdziarzy. Radzili mu nagabywać żonkę wczas, gdy słońko wejdzie pod znak strzelca, który jest przyrodzenia ognistego. Radzili mu poprobować z wiosną, gdy krew się w ludziach mnoży.

Aliści gwiazdy nie miały mocy nad ducissą.

Potem smary tajemne w łożu czynił, zioła cichcem zadawał. Zajęczy mak i piołunowy od-

war z lebiotką, jeleni język z kadzidłem białem pomieszany.

Aliści zioła nie miały mocy nad ducissą.

Już i Grzymicha dworować wzięła ze synała. I pobudzała i szepiutała mu zgłobliwie:

— Ty zaś tam cale na ślubiny owe i obiecywania nie dbaj. Co ci tam... Nie poszli, jako iść mieli do Ziem Świętej rycerze, więc już te kręty rzymskie ninaco... O synku, ażebyś go miał pomysł... Chybabyś niezgułą był, kwasigrochu! Et, co ci powiem, na przesily głupicę bierz!

Rozumiał dobrze biedaczek, że tak nie będzie i dalej potulen stawał przed obliczem żonki, w które i spojrzeć nie śmiał bez dygotu. Jeno tak pytał żałośliwie:

— I długoż tak serduszko wasze zetrwa? Żalim ja dla was kto, żali niekto? Chyba, iż cale miłowania ludzkiego nie pojmujecie? Powiedzcie?

Wtedy ducissa, najśłodziej patrząc na małżonka swego, obiecywała mu po śmierci wieczną szczęśliwość niebieską.

Więc konfessora namówili, jemuż grzechy wypowiadała. Niech ją z tych obaw czartowskich rozgrzeszy, mówiąc, co też małżonka powinna jest małżonkowi swemu. Ten ci długo rozwodził. A czyli

chowa przykazania Boże? Odrzekła: chowa. A które ósme będzie? Ósme będzie: „Nie czyn grzechu nieczystego, krom urzędu małżeńskiego“. A gdzież ten urząd? A któż urzędnik? Jeszcze na to uderzał, jako dana była w małżeństwo księżęciu, jegoż, jako oblubienica, jawnie przyjęła przed Bogiem. Zasię oblubienica dziecka rodzić ma, czem zbawienie doczesne i wieczne pozyska, a księstwo od sieroctwa wybawi. K temu przywodził z Pisma różne święte i uczciwe przykłady. Tak Saara porodziła Izaaka, Rebeka Jakóba, Rachel Józefa, Johelet Arona i Mojżesza, Anna Samuela, a kogoż Elżbieta? Owo Elżbieta porodziła bardzo świętego Jana Chrzciciela, nad którego nie powstał nikt większy pomiędzy synami niewieściami. A cóż myślisz te świątobliwe przedbabki twoje, Hedvigis i Elizabetha? Owszejki dość dzieciek rodziły i we wielości, a wždy święte stoją w triumfującej cerkwi Bożej. A tak i ona powinna. I żeby się już więcej od tego wywikłać nie ważyła. A to pod ciężką duszy przewiną. Amen.

Cunegundis długo słuchała, rozważała. Nie nowotne to dla niej było, które Grzymicha jej codzień w serce rzucała. Potem ciałem Bożem oparł ją konfessor i odeszła. Sromięzliwa, łzami na-

znaczona. Bolko z panią Grzymichą czekał jej przyjścia w komnatce.

Postąpiła, rączyne doń jakoby poniewoli wyciągnawszy. Chopił się i przyklękając całował.

A ona:

— Gdyż to Bóg miły da, że do swej ziemi powrócim, wtedy...

Tu się różańcem pokryła:

— ... wtedyż, postąpię wedle chęci waszej i przykazowania Bożego.

...A gdy to mówiła, słyszeć dał się zagnała pogłos trąb na zamkowym dworcu. Głosiły gościnę jakąś, zwiastując zbliżający się poczet jezdny do kasztelu. Troje państwo wyrzeli okieńcem.

Dołem, drogą bielącą na podskalu, sunął wolno długi, widny zdala orszak. Była w nim piesza wielość ludzi ubożuchnych, bardzo umęczonych, a dwa pojazdy jakieś wlokły się wśród tłumu, jenż cisnął się gęsto im na pował. Hnet Bolko rozeznał, że nie są zbrojni ani pańscy ci ludkowie. Przecz jednak we wielości takiej idą śpiewający? Bo wszyscy mocno śpiewali. A przyśpiew ten dziwny był, jakoby do chichotu jazgotliwego podobny. Już chciała pani Grzymicha rozkazać, by pieski spuszczone, lecz pozierąła jeszcze.

Podczas śpiewy te rosły, odmienione teraz w hymnę trwożną i pokutną. Już i okiem dostrzee można było śpiewaków. Wtedy skrzykła pani Grzymicha, a Cunegundis zatchnęła się w przerażeniu i wstydzie.

Bo ci ludkowie nadzy byli do pasa i krwią ociekali. Dwunaście niewiast szło poprzód i mężów dwunastu, w cztery rządki po sześcioro. Oblicza mieli wyonaczone, szmaciskami okutane, włos powichrzony. Każdy z nich dzierzył oburącz krótki, kolczasty rzemień i smagał nim co siły tego, jenż przed nim stąpał. Tak siekli się wszyscy po żywym ciele, mąż i niewiasta, bezprzestannie, wzajemnie. Po nagich piersiach i kościstych, żółto w słońku błyskających ramionach, toczyła się strumykami krew, kapiąca w przydrożną kurzawę. Z poświętem siekących kańczugów szedł pod niebiosą ten śpiew, chichotny, przestraszony. Wpółśród ciżby następnej jechał rydwan płaski, otwarty, z księdzem, klęczącym pośrodku. Ksiądz ten nieruchomy, rozmodlony, trzymał pobożnie skrzynkę jakąś. Przy rydwanie biegły samoczwart niejaki brudas ohydny z pyskiem, szmatą zamkniętą, a każdy taki unosił w swych łapsku drzewce świetlistego baldakinu, który łopotał powyż klę-

czącego, złoty, drogo haftowany. Ilekroć rydwan po drodze przystanął, ciżba wszystka klękała naokół z przyśpiewami i pokłonem.

Widząc to, Cunegundis i Bolko zaraz przeżegnali się, poznawszy, że musi ksiądz ten trzymać jakieś relikwie prześwięte w swych ręku. Napoślad wszystkiego kolebka niewielka toczyła się, a jeźdźcy zbrojni tuż przy niej. Z tych dwu przodem pobiegło i ku zamkowi cwałowało.

Hnet dostrzegł był Bolko, że mają na swych tarczach oznaki książęce, tedy hasło dał mostu spuszczonego.

Gdyż byli blisko ci jeźdźcy, wtedy na ich tarczach ujrzano bardzo znajome zawołania: krzyż pochylony po lewej, ptaka białego po prawej.

Grzymicha z Bolkiem spojrzeli najciekawiej, wiedząc, jako są te znamiona panom Arpadom i Piastom właściwe.

Zaczem w dół kasztelu pobiegli.

I wkrótce wychynęła z kolebki niejaka bosonóżka w karpielach, jak kul słomy żółtawa. Ni to klasztornica była, ni płaczka bolesna. Krwi swej dawno nie znały jej lica, a wargi spękane drżały w poszepcie pacierzy. Oczy czarno okolne, zapadłe, błędziły gdzieś, nie widzące. Drzewiej może

urępna była ta pani, ninie na skwarczek zeschła, ojesieniała. Byle jak kirem okutana, chyba z rąk swoich kształtownych ród ukazywała. Nie miała wyżej trzydziestu latek, alic szła jakoby pomkła w latach starucha, zwiśnięta na lasce i ramieniu pachola.

A nierychło to przyszło, nim w tej chudzinie żółtawej, w tej bosonózce zeschniętej rozpoznał Bolko swą siostruchę osobną, jej miłość ducisnę halicką, która dana była w małżeństwo Kalmanowi, księciu na slawońskim kraju.

Ujrawszy, chopiła się do macierskich nóg i rzekła szeptem pacierzy:

— Spokój domkowi twemu macierzo i twemu miły braciszku, i twemu, miła żelwico!

Długo pozierała Grzymicha, nim krew swoją rozezna.

Długo patrzyła Cunegundis, żelwicy nie myśląca.

Zaczem myśleli, a nie wymyślili:

Czemu bolesna jest taka, czemu bezkrwista i czarna jako jastkolica?

Chybaby ją żebracy leśni opadli, podrapali? Albo li z tatarskiego jęctwa wracała wyzwolona?!

O to, krzycząc, zapytywali.

Na to pani Salome, w uśmiech smutny spowita :

— Ani mię Tatar w jęctwo wziął, ani leśni opadli zbójcy. Jam ci jest niegodna służka Krzystusowa. A o to napierwej was proszę, pokłękajcie i troje Pozdrówień odmówcie. I też przez doby trzy post zachowajcie, strawy żadnej nie biorąc.

Zgniewana o taką mowę, fukła głośno pani Grzymicha i pytała, pocoby ten post był?

A Salome :

— Iżbyście, ludzie grzeszący, cześć oddali tej kosteczce pana Szczepka świętego, jaż z sobą wiozę w skrzyneczce.

Klęknąwszy, zmówiła Cunegundis z Bolkiem troje paciorków, rejencicha zasię ostro głową swą kręciła.

Podczas pieski na dziedzińcu ujadały najgłośniej, próbując po łydach biczowników, opędzających się krwawemi rzemieniami.

A Grzymicha :

— Zawitaj mi, córucho, chocia w tym niekosztownym orszaku!

Potem prosiła ich pani Salome, iżeżby Spoczywanie wieczne mówili, które niech Bóg da Kalmanowi księciu w żywocie niebieskim. Tenci

bowiem pomarł jest przed czterma niedzielami z wojennej udręki, a teraz w czyścowej męce porażony.

Pani Grzymicha litowała się bardzo nad córą swą ożałobioną, która nieszczęsna i wszystkiego pozbyta, od ziemi swej przez Tatary odłączona, jeszcze i małżonka utraciła jest.

Znów ją rozpytywali, dokąd li dąży, co z sobą myśli, nieszczęsna?

A Salome, pojrzeniem w zaświatach utkwiona:

— Nie wiem ja tego. Nie wyrzekł jeszcze. Jenó kazał mi przedsię iść, a kosteczki w stróży mieć. Tu zaszłam do was, może ci dalej pójdę, jak rozkaz da...

Tu oni zadziwieni:

— Któż wam rozkazy dawa, siostrzyczko?

Nie rzekąc, nakreśliła pani Salome laseczką na ziemi znak niejaki, a Cunegundis zaraz poznała, że był w kształcie tej litery abecadła, którą mianują *F*. Aliści nic z tego oboje nie pojmowali.

Więc Grzymicha:

— Któżci to zawołaniem owem znaczoney?

A Salome:

— Onże, Franciscus święty!...

Wiedziała dawno pani Grzymicha, że pan

Franciszek, opat zebrzącej biedoty, pomarł był dawno w ciepłych krajach. Więc pomyślała z boleścią, że widno jakieś mnichy chytre zepsowały ich córę na rozumie.

Potem ją wiedli na spoczynek udręczoną i stawili łożę, aby miękie i godne takiej pani udzielnej. Ujrzawszy, wzięła zaraz Salome precz odrzucać matrasę i mięcienkie poduchny i tak długo je odrzucała, aż póki szczyra deska na czystem nie ostała łożu. Wtedy cisnęła tam mieszek niewielki ze słomą, i ten grubym popiołem po wierzchu osypała. K temu zawoła na dworki, aby świeczek przyniosły. Nie mieli tama świeczek, gdyż kasztel ten jeno piskorzem suszonym oświecon bywał w odwieczarz. Krzyczała bardzo, wołając, niech ta dadzą tego piskorza.

Teraz wraziła pięć prątków piskorzowych w kaganki, łuczywem je zapalając.

Więc Cunegundis :

— Czemu to aż pięć prątków zapaliliście, pani ?

A Salome :

— Prze pamiątkę pięci ran Pana Krzystowych, jątrzewko.

A tamta :

— Chciałabych was, pani, jeszcze coś pospytać, alic niegodnam.

— Pospytaj, junoszko.

— Powiadał był mi ociec Przebor po wiele razy o tem, jakoście, pani, z djabliskiem wojowali. Byłoż to tak?

— Drzewiej bywało, a juści. Owszejki teraz cale nie bojuję. Ucieka on przede mną, ten mizguś kudłaty i nigdy mi szkody uczynić nie mocen.

W sam raz na dziedzińcu szum jakiś jakoby dżdżowy słyszeć się dał z nagłą, a też śpiew rozdźwięczał, tenże, co był w orszaku słyszany. To nadzy pokutnicy, we krzach podskalnych nocujący, oddawali Bogu wieczorne modły swoje. Przebiegał ten ich zaśpiew przez wszystkie ciemności nocne i trwożył ciszę kasztelu.

Wyjdz z ciała drapanego

Ciesz się bolu okropnego

Krwie!

Która winy przemazujesz

Która niebo ukazujesz

Krwie!

Zbawi jęctwa piekielnego

Przeproś Boga nasroższego

Krwie!

Ty rodzona, ty gorąca

Krwie!

Grzesznem tonem popłynąca

Krwie!

A każdemu słowu ostatniemu jęk towarzy-
szył i zachęta, i mocny smagot świszczący. Skoro
tylko Salome pierwsze słowa kantyku biczownego
posłyszy, wraz jej oczęta dziwną nabiegłą uciechą.

Tak, jakby od śpiewu tego szedł jaki po-
wab przyjemny.

Jakoby w jękach tych rozkaz był dany ko-
nieczny.

I jeszcze jakby nowinę dobrą posłyszała.

Zaraz do skrzynki sięgła po kańczug srebrno
kuty, a też zdziała z ramienia swoją czarną su-
kienkę. Z lękiem wielkim patrzyła na to Cune-
gundis. Najpierw spostrzegła, że nie ma ta księżna
na swem ciałku ciasnochy należnie gładkiej, jeno
twardą, grubjańską pakłakę z końskiego włosia.
Tę zasię osuwała powoli do pasa, przytem ząbki
zacisnąwszy. Tu aż zatchnęło dziewczeczkę patrzącą.
Albowiem ciało ducissy halickiej bardzo ohydliwe
było. Caluśkie czarniawe od zakrzepłej krwi, też
oble, nadęte i na podobieństwo kory dębowej

popadane. Jakieś gruzły zesmolone, jakieś krosty a ociekliny niewysechłe pokrywały tam szyję i pierś zmiętoszoną.

Z podwórza znowuż dobiegały pogłosy ostrych smagotów i te plankty boleściwe :

*Zbawi jęctwa piekielnego
Przepros Boga nasroźszego
Krwie!*

Natychmiast ujmie pani Salome biczyk ów z żeleźcami i tak pry do dziewczeczki :

— Imaj to oburącz, a ile mocy masz, tyle we mnie bij. Boć już wołają braciszkwowie moi.

Tu Cunegundis w płacz uderzyła, nie rozumiejąca, nie chcąca tego w żaden sposób.

A chuda pani ostro :

— Ten przykaz daję ci w imię dziewicy Boga Porodzicielki. Bij!

Wtedy ptaszyna, płaczu bliska, ujmie ten kańczug i zamierzy się, alic wnet z rąk go wypuści.

A tamta :

— Czyli wiesz, że nie bijąca grzeszysz ciężko ?
Nuże bij!

Więc biła. Lecz widno nie tak, jak chciała biczownica, gdyż hnet przystąpi, wyrwie kańczug

dziewczynie i pocznie sama trzaskotać się najmocniej tędy i owędy. Potem kłuła jигłą rany swoje i coraz nawoływała: „O boleści, o pieszczotko moja! o śmierci, bądź mi bardzo bliska!“ Tak to chłostała swe lędźwie, podudzia, chude w nóżkach kosteczki. Tak zapaliście, jakoby z potrzeby gorącej. A wkrótce z ran zasechłych dobyła się ryża krew i jęła pluskać, rozciekając po skórze. Strumyki owe dojrzawszy, wybuchła cierpiętnica śmiechem jakoby, ale bardzo okropliwym, i biła jeszcze, najmocniej. I, biegając naokół, płacz z tym śmiechem mieszała.

Podczas zmroków podskala ciągle śpiewy ku niebiosom szły.

W kąć utulona, zastrachana Cunegundis patrzyła bez pojęcia, a ten był dla niej dziw największy, że wcale nie płacze pani Salome, choć krew bolesna z niej ciecze, owszejki jasna jest i okwita radością, a oboje oczu błyskocą w niej, jakoby za tę kaźń dziękowały. A potem padła o ziem, zachwycona. I już tak leżała w bezsile, niepamiętna. Na słomę spływały ciężkie krople potu i krwi, z gardzieli wylatał dech twardy, świszczący.

Znów osłupiona stanęła Cunegundis, myśląc,

że może duszka tej pani chce już uciekać z cielesnego domku, zaczęła szeptała paciorek za konające.

Podczas kantyki biczownicze na podskali stały się cichsze i zmęczone. Już to nie śpiew był, a płacz ostatni:

*Ty rodzona, ty gorąca
Grzesznem łonem popłynąca
Krwie!*

Męczennica ozwarła oczy, nachłusnęła nieco wody, podanej przez truchliwą młódkę, i skronie natarła. A kuli już lżej dychać wzięła, tak do niej rzeknie Cunegundis:

— Czemuż to, pani, tak niegodnie trapiacie członeczki swoje ubogie? Czemu ból sobie czynicie najokropniejszy?

Wraz biczownica pojaśniała i zaiskrzyła się w twarzy:

— Hej, młódko bezumna, cóż wiesz? Tochto nie ból jest, a duszy pocieszenie... Jaże nie mam się trapić? Mało jeszcze trapię, mało krwi z siebie wołam! Otom jest walecznica Pana Jezu Krzysty, otom miłośnica, Boga żywiącego nigdy syta! Mam ci ja obiecywaną nawyższą szczęśliwość niebieską

i wcale mi nie straszna godzina sądu idącego!...
I uciekają ode mnie ponęty cielesne!

Potem dźwignęła się i z mocą wielką, promienista wołała:

— Pojmiesz ty, junoszko, co mam jeszcze z trapienia tego? Cale i nigdy nie pojmiesz! Mam to, iże widzę jasno rzeczy niejaki, które będą dopiero. Ja osobna widzę, nikto inny!!! I też dzierzę moc pewną, nawyższą i rozkoszną...

— Jakaż ta moc? — wyszeptęła tamta bezgłośnie.

— Hej, jaka moc? Tajemna, ludziom niedosiężna, Boża. Z tej krwi bolesnej rōdzi się ona, z udreki.

Te słowa rzekła w nieukoju wielkim; widno jeszcze nienasyta była męki swojej. Więć klęczkiem o ziem padła i rozkazała podać ogienek z kaganka. Przyniosła Cunegundis prątek piskorza, płonącego jasno, i znowuż uderzyła w płacz żałosliwy.

A Salome:

— Cichaj mi zaraz, głupko miła, a jeśli chcesz, bym chęć ku tobie miała, to klęknij i mów te słowa, jako ja: Zdrowa Maryjo, miłości pełna, Porodzicielko Boża...

Dzieweczka, tocząc łzy, wtórzyła:

— Zdrowa Maryjo... miłości pełna Porodzielko Boża —

podczas pani Salome płomyk żarliwy pod krwawiącą pierś swą podsunęła, z oczyma przy mkniętami i ze słowy płynąciami:

— ... pożegnana ty między niewiastami...

Rozjadzona krew skwirczeć jąła głośno, a twarzą ducissy miotał ból nowy —

— ... i pożegnany płód żywota, Jezus,

Teraz prątkiem gorącym biodra parzyła, aż ciało w zgorzel szło. Ręce jej drżały, ząbki stuknęły, usta mówiły:

— ... który przyjdzie sądzić żywe i umarłe przez ogień.

— ... który przyjdzie — wyszeptęła Cunegundis wtórzęca i wraz osunęła się na ziemię zemdlona.

Gdy się potem ocknęła, pani Salome leżała na swym mieszkku, a z łoża jej szedł pojęk cichy. Słyszający go, pytała:

— Wierę, płaczecie, pani?

— Płaczę, milutka.

— Prze jakiej rzeczy płaczecie? Czyli z tych zgorzelin bolesnych?

— Prze grzechów ludzi na świecie płacę,
milutka.

— Poduchę wam podam, boście bolejąca.

— Nie potrza. Mam ci ja najśodsze poduchy
a matrasę, obiecywane w wiecznym żywocie.

I zwarła oczy udręczone.

Cunegundis długo uspić się nie mogła. Od rozmaitych pomysłów łomało jej w głowinie. Wspominała słowa, przez żelwicę rzucone, i męki jej okropliwe. Jakaby ta moc być mogła, „nawyższa, ludziom niedosiężna“, jaka? I skąd to lza człowiekowi „płakać grzechów nie swoich, a ludzkich na świecie“?! Najbardziej tamtę jedne słówka kołowały jej w myśli, o ponętach cielesnych, uciekających. Obruszyła się na posłaniu i ważyła to bardzo mocno, do snu wcale nieskwapliwa... Potem co nieco wychyła z pierzynek, bystro patrząca, czyli śpi Salome. Najciszej, na paluszkach postąpiła ku kagankom, kędy dopalały się prątki pi-skorza. Zdziała rażno ciasnoszkę i prątek pod paszkę sunęła. Zrazu trosiuchnę, zaczem więcej. Płomień osmolił kwitnącą skórę dziewczynską i, krzekcąc, jadł ją chciwie. Lecz młódka zacisnęła się najmocniej, aby snadź sykiem, albo ząbków stukotem nie ocknąć spoczywającej. Potem wtórą pa-

szkę podzarzyła i wróciła w łożę, rada wielce tej pierwszej męce i bólowi, jenż piekł ją i swędział po ramionkach.

Gdyż świtało, przebudziła się. Pani Salome leżała na swym mieszkku z oczyma zbudzonemi. Patrzyły one przedsię, takie dalekie jak wczoraj i jeszcze dalsze, widno w zaświatach drogi szukające.

— Hej pieszczko milutka! — ozwała się — obacz no, co dojrzysz na mych ręku?

Podbiegłszy, ujrzała Cunegundis na ramionach męczennicy wśród zgorzelin i biczowych sińców świeżo nabiegłą pręgę czerwoną, nakształt owej litery w abecadle, którą zowią *F*.

A Salome:

— Z Franciszkiem świętym mówiłam wiele o tobie!...

Sam jeden pognął księżę w puszcze, szczwaczy nie brał, ani zastępu. Sam poszedł na przywitanie z lasem i pieszczoty. Trzecie już liście zmieniała dębina, trzecie rosochy porzucił zwierz płowy, odkoli tam bywał. W złotych okieńcach listowia śmiało się słońko zachodnie. Okrzykiem witał cisy, stare prabyłce, i limby, babuśki roztyłe, nurzał się w haszcze i bobrowiska, pozdrawiał skrytki znajome, dróżki, sobie wiadome. Grzęznął w oparzeliskach od wieku spokojnych, obzierał drzewiejsze zasiadki niezmienione, poznawał łochwy niedźwiedzie, lisie komory, ptasznicze gaiki.

Idąc, wspominał co nieco. Hań był pierwszego tura wziął! haw żubra zdzielił pod bark, jeszcze słabiutko! Tropy znajdował i pądy, to zimne, to zwietrzałe, to świeże, którym folgował. Pałącznie z tchem powstrzymanym wbiegał na polanki, by

znagła zachycić oczyma to stado danielic pokracznych, to chmarę żubrzc z ciołkami lub łaniek rudosukiennych. Rad był powszędy i łaskawym swoim leśnym poddanym, zwierdom płowym i czarnym, lasom zielonym i ciemnym. Udzielny, radosny, włodarski, gałęźmi w biegu smagany.

Wszystką swą krasą obfitą witała puszcwróconego: odduchem sosennej wilgoty, dębowych koron poszumem, przelotem orłów srebrzystych i truchłym bekiem łoszuków, wygnanych z ciepłego potrawu, i zgłobnem ślepiskiem rysiów, skrytych w rosochach buczyny. Zabiegły w głębiel daleko, już minął był knieje podszyte i młode pólka ptasznicze i doszedł w jary znajome.

W czeluści jazgotał strumień, toczący zieloną pieninę. Przypomniał księżę, jako tu zawdy czatował na łanie, pić wdół schodzące, jak w śniegu czyhał na rudle sarn u przerębli, jak tu najsnadniej losia dopadał. Zasył się w trawy wysokie, legł i nasyczał knieją. Jakoby w puszcę wcielony, jakoby z lasem złączony.

Słonko podczas za poszyciem leśnem przepadało, a strumień markotny wzdawał mu na noc srebrne swoje blaskoty. Z gąszczy raz po raz wy-

biegały szare mroki, kładące się rządками na zagajach i porębie.

Łowiec, zasiadły cichutko, poszukał wabików w podpasie. Jedne były z kurzej kostki na sarny, insze były z kory brzozonej na łosie. Wydobył dmuchnął i łosim przyrykiem beknął.

Hnet przyszła z puszczy odpowiedź.

Jeszcze przywabił, łęki mając w napięciu.

W gąszczy łomało. Prasiasty łoszuk, głosząc się, sadził ku zboczy, ku księciu. Wysmyknął z lasu i chybko trawy rozchyłał. Szarawy, mdły w sukni, jeszcze niewiele sadlisty. Łopaty dźwigał dłoniaste, sękate, u szyji dzwonic chełtał mu kosmaty. Przystanął. Świece senne wyszczyrzał, łyżkami strzygł, pyzą truchle węszył. Hnet prześwisnęła strzałka trawami. W komorę wziął, wygarnął wzwyż badyłami, zwałił się o ziem, ustał i padł.

Łowiec, łęki opatrzywszy, przywabiał dalej, teraz na kozła piskocąc z kurzej kosteczki. Zaraz bekot sarniuka rychło przybieżał z pobliza. I wysmyknęło coś z gęstwy i w trawę wpełzło.

Ksiażę, strzału czekający, głowę wysunął.

A wtedy październik poręby zagrały śmiechem, świegotnym, bujnym, jakby niewieścim...

Nieczyste! Złe! Zbielał i trzy krzyżyki uczynił,

na czole, na uściech, na piersiach. I drżał, a palce dzwoniły mu na cięciwie. Chybaby ognica, chyba dziwożona!... Czyż?

Znów trawy, jako na harfie struny, śmiechem chąziebnym rozdźwięły. I wychynęła z nich dziewczyna. Wzrostem sarence śmigłej przyrównana. Kwietna cała, czarnowłosa, postawna. Obliczko miała z malin, z jagód czarnych oczyny. Biodra skryła w szerzynie, na kolistych ramionkach pęczniał szmat zgrzebnej płacheci. Oburącz łagwice niejakię niosła. W przybiodrze kształtna, w sobie udatna, gdzie spojrzeć, równiutko ciałkiem przyodziana.

Niepewny, z którego świata bieży k niemu dziewczyna, pozierał księżę. Owszejki zerwał traw kępkę i we krzyż złożył. Tamta szła przedsię śmiało a chybko naprost majestatu.

Strzymał ją ręką zdaleka.

Wtedy o ziem padła i te pokłony, które są księciu udzielnemu pisane, wybijała.

To nikły w zielinie, to powyż traw blaskotały faliste kędzierze kłoniącej.

To nikły, to naprost księcia łyskały urąpne, zapaliste oczy.

Tu księżę:

— Ktoś ty?!

Rozchłysnęła pośmiechem tym samym, bujnym, dzwinkowym, objawiając w gębinie koralowej kęsy, nito u rysia, śnieżyste.

— Leśnam jest, haj-wo! z boru miodnego.

Bolko groźnie:

— Wiesz li, kto my?

A owa pokłękłszy, poda rączki przedsię i jakby w pacierzu zawoła:

— Zawitaj gospodzie, włodarzu! zawitaj miły, wrócony!

Lecz ksiązę:

— Jak śmiałaś do mnie w poblize? Wino-wataś jest!

Znów ona, łuną oblana:

— Rączynę miodu wam niose, dań z barci, książęciu należną...

I postawiła łagwice, ku piersiom cisnąc płachcinę.

Już zelżał trochę, odgniewany.

— Tyś piskotała?

— Jaże...

— Tak godnaś zwierza przywabiac?

— A cóż, każdego przywabię.

— Postąp!

Z najpokorniejszą postawą podeszła.

— Skądś?

— Leśnam jest, barci dziedziczka.

— A ojce?

— Tatar spięte popędził z wardęgą.

— Jakżeś ostała?

— Troki przegryzłam zębami i smykłam w puszcze, haj — tam!

Teraz pozierał na jej pulchne korzyści dziewczęce, na postać świegotną, jaskółczą.

I dworował, rzekąc:

— A cóż?... Chyba mi jaką koźlinkę przywabisz?

W te pędy złożyła gębinę rozmaicie i jęła piskotać w sposobie siuty gonnej, wybornie. To jeden raz, to wtóry raz, to trzeci raz. Aliści nic to znaczyło. W gąszczy, jak pierwej, stała cichość.

Więc książę znów, a już w chichotach:

— Idźże ciastucho!...

A ona:

— Boć już tu nie lza ich dostać. Zmieniły wodę od łoni. Gdybyć raczyli miłość wielmożna wyżej, ku wierzchu, haw.

Pobiegła przodem, w tropy jej Bolko szedł, dziwiąc się chępcie a śmiałocie. Śmigła lotem

wśród traw, chyląc się coraz po żubrowe zioła i wonne zielinki. Aż postąpili na mchową, czyrwoną murawę. Bujne, przewonne pażęcie wrzosów ścieliły się poduchnami. Z tych wrzosów i tamtych ziół usłała pościółkę, kędy legł książę, i tak prawi do niej, iżby piskała, a w pokryciu. Mikocąc sarnim głosikiem, przywarła dziewa do traw, tuż prawie. Aż biło k niemu rozżarem jej głosu i tchu. Jak gad czarniawy wila się żmijka, przytulijka. Gdy załomało w gęstwinie, Bolko po sahadak sięgnął, bo mu się był w murawę osunął; nie patrząc, ku niemu, posięgnął. Niechcący insze rzeczy tam natknął: żarzyste i trzepotliwe, łaskotne, tu przegładkie, tam obłe. I miątką wonne, i wrzosem wonne.

Lecz przedsię wciąż patrzył, ku zwierzu. Zwierza nie było. A te żubrowe zioła i te wrzosy czyrwone już dziwną osnuły go wonią. Mocne snadź były i jadowite, skoro książęcia zemgliły.

W głowie mął uczuł, serce gorące pod piersią. Słodki powiatrek igrał trawami, śpiewając dnu jasnemu ostatnie pacierze. Mroczyło się w lesie i w księżcu. Z traw blaskotały tem mocniej czarne świece dziewczyny.

Znów poigrała tym swoim śmiechotem pie-

szczęcym, który już inszy był. Najśmielszy, wcale dufny, pokusę zadający, cielesny.

Dysząc posięgnął za siebie.

Wyśmignęła się chyba dzwonniczka. Lecz zaraz usta wręciami przypadła do stóp włodarza, wonna, gorąca, cicha już.

Gdybyż posłyszał, jak w niej dygoce serduszko leśne, dziewczynskie —

jak gore łono, dotąd niczyje.

A owo nie posłyszał! Poderwał się duchem najprędszym z murawy, od tych żarów uciekając i od korzyści.

Uskoczywszy gnał przedsię. W las pognał i puszcę. Najdalej, aby najdalej!

W murawie ostała dziewczyna, sama, zadziwiona.

Zaledwie do swej ziemi wrócony, zachorzał ksiązę bardzo. Wężutki stał się, sucherlawy i w sobie oziębły. Trzęsawica brała go coraz i jakieś pyłgoty niedobre. Czyli może stąpnał gdzie na zioło jadowite, czy też mu szyrseń w nyrkę wlaźł, nie wiedzieć.

Wołali tedy na dworzec krakowski krwio-puskaczy i tych, co w gwiazdecznej nauce rozumieją. Którzy dawali książęciu pijać różnie z łagwicy, a też wcierali mu w kałdun olejniczki niejaki, a to żeby go z jadu złego ochędożyć. I też niejaki zaklinacz przychodził, co przemową leczy niemoce.

Bolko leżał i dychał. A jeśli w ten czas noc była, albo dzień, o tem nie wiedział. Ducissa przy łożu siedziała, na czuwaniu.

Czasem oczy swe ozwierał i, pokrywając błądź uśmiechem, szeptał:

— Niech ta! Już też uczynię ślubiny owe, któreś ty chciała.

A potem mówił do niej dziwnie:

— Kinga!

Inszej zwidy przychodziły nań i omany, które go długo w mocy swej trzymały. Po dwóch niedzielach odeszły i zbudził się księżę ukojony. I tak prawił cichutko:

— Co mi się w snach zwidziało, toć powiem, milutka.

Więc Cunegundis rozjaskrzona:

— Cóżby? Wyrzeknij.

I on:

— Widziałem pole wielkie i kwietne, a przez to pole ludzie w ilości szli. Ci chromi byli, ci głusi, ci nieszczęśni. A wszyscy, ile ich tama było, cosi nieśli w swych ręku bolesnego... I tak oni szli długo... Przez dwieście lat, przez trzysta lat i przez pięćset lat, a pozdroż coraz przybywało idących...

Tu ustał, w uściech zgorzałość czujący.

Cunegundis dała mu popić z łągwicy. I, żeby nie mówił, o to prosiła. Aliści rozprawiał dalej:

— Tak oni wszyscy k tobie podeszli, któraś na tem polu siedziała w wysokości. I widno

mi było, że przeto jedno tu szli, Kingo, ku tobie!... I tyś pozierała na nie, na wszystkie. A kogoś spojrzaniem objęła, ten pod stopy twoje układał, co w swych ręku niósł. A to było serce jego, człowiecze. Które, dotychczas bolesne, teraz światłem rozbłysło. Tak oni znosili serca swoje i jasność z serc wstawała naokół ciebie rozkoszna. Wstawała wszechwszędą, daleko i blisko, wysoko i nisko...

Aż dworki weszły do łożnicy i było pytanie, czyli zaklinacz z przemową do księcia przystąpić godzien. Ducissa, patrząc nie chcąc, odbiegła precz w przyboczną komnatkę. Taras w niej był z wyziorem dalekim na miasto i wodę, na oddal i łany zielone.

Podeszła, pchnęła okieńce, patrzyła...

Wszechwszędą szumiał zgiełk ludzkiej rzeszy.

Pobrzeżem Wisły, po błoni, po zielonem, stąpała w ciżbie siła ludu, konia i skota.

Która przed Tatarem uciekła była ziemia, wracała teraz.

Wstawało życie znowu pobudzone.

Do zgłiszcz powracali bieżeńcy i nowe ludy Teutony i nowe cieśle cysterskie.

Śpieszyli do domu bożęta i bartnicy, włókici

i powsinogie biegusy i borysowie borowi w obfitości. Jechały pługi, a przy pługach człowieki, rataje bydło gnali, wielkie bydło i małe.

Winiarze szli i miernicy, farbiarze i sukiennicy.

Tu wróżnik, tam tanecznik.

Wesołek w dzwonekch i korabielnik.

A też mnich łysy w kapicy. Męska i żeńska twarz w obfitości.

Jak wody płyną wiosenne, tak oni przebiegali.

— Gdybyż mi oni swe serca człowiecze do stóp przynieśli — tak poszepnęła ducissa w okieńcu. — I gdyżbym podjęła przyniesione...

Patrząc na ciżbę, różnie myślała.

Widziała się panią królową nad tym ludkiem. W hatłasowej szyjnicy i krasie, w kiwiorze sutym, włodarskim, w otoku dworek przykucniętych, *imperatrix!*

Na koniu widziała się, na siedle z jęczyczkami, na złotolitej pokrowie, w cudnym jezdnym stroju, umiatająca prochy po ziemi!

Na gonitwach widziała się, na turniejach, igrach i tańcach, skroś świegotarzy, hofmistrów, dumna, uśmiechła i rada!...

Ale k temu, ku świeckiemu dworu nie-sklonna była. Ku inszemu więcej. Tu czechło

zakonne podeszło jej w myśl i żywot w cieśni i biesagi ubogie. I ten habit franciszków szary. Aby tak była, jak pani Salome cudowna. Bo gdyżby takie dziwy, jak tamta czynić? Chorych uzdrawiać, głuchym słuchy oddawać i w tej dziwności chodzić po świecie?...

Raz o tem, raz o inszem doradzało jej serce. A które lepsze, nie wiedziała. To o ziemskim, to o niebieskiem wódarstwie myśląca, to jedno to wtóre rozważająca.

Luto było ducissie. I posyłała w oddal myśli biegnące.

Z łożnicy przybiegał aż tu rozgłośny pokrzyk zaklinacza, jenż wywoływał niemoce z książeńcia — na świecie szumiął zgiełk ziemi wracającej...

TU TRZYDZIEŚCI I WIĘCEJ LAT
PRZEMINĘŁO...

Szczygiełek, Polikarpus i Wawrzon, zwany Tłustobrzuchem, ci byli trzej franciszkowi bracia w klasztoru sądeckim, którzy teraz społem biegli do komórki łaźiebnej, bo już dawno kołatał był Pietrek łaźiebnik, że gotowa. Zdziali tam oni rączo paski swoje wężliste, rude kapice, sandałki, i czechła mocno dziurawe, a ci-snąwszy je gdzieniebądź, sposobili się oskomliwie. W dostałym, rumianym kształcie, w nagiej, ludzkiej postaci.

Szczygiełek figlas był, tedy po karku kła-snął Tłustobrzucha, Tłustobrzuch znów łaskotnął pod zióbro Szczygiełka. Polikarpa zasię nie poru-szali oni zgoła, bowiem ojcu temu gdzie nie-gdzie siedziały wrzody rozmaite w ilości. Roz-wijał je teraz ze szmat w osobności, ostrożnie, chcący suchej zażyć łaźni. A był ten Polikarpus we włosach szady, w oczkach zapiekły i chytrus.

Już też łaźiebnik Pietrek przyczyniał coraz szczapów pod kamieniem, aby go rozpałać pocziwie; też chlustał, ile zmógł, wody przestalej do wysokich rzapi. Już rozpałał, już nachlustał.

Brat Wawrzon zamamrotał rączo Zdrowaśkę łaźiebnią i jakoby rybka śmigła w sam raz z ławy do kadzi skoczył, aż od tych mięs jego okrągłych stęknęła ciężko beczuła, aż woda ochlusnęła zielone i mszyste bierwona komórki. Przykucnąwszy w beczule, zamoczył dokładnie gnaty swe obszerne, potem wyjrzał, prychnął i splunął, zaczem znowuż wdół hycnął, unurzał się do znaku, po samo ciemię ołyśiałego łbiska. Wychynąwszy, mikotał radośnie mokremi powiechami:

— Kamoś polazł, umarlino?! Tu mi jeszcze dochlustaj, hej! — Tak skrzyknął na Pietrka i stuknął go mokrą łapą dla zachętu.

W pobliż kamienia posiadł się na pniaczku Polikarpus, już rozpowity z pakłaczných ubiorów. Pietrek zasię bryzgał coraz ziąbem wody na gorący kamień, pokiel nie dobędzie się z kamienia niejaki duch parny. Tym duchem podkurzał się Polikarpus, potem maścił się skromem zajęczym i nieco w smutku dumał. A tamci naśmiewali się:

— Rachuj, rachuj, hultaju! A będzie już z pół kopy tych pryszczysków, hę?

Więc Polikarp do Szczygła:

— Tee, podprzeorze... Jaki też dzionek mamy ninie, co?

— Ano środowy chyba.

— Tedy nie rozdziejaj się, ino do jutra czekaj z łaźnią.

— I czemużby to?

— Toli wszarzom tylko w czwartki łaźnia pozwolona.

Więc brat Szczygieł uchwyci urywek chwostaka, jaki tam do nacierań był, i naprzesiły prac pocznie Polikarpa powszędy. Zaczem wlaż w spokoju w drugie rzapie i drapał się kosmatym liściem po żyłach.

A Pietrek ganiał i ganiał skroś komórki, aż mu ona gardziel obrzękła na szyi i hycaly na nim zdarte suswałki habitu. Raz liść kosmaty podawał, raz krew bydłęcą suchą i mrówczanego naparu; ciągiem pracowity na wysłudze ojców, którzy parzyli się i chlustali w tej łaźiebnej izbie. Dobrze im tama było. Podczas z dziedzińca śpiewki jakieś dobiegały...

A to byli służebni, którzy śpiewali:

*Oj, niesie mnie, niesie,
Konicek do Resie.*

A inni za nimi:

Konicek do Resie.

I jeszcze:

*Kieby do Jagusie,
Nie chciałoby mu się.*

A tamci:

Nie chciałoby mu się.

— Śpiwajcie, wyronie, śpiwajcie, — krzekał na to Polikarpus wrzodzisty, — abyście się naśpiwali. Bo już odtychmiast tak przyjdzie, że śpiwać nie będziecie. Jechał podle furty Michałów nieć od Krakowa i szepnął mi...

Tu wzięli Wawrzon i Szczygiełek pyłgotać z ziąbu wielkiego. Wyskoczyli z kadzi, tarli się winiuchem i leżli ręczo w tapczany.

Zagrzaszwy kości, pytali Polikarpa:

— Cóż ci to mówił Michałów nieć?

— Mówił, ano, że mu już czerwone i sine kropy gębę obsiadły.

— Komu zaś?

— Ano księżęciu naszemu, Wstydliwemu.

— Że go już, tak mówił, niemoc czerwona trzęsie.

— Niechby go i wytrzęsła i żeby mu Pan Bóg śmierć nagłą a spokojną zesłał — to Szczygiełek wyrzekł.

A Tłustobrzuch:

— Amen powiadam, boć już dwadzieścia roków ten oziębły Pudyk śmiertelnego zmiłowania czeka.

— Siła on też latek siedzi na tym majestacie?

Znów Wawrzon:

— A wicie, kiedy pirwszy Tatar nastąpił, jak to Chromy Paszek zabit był? Nie wicie. Od wtedy siedzi. Siła będzie.

Tu dobył rąk z owicia i liczył na paluchach swoich.

— Już też będzie trzy razy po dziesięć roków i jeszcze więcej. Uf, jak mnie te żyły suche pieką.

Tamci znów mówili:

— Ileby zaś latek ducissa miała?

— O, już pomkła w latach! Chyba kopę popełniła od urodzenia swego.

Lecz Szczygieł:

— Ach, łziesz! Wierę ona wysmukła jako łątka. Pomnicie ją łoni, w tym kłobuku pierzastym, do ojcowych krain jadącą?...

Znów Wawrzon:

— Co zaś będzie, jak Pudyk zemrze?

— A cóż? Ona nastąpi na przestół.

— Czyż? Jabo powiem, nie. Ona nie na przestół, a na pniaczek zakonny siędzie, w tym tu naszym klasztoru, jegoż sfundowała. Tak i pani Salome nieboszczyca uczyniła jest, poszedłszy w habit na Zawichost.

Tu Polikarp:

— Et, ledaco pleciesz! Inszaciem Salome, inszaciem Cunegundis. Tamta ni gdzie pójść nie miała, wdóweczka, a ta panostwo ma, dwa księstwa... A myśliwa, uj-ha, a tysiącochytra, hej! Teraz paciorki lubi, w habicie chodzi, a ku końcu rozrząd weźmie, le...

Znów poskrywali się w barłóg dla rozgrzewki, a ten Polikarp niedługo milczkiem siedział:

— A wicie, z czego on chory? Z uroków. Przez nią on nieduch jest.

— Prze kogo, prze kogo?

— A prze tę ducisnę. Uroki mu zadała, urzekła. Mać moja u jednej dworki służywała, to i wiem. Raz jak na jednego złém okiem cisnęła, to i zaraz w dziki mięs porósł.

Bracia wyjrżeli zadziwieni.

— Myśliłbyś, że ona zaziory czyni?

— Gorsza rzecz! Ona płomienica!!!

Skrzyknął, aż tamci poruszyli się.

— Et, krętu wētu dla zamętu! Chwaścisz, ażebyś chwaścił, synku marnotrawny. A co tam z nią, któż powie? Jak rok zamknięta w zamczysku siedzi. Owaciem, gdzieżby taka panosza świętobliwa do czarów udawała się? To obmowiska są.

Polikarp wykrzywił gębę swą szydliwie, jakoby i on tłuste pyski miał:

— Tee, panosza, teee, obmowiska! Wyście też potury głupie, no!

I pochował się znów, a dymy z palowiska chmurą wędrowały po komórce.

Podczas Pietrek łaziebnik zuganiany przykucnął nieco u podźwierzy i tak słuchał a słu-

chał tej rozmowy. Maluśki on był między bracią i ostatni, ale czujnego sumienia. Oczęta mu się onaczyły w tem słuchaniu, podparł piąstką purchawą gardziel, a gębina pałała mu w rozwartości szeroko, szeroko. On tam inaczej wiedział i rozumiał o tej ducissie. W tych dymach schowany, mamrotał cichutko:

— A to mówią, że kwiatki z ziem wynikają, kędy ona postąpi. A kędy spojrzy — łagodzi...

Polikarpus sobie gadał:

— Płomienica jest, to wiem, mać mi powiadała. Gdyż skrzykła jeno, jeden w dziki mięs porósł.

A Pietrek u podźwierzy:

— Mówią, że jej nocą anioły wino słodkie przynoszą...

I Polikarpus:

— A jakie oko ma? Zawiesiste, a twarde, rozkazujące powszędy.

I Pietrek sobie:

— A płaszczyk wdziewa taki, co gwiazdami nasiany, hej...

Znów tamten sobie:

— Ja ta różne wiem. Raz było, że kazała

dziewce dwa zęby wyłomić, bo w suchedni gryzła. Tak.

Teraz brat Wawrzon odebrał słowo dla siebie :

— Ty znów patolisz! Azdali nie dała pani ducissa na ten klasztor nasz wszystkiego imienia z komory? I też wygodziła prasołom ubogim w Bochni i rozmaitym ludkom, ileraz, co? A gdyż włókitę z Leliszki spiekli na Bożym sądzie, kto dał dzieckom wardęgę?

Pietrek sobie ciągiem mrucał niesłyszany:

— Mówią, że też dziwy czyni i zjawienia...

I Polikarp:

— Et, rozdajbida! Bych ja wam ino jedno o niej powiedział, no!...

Tu kołatka na dziedzińcu klasztornym jęła ogłaszać posilny czas. Ze wszech chatynek, które tam były, wysmykała rączo brać mniejsza. Rozbudzili stareńkiego Barnabę, jenż zasnął był nad łatanką rybnych sieci, wywołał też kołat Wypiora ze zwierzęcej chyczy, gdyż miał ten braciszek niedźwiedzia uspokojonego na łańcuchu, z którym po jarmarkach ganiał figlownie.

— Będzie ta na dziś — mruknał do się głuchy Więclaw, który strugał pręciki dziewanny

i zanurzał je w bydlęcym świństwie, żeby nocą świeciły.

Szedł także Przeclaw, Dusiał i Przytuła, a potem od ciesielki, od końskiego gnoju przybiegli braciszkwowie służebni w pokorze. A wszyscy rażno, jak to w posilnym czasie. Napoślad i tamci trzej wylęgli z łaziebnej komory.

W pospólnej izbie czekali trzej pachołowie z koszami, którzy tu codzień strawę nieśli z kuchni panińskiej. Przybywała też z nimi pewna półsiostra służebna, nad rozdzielaniem straw czuwająca. Z imienia zwali ją Jachna. Była ona aliści — a to z przykazu regułki klasztornej — płachtą na gębie zawita, w jednym miejscu oczek dwie szparczki otworzyste mająca. Stąd kłopot bywał niejaki, bo nie wiedzieli nigdy bracieńcy, jaka ta Jachna na pysku wydawać się mogła: równa albo szpetliwa? Bo pozdłuż prosta i pełna zdała się i też z pod zawicia blaskoty różane wyglądały.

— Witaj nam tu panno urzędniczo siostrzyńska — tak brat Przytuła skrzyknął, a dojrzawszy, że ma ta Jachna wpośród widnej za chustą brodeczki jakoby żłobek maluśki, spojrzął oskomliwie tamtędy — coże nam dziś pichconego *sorores* przysyłają?

Jachna nie była od gadania, a pachoł, jenż przemówił:

— Pichconego nic tu niemasz ninie, chybaby wędzone.

I dobył z półkoszy misę glinianą, kędyż losoś leżał na dziesięć rozdzielony, też siła rzepy oskrobanej, nieco czosnku na omastę i chleba bułek czworo. Potem z pazuchy wyiskał jajek pięcioro, oraz odsłonił konew barszczyku, dobrze kwaśnego. Stareńki Barnaba już był mdłości sędziwe okazywał, więc dlań dali michę klusków pszennych, w szczyrej wodzie upichconych. Zgłobliwie obzierałi bracia wszystkie przysmaki owe, a Przytuła wykrzykał:

— Wracajże duchem wędroweszko z tą tu siostrą niemową pospołu! Idzi do szafarzycy wielebnej i pyszcz, iże nam się ninie troje mięs patrzy mimo postu; dwoje przeto, że dwom braciom balwierz krwi upuścił, i trzecie przeto, jako przeor nasz brat, Jarnołt przewielebny, podróżny jest i aże nocą powróci z Krakowa.

Aliści nie poruszył się ten pachoł, choć mu i puckiem grozili. Wiedział on, że mu wielebna szafarzycza zeklnie jeno, precz wygoniwszy.

— A dla źwirza ścierwo kędyż byłoby? — pospytał jeszcze Wypiór, szukając w pustych koszach.

Znów pachół:

— Rozkazała ichmość szafarka, że niepotrza. Bo i niedźwiedź, — tak prawiała — gdy w klasztorze, regułkę chować musi, poszczący w ponie-działki, środy i piątki.

Aż pocirpał niedźwiedziarz w złości.

— Oj, zdechłby nieboraczek, gdyżby na czy-stej regułce panińskiej.

Brat Szczygiełek, podprzeorze, zmruczał chybko benedykcję i poszli do jądła, na ten barszczyk i rzepkę mało pokwapliwi.

— Chyba nam dodasz, Przytuło?

Tak mówiąc k niemu, mrugali. A ten Przytuła wydobyl z dziupli tajnej zajączka sprawionego i parę ptaszyn, co je jarząbkami zowią, które przystawił do palowiska.

— Tyle mam, a kość niech was podzieli.

Więc oni zaraz siedli kołem na ziem, wpośród óbierzyn i plugastwa, a każdy dobył kostek z ha-bitu. Gałki to były, z gnatów cielecych strugane, tu płaskie, tam kanciaste, które zakręciwszy, ciskali bracia przedsię.

— Płaskość — wołano, ileraz płasko kość upadła.

— Kant! — jeśli stanęła prosto.

Komu stanęła prosto, ten czynił sobie guzek na pasku franciszkowym, komu na płaskość, ten, guzka nie czyniąc, pozierał smutno, bo widno tak było: największa siła tych guzków znaczyła comber zajęczy, mniejsza dawała do udźca prawo, najmniejsza do jarząbka. Ktoby zasię same płaskościę trafiał, ten już musiał ostać przy rzepce i siestrzyńskim barszczyku.

Wśród igry odorek miłowiewny biegł od pałowiska, kędy Pietrek na wielkim roźnie zająca, na maluśkim ptaszyny sadliste obracał.

Szczygiełek nawiązał tyle guzków, ile grzechów głównych bywa, a to jest siedm, więc zaraz wziął combra i krzektając gryzł. Po udziec Polikarpus wyciągał paluchy, bo tyle kantów cisnął, ile przykazań kościelnych, pięć. Jako zaś są cztery sprawy ostateczne: śmierć, sąd, niebo i ciemności piekieł, tak po cztery guzki liczyli Dusiał z Więclawem i zachycili po jarząbku.

Zły, że go comber ominął, poszedł teraz Tłustobrzuch do sióstr na naukę.



Zdziesięć Zdrowasiek od chałupek braci, na teźże posadzie Sącza miasteczka, siedziały panienki Boże, mniejsze, aliści nie na wolnem polu, jako brać tamta, jeno murem wysokim okolone. Czyli to na pamiątkę rozesańców Pańskich, czy przeto, że inne do tego miasta nie chciały, było ich dziewięć i troje czyli dwunaście sióstr pospołu.

Zaś nazywały się klaryssy, bo Klara pirwsza ich mać w italskiej ziemi była. Teź to Klarę pannę świętą umiłował Franciscus w Asyżu, Franciszka zaś miłowała sercem ducissa Cunegundis, klasztoru tego fundatorka.

Dwunaście ich było. Kaścha wrotniczka siedziała przy furcie, Krajna z Radochą, niewieściska starsze, dozierały warzechy, Mrochna od habitów łatania tak siostrzyńskich jako i brackich nosiła spuchłe paluchy. Jachna z Hanką dzwonniczki za

sznur ciągały, Świętochna, Częstobronka, Michna, Tomka i Ofka na rozmaitej biegały posłudze, a to w ogródku, a to na chórze, a w niemocnicy. Jedne, łąteczki młodziuchne wzięte w habit od niedawna, po woli, po niewoli rozmaicie. Insze, a to Radocha, Tomka i Świętochna już były klasztor-ków znajome, tu zaś przysłane ze skalskiego kon-wentu wielmożnej nieboszczki Salomy. A wszyst-kim Klemencja pychą pokryta przewodziła.

W jednym pospólnym dormitarzu spały, a też bosonóż latem chodziły, szarosukienne, bia-łozawite, czarnoszkaplerzne. Że zaś białogłowy były, którym i słowa śpiewnego nie lza wydobyć z gardziółka na kościele, więc im nastał pan pa-pież tych bracieńców, i gwoli piana z ołtarza na chórze, i gwoli służby Bożej w niedzielę, i też dla rozmaitej nauki duchownej. Za to im miały strawę codzien sposobić i habity połatać, jako zależy.

W teje, co i braciszkwie, biedocie siedziały one w Sączu, przez dzionek paciorki prawiąc, wedle przykazania. Sześć było chatynek kurniawych nieoprawnych, a jedna lepiona, z piecem i białą komnatą. Obiecywał był dawno ichmość książę krakowski, że im dworzec postawi białokamienny a majstrowie cysterscy przyjadą z kielnią, z temi

cegłami nowotnemi. Po prawdzie przyjechali ci majsterkowie, aliści poto, aby wokół chatynek mur dwusążniowy ustawić, mur kolczysty i wszelkiemu oku ludzkiemu odpór dawający.

W sam raz po obiednich Zdrowaškach skrzykła Klemencja panny Boże do komnaty, kędy położono na ławach dostatek ziela rozmaitego, które latem w ziołowym ogródku, a też w szczyrem polu uzbierane było. Rozkazała im układać wszystkó wedle rodzaju swego i potrzeby. A jedno będzie na niemoc, insze na kucharską potrzebę, insze na piegi, suchoty i blizny, insze na uroki i odczynianie. Żeby to wedle tego, jedno kole drugiego kładły, przekładały, ściebały, supłały i paździerzyły.

— Ale żebychta niektóra — to mocno do dała — kłokietliwego jęzora nie dobyła, ani umiatając, ani rozliczając postępków jakich. *Silentium* bądź między wama, a która w tem pogrzeszy, odmówić będzie powinna w odwieczierz dziesięć i jeden paciorków, a to będzie z wyciągniętemi na ziemi rękoma.

I precz poszła, pyszna z rodzaju swego.

Więc Tomka cichusko:

— Pruchwa stara! Już ta grzeje się w le-
pionej izbie. A wicie, co wam powiem?

— Co powiesz? Rychło powiadaj!

— Zmówmy tych dziesięć i jeden paciorków
poprzód!

I legły społem na ziemi, rączyny nawszerz
wyciągnawszy, i szeptały Zdrowaśki za zgrzeszoną
selencję.

Potem wzięła każda naręcze ziela; kładły,
przekładały, supłały i paździerzyły. Jedna jady
zielne wyduszała do słojka, Ofka ślazowy korzeń
skrobała, insza tarła kosmate listki wróblego prosa,
które na febrę zdatne. Jachna, mięty pieprzowej
szukając, składała ją wespół z żółtem zielem. Insze
lebiodkę, tamte podbiał na bolenie nyrk i kosa-
ciec na laksację ściebały. Lub też żubrzego po-
trawu ująwszy, gniotły go na nic, z żywicą. Lub
też czarną dziewannę mięsiły.

Tu Krajna:

— A toż mnie wonczas zbierającą w łobo-
ziach rzecznych mokrodziw ułapił za nożyne,
uuh! — i rączo przekreśliła się znamieniem krzyża.

Jakoś Jachna ustawszy, pobladła.

— Znów ty, nierobo, boległów zmyślasz?

— Cie... boległów... Insza rzecz. Już trzecią

noc cosi mnie skubie i koszka osobliwek w pier-wosny. A to tak: raz koszka, raz skubie. Wierę, to chyba znowu zły bandzie... Ujej, ujej...

A wtedy tamte rozgwar podniosły, krzycząc pełną szyją:

— Znowuż ty nama o złym chwaścisz? Pomaść się zielem św. Jacka i co.

A Jachna:

— Kiedyżem poprzysięgła wyznać, ilkoraz... Jeszcze me w klątwe postawią.

Tu Ofka zjuszona posunie piąstki swoje ku jej gębinie, rzekąca:

— Ejże, ciastucho! Jakbyś wyrzekła Klemencji, to ci mokrą śmierć zadam! Już ja nie będę za twego złego na popiele spała!

Bo takie było przykazanie u tych dziewczeczek świętobliwych, że gdyby jedną chociażby z nich czart kusił w osobie swojej, zaraz wszystkie przez dni dwadzieścia gruby popiół sypać miały na podściółkę swoją.

Tu Krajna do nich:

— Iii, co tam taki zły, koszkający po zio-brach. Żebyśta w Skale widziały, tam dwugłowy chodzi nocą po izbach!...

Więc siostrzyce w załęku pytały, coby zac ten dwugłowy był. A Krajna im rozpowiadała:

— Beł raz mnich, jenż dwie głowie na szyji miał. Beł i beł, aże Tatar, nastąpiwszy, szablą go ciął. Więc pomarł i odtychmiast chodzi nocą po izbach. I dwoje gęb ma i oczu czworo... Nie sypże mi lebiodki do wróblego prosa, niezguło... A jedną gębę ma, aby płakał, a drugą ma, by chichotał. Idący wrota otwiera. I czworą oczu poziera i czworą uszu słucha, straszliwy. Z ciemnego powietrza on idzie i w ciemne powietrze powraca. I tak se chodzi powszędę spłakany i uśmiechły, hej! A która siostra ten chichot posłysz, ta już w tapczan głowinę zaciska. Bo na kogoby dwiema oczyma zajrzał, temu nic, na kogo zasię czterma, temu śmierć...

Tu Ofka:

— Niechby i dwugłowy chodził, albo nie, ale wierę te w Zawichoście lepiej mają. Inszaciem, niżli my. Zawsze im tama drew narąbią bracieńcy, a nam?

I jęły skargę znowu:

— A czemu to naszym nic nam nie znoszą, ha? Żebrać na nas mają wycierusy, nie zaś siebiedla tylko!

— Lebo czemu to my nie są białosukienne, jak te norbertańskie dziewczyny w Witowie, co?

— Wicie, co wam powiem?

— Co powiesz? Powiadaj rychło.

— Jutro se przypnę ząbek czyrwony na zawiciu i co mi stara zrobi, le?

Tu kołatka grzechotać jęła, wołając panny na naukę. Mruczały, wzdychały.

— Kto ta dziś przyjdzie? Czyli ten chudziak błahy, czyli onż grubas, albo i sam przeor?

— Nie przeor, bo na Kraków pojechał...

Kołatka grzechotała znowu nagabliwie, a one ciche już społem do chóru stąpały.



Nastawiwszy nieco kapicę na oblicze swoje, biegał Wawrzon ręczo ku furcie panieńskiego klasztoru. Przyszedłszy, stukotał raz, drugi i trzeci. Siostra Kaścha wrotnica ozwała mu, i złożwszy ręczyny na piersiach wkrzyż, przepuściła. Człapiąc po ruszystych kamykach podworca, zdążył do jasnej komnaty, potem sapiący piął się po drabinie na powierzch chóru klasztornego, a korda węźlista bimbała mu cokoli po fałdach habitu. Przegroda z tarcic sosnowych rozdzielała chórek na dwoje: w jej pośrodku był tam otworek, blachą dziurawioną zasłoniony, i płachtą czarniawą a też goździami wokół nabijany. Za tą blachą dziurawioną siostry w rzędki ustawiły się, a to tak, aby, gdy pytać pocznie ten rozmowca, mogły mu do blachy ręczo podać słowo odpowiednie.

Stanął Wawrzon przed otworkiem, tak, iż nieogładany był, i słyszany tylko.

Krząknął i zaczął:

— W imię Oóca i Syna i świętego Ducha.

Zaraz spojrzały na się siostrzyczki, że to nie Polikarpus, a Wawrzon prawi.

On zaś mamrotał głóskiem błahym, nierychliwym:

— Społek koócióła świętego powszechnego wszemu człówieku ku wiedzenu godny, przez Atanazjusa, jarczybiskupa zapisany. Amen. Ktokoli chce zbawion być, przed wszystkimi potrzeba jest, aby trzymał krzeócijańską wiare. A ta wiara jest, iżbychmy jednego Boga w Trójcy, a Trójcę w jednoóci chwalili.

Tu podniósł głós, do płachty go przybliżywszy:

— Inszaciem jest persona..., ej, niechże pirwsza siostra wypowie, która insza persona.

Pirwsza Ofka stała, zdawna klasztornej rzeczy ówiadoma, tedy pytliła mu w porzadku:

— Inszaciem jest persona Oócowa, insza Synowa, insza Ducha świętego.

I Wawrzon:

— Jaki zaś Ociec jest, a jaki Syn, o tem gadajcie!

Znów Ofka w te pędy:

— Jaki Ociec taki Syn, taki i Duch święty.

Teraz na drugą zawołał, którą Mrochna była, i tę zagadnął słówkiem początkowem:

— Który stworzony, który niestworzony?

Aliści Mrochna słów nauki wcale nie pojmo-
wała, tedy za nią Ofka, głosek odmieniwszy:

— Niestworzony Ociec, niestworzony Syn, niestworzony Duch. Wieczny Ociec, wieczny Syn, wieczny Duch. A wszakoż nie trzech są wieczni, ale jeden wieczny, jako nie trzech stworzeni, ani nie trzech niezmierni, ale jeden jest niestworzony, i jeden niezmierny.

Tak pytliła, że ją zatchnęło, a już preceptor trzecią zarywał, „który pan większy“ pytając.

Trzecia Tomka stała, jako inne w tej rzeczy głupia. Więc i za nią Ofka odrzekła:

— Tako pan-Ociec, pan-Syn, pan-święty Duch, a wszakoż nie trzech panowie, ale jeden jest Pan.

Ledwie wypytliła, już im Wawrzon paciorek gadać kazał i, benedykcję rozdawszy, odchodził, gdyż mu do celnej chaty śpieszno było.

Bo miał konwent bracki taki przykaz od księcia Wstydliwego, żeby na rozstaje dróg baczył i dań celną zbierał od jadącej rzeszy.

Gdyż zawdy nocą uliczkami tego Sącza miasteczka szły z węgierskiej strony brankardy z kupią rozmaita, wiozące od gór wino do Krakowa i Biecza.

Więc przyzwolone mieli bracieńcy, iżby z tej kupi cło brali i tak: od brankardu z winem szkojców dwa, a gdyżby żydowin tam jechał, trzy; od bryki z tkaniną szkojców trzy, zaś jeśliby kto niewiastę na sprzedaż wiózł, tedy nie zwolić, lecz takową wzięwszy, w nowicjat panieński odesłać.

Codzień po wieczornych pacierzach dwóch braci odchodziło na miejskie bramy, a to, żeby na celnika pozór dawali. Tak i ninie Wypiór z Dusiałem odeszli.

Powiadał im celnik, że co ino pojedzie od gór brankard, jeden z miedzią gielnicką, po nim rynwan z winkami, a też bryka czworokonna, która wiezie do inszych okrajów imbir, figi dławione i ryż, i też pojedzie napoślad pewny brankard tajemny, zakryty, który obejrzyć trza sposobem chytrym.

— Ale mi do sposobu tego ogników braknie — dorzekł ten celnik, łściwy w oku.

— Więc duchem rozjarzajcie, a i wilę rozbudzić, niech nawdziewa maskary z obłudą. I pachółów ze sześciu wziąć.

— Na figi jakiby ortel był, pomnicie?

— Pomnę. Od fig dławionych trzydziesta dań brana być ma. Od ryżu, od korzeni takóż.

Dla długości czasu obaj bracieńcy szeptali podczas pacierze, jakie im z dnia tego niemówione ostały.

A gdy nieco Zdrowasiek przeminęło, zadudniło ciężko na drodze. Brankard z miedzią gielnicką stanął u bram. Rozniecono łuczywa. Podeszedł celnik z ostrym różnem, a brać za nim dla pozorów. Węgrzyn chąziebnie patrząc, supłał grosze z podpasu. Było tych groszy sześć razy po dziesięć, bo od centnara dziesięć powinny być, a miał centnarów sześć w tym brankardzie.

— Może ta i więcej wieziesz, hultaju nieosiadły, — tak brat Wypiór krzyknął, — lecz ci to konwentus nasz dla miłości bliźniego swego odpuści. Z Bogiem!

Podjechał na stanicę rynwan z beczułami, a celnik wołał na woźnicę, aby żywo złąził.

Zlął z kozła brodacz niejaki, zaś leżąc, pyłgotał w strachu.

— Ile tam barył wieziesz i jakie wino twoje jest?

Węgrzyn, niewiele ludzkiej mowy pojmujący, wyliczał, jako ma fasów pięć syrmskiego białego, *item* baryłek ośm szekrazda czyrwonego, *item* cztery achtele słodziuszka rusterskiego. I pytał, jakaby dań była, bo odjechać rad.

A celnik:

— Odstąp psiarybo! Rachunku chce świnia-wesz po nocy. Do południa czekaj, wtedy obliczym.

Węgrzyn przyjął najsmutniejszą postawę i prosił się, że mu do Krakowa śpieszno. Nie słuchali wcale. Więc brodacz zaraz, że da im jeden achtel rusterskiego. Nie słuchali jeszcze. Obiecywał baryłę sporą szekrazda czyrwonego. Tu laikowie do niego, że nie chcą, bo ten szekrazd chybaby dla cystersów dobry, dla obłójów. Alboli odda im fas syrmskiego, albo niech do południa czeka.

Poszedł Węgrzyn ze zmarszczonym nosem radzić w bryce z inszymi Węgrzynami. I wyjrzeni samopiąt i rozliczali się, na paluchach liczący, beczuły okazujący. Żeby ośm razy po dziesięć

groszy oddali i jedną baryłę syrmską, a też i achtel rusterski, a wraz pojedą. Tak Dusiał do nich. Więc brodacze, że dadzą cztery razy po dziesięć groszy i ten achtel jeden, inak zaś do południa odczekają. Aż i zgodzili się.

Podczas nadbiegała drogą owa bryka tajemna, poczem jezdnych z kuszami otoczona. Już i blisko Sącza to było, przed górą Niemalą, gdy lasek niewielki minąć im przyszło. I zagnała w tym lesie jał ptak puszczyk okrutnie piskotać. Jezdnych strach obleciał i pośpieszyć chcieli, alic ku górze z bryką nie zdołali. A owo wtóry puszczyk zapiał srogo i tamten pierwszy mu odkrzyknął. I tak jęły te ptaszyska wrzawę czynić, że jezdni modlili się głośno: *Ave Maria, gratia plena...* Lecz nie pomogły modlitwy, bo znowuż z krzaków ciemnych ogień widzieć dał się i łomot i nowe pokrzyki ptaszysków. Jezdni przywarli twarzą do koni a trwoga trzęsła nimi jak febra. Wtedy z krzaków ciemnych wyskoczył czart, książę piekielny. Haniebny on był i straszliwy w osobie swojej. Czyrwonemi ogniami buchał z ozwartej gęby, gorącym różnem wywijał gromko naokół i też chwostem śpiczastym swędrał mocno po ziemi. Z nim razem różne szczekoty okropliwe

szły. Z bryki i z koni zbiegli ludziska. I byle jak gnali przedsię w zestrachu. Ostała samotnie bryka i konięta. Więc ten djabeł pędem do bryki przypadł, a usiadłszy na koźle, figlikował tam rozmaicie tak ogniem jak i smrodem. A gdy tamci wszyscy daleko już odbiegli byli, wtedy wyjrzą z rowu pachołowie klasztorni i nuże koszkać po bryce i śledzić, co w jej wnętrzu tkwi. Tam leżały na spodzie trzy zawiązane niewiastki.

Więc je na koń wzięli i pędem gnali, i djabeł z nimi samoczwart.

— — —
 W dormitarzu brackim wesoło było. Przytuła zapalił świece z dziewanny i rozstawił kubki gliniane przed bracią przy okrągłym stole, którzy stroili gardziołki swe na tę winną zdobycz. Polikarpus przy baryłce tkwiący, zaraz czopa wysadził i kubki podsuwał w porządku, a wonia winna, subtelna ogarniała w sposobie słodkim dormitarz.

Brac wszystka, wodząc nozdrzą obrosłą naokół, mlaskotała i pijąc chleptała.

— Ops! Godne szaconku, godne!

— I nie dziw, że tak krzekał Węgrzyn, dać baryły nie chcący.

Wypiór powrócił z lasu, zmordowany.

— Uj-ha, a dajcież, dajcież, bo z trudu wracam. Trzy panny w lochu są. Głupice dotychczas zębem swoim stukocą, przed czartem w strachu.

— W porządku zaś było?

— W porządku. Jenó czart skręcił se trochę nożysko.

A gdyż tak o brykach jadących rozprawiali, nowy turkot usłyszany był. Jarnołt, przeor konwentu tego, wracał z krakowskiej podróży.

Zaraz widzieli bracia, że nieswój przeorek jest, bo wszedłszy, nie napotkał wcale tej słodkiej woni, ogarniającej komnatę.

Jarnołt, stanąwszy w smutnej postawie, tak prawić jął do braci swojej:

— Iżem późno powrócił, zła wieść przyczyną była. Której posłuchajcie: dostojne księżę nasze, *Cracoviae et Sandomiriae dux Boleslaus dictus Pudicus* śmiercią ninie zmarł.

Nie bardzo, ale posmęcili się słuchający.

— A przeto będziecie siedm dni sucho jeść, a na gołem kolanie chór zaduszny odprawiać, iżężby mu Pan Bóg zesłał grzechów odpuszczenie i do swej chwały wpuścił. Amen.

Smętku bardzo wielkiego narzucił tem słowem w ich serca. I jeszcze dorzekł:

— A gdy dech wydał, pani ducissa zdziała mu z głowy chustę śmiertelną i z niej zawicie sobie uczyniła, zawicie w sposobie sióstr mniejszych, to zaś na znak, że odtychmiast w habit pójdzie; już też go dla niej dworki wawelskie szyją.

A bracia:

— I tu na Sącz zjadzie?

— A zjadzie.

— Na księński stołek chyba?

— Na księński.

Tu poszli w klęczki wszyscy i byli w wielkiej niewiedzy dniów przyjdących i szepiucąc cicho, mówili modły ostatnie za duszę księcia na Krakowie, na Sandomierzu.



kościółek klasztorny sądecki wysoki był i szeroki, jakoby dziesięć chat kmiących w jedną połączono. Stareńki już, aliści mocny jeszcze w węglach i bierwionach swoich. Gonty szade nakrywały jednako dach, w szczytach węzutki, niżej rozparty, przysiadły, już już ku samej spływający ziemi; a schylone na słupach ganeczki sobotnie obiegały kościółek wkoło, wkółeczko.

A teraz jakoby świetlica w godzinie swadziebnej wydawał się! Powszędzy zielny, kwieciami strzęsiony, choiną wonny. Na obłych kamykach usłano sukna pawłoczne, do krągłych bierwion przytkniono opony subtelne.

Strugałki świętych rozesłańców wymaścił brat Więclaw na dziś barwą czworaką chwalebnie. I też tam klepane świeczydlniki były i szczyrosrebrne aniołki w ołtarzu. Z wysokiej więzi dachowej spadały wzniz jarzące korony, bujając na sznurach

w sposobie błędnych gwiazdeczek. A świeczek w nich dwie setki.

Iżby w jasności w habit weszła ożałobiona wdowa księcia Bolka, Cunegundis.

...W kościółku cieśń była. Na stołkach, na hatłasowych posiedli krakowscy kanonikowie i w cienkich gieźlach prałaci. I franciszkowa starszyzna: Rajmundus, minister duchowny, i Bartłomiej, stróż wszech konwentów tej ziemi, też Maciej i niektórzy insi.

W okręgu dalszym niewiasty, ksienie, opacichy i przeorysze, naroczne, dożywotnie, przeróżne, z dalekich okrain jadące. Iżby tych obłóczyn uczestnicami były.

Najpirwsza przystanęła wielmożna i napuszysta panna Wisieniega, staniątecka ksieni: chocia ciała ułomnego, ale ducha wysokiego, zawita w habit maści smolnej i w kłobuk z sobolich skór schowana, tak na ramionach, jako i podołku kosztownie wyszywana. Kręte nożyny kryje w sandałkach jedwabnych, praworącz laśczkę złocistą dzierży wysoko zakrzywioną. Za Wisieniegą przeorysza Trzebnicy następuje. Rodzaju niemieckiego, maści białej, w oczach zmrużona.

Za temi insze. Kanonice, magistry, prio-
yssy. Piaskowe, białawe, czarniawe i szare. Sta-
reńkie, rumiane, babusie i młódki. W sandałkach,
w trzewicach, w karpielach. Od Skały, od Zwie-
rzyńca, od Buska, od Witowa, od Pragi, od We-
lehradu, odwszędzy! W okręgu wszystkie przysta-
nęły z świecą pałającą, patrzące przyjscia no-
wotnej siostrzycy swojej.

W przytworze i kruchcie kościółka śpiewa-
kowie stłoczyli się tutejsi, sandeccy. Był tama
Wypiór i Przytuła, był Dusiał i Więclaw, był
Wawrzon i Polikarpus, a nad nimi wszystkimi
Szczygiełek ster trzymał. I też ten Pietrek umar-
lina przystanął. To gapił się co nieco na cudności,
to wyrosłinę swoją układał na grdyce, ażeby mu
w śpiewie nie szkodziła. Za tą bracią widni byli
w ganeczku sobotnim piszczkowie, szpylmani
i bębennicy, do rozgrywki hejnałów radosnych
gotowi.

W też to chwilę dzwonniczki mocno strzęsły
dzwonkiem różnym i nachyliły głów swoich cho-
rągwie —

szpylman miechy grające sztucznie nogą
deptał, bębennik w bębny bił —

i otworzyli gardziel swoją śpiewakowie...

W ruchu białym wstąpiła na kościół ducissa. Z nią, przed nią i naokół siostrzyce: Klemencja, Ofka, Hanka, Jachna i Radocha i wszystkie. A nie był nikt, ktoby dojrzał jej oblicza.

I nie był nikt, ktoby doszedł, że już w latach pomkła daleko.

Białopokryta upadła kolankiem zgiętem na kamień, a rozwiniawszy nawszerz członki swoje, krzyżem legła.

Teraz pan biskup ukazał się, obleczon szatą obfitą, w popiersiu jedwabny, na ramionach złoty, na głowie rogaty. Usiadł w czerwonym siedzisku i nieszpór wszczął. Aby Bogu na pochwałę, czartu na pohybę, ducissie na obłóczyny.

Przy dzwonach dzwoniących, przy śpiewie płynącym kościółek w klęczki poszedł. Pochyliły się szyjami swemi mniskie kapice. Którzy tylko byli kanonikowie i prałaci, poklękli; które wszystkie były ksienie, magistry, opacichy.

Na hatłasowym matraszk przykucnęła panna grabianka Wisieniega.

Na stopniach ołtarza diakonowie w długich albach i ząbczystych tunicellach dymili kadzidlą obiatę, a słodziuchna wonia żywicy obiegała w niebieskich kształtach rozsnuta.

Znów przydeptał miechy szpylman w sobotach, bębennik w bębny uderzył, znów strzęsły dzwonkiem dzwonniczki i zapiali śpiewakowie — szYROKO, WYSOKO.

Pan biskup z siedziska w ołtarz poszedł.

Przylgnięta do ziem ustami ducissa krzyżem leżała. Rozwinięte zaploty jej włosków rozbiegły się po zatyle główki i szyjce, ani starawe, ani szade jeszcze.

Tak trwała w spodziewaniu, że już za okamżyk jeden zawiązą się jej śluby i utwierdzi przysięga. I da w służbę Franciszkową ciało swoje, jemuż od dzieciek dała w służbę serce...

Przegoniły długie nad jej żywotem wichury, minęły lata młode i starsze w czekaniu. Trzy razy po dziesięć lat przeminęło i więcej.

Skłula się docna gwoździami, zapiekła męką, zdręczyła pokutą.

A jako słoneczny płomień przebiega szkło i nie przełomi go, tak też jasne pokusy grzechu rozkosznego nawskroś niej przebiegały darmo-chące.

Sobiewroga żyła, w gwieździe swej zasmucona, na bezludziu zamkowem sama; do rozprawy z tym bujnym królem ustawnie gotowa.

I przeto tylko teraz w habit idąca, ażeby ostatnią i jawną bitwę księżęciu piekiel wydała!

Tego dla wszyscy wiedzieli w kościółku, że się pojawi i przybędzie, on, który od dzieciek ostrzył tarń na duciszę, czart!

Już też zawczora dał znać o sobie, a to pod postacią wilków, nocą bardzo wyjących, i też naprzeciw jadącego orszaku na powietrzu stanął w figurze jakoby baby wielkiej.

Więc też zrana siostry napiły się odwaru święconej paproci, iżby w ich serca nie miał na ten dzień wstępu.

Rzesza klasztornych ludków okoliła dla straży sobotnie ganeczki, bracia służebni chodzili po polu, śmigając w ciemne powietrze wodą święconą powszędę.

I tak baczyli, kędy się ukaże:

czyli ujrzany będzie na widoku w postaci koziej?

czy nie zakazi zielskiem trybularzy?

lub piach smrodliwy wsypie do grających miechów?

lub w muchę przemieniony, ukąsi gdzie niebądź siostrzyce?

I uwieszony na daszku przyzbowym piorunem strzeli po trzykroć!

Tego dla w trwodze śpiewał i klęczał kościółek...

Odstąpiwszy ołtarza, pan biskup ku ducissie leżącej szedł.

Przyszedłszy, tknął ją laszczką zakrzywioną w ramiona.

Powstała, rączki założywszy, oczka opuściwszy. Rozkazał, niech za nim podejdzie.

Podeszła.

W jej tropy postępowali diakonowie.

Pierwszy nożyce dźwigał łyszczące w blasku świec. Inszy przykrywadło białe ukazywał, inszy wodną łagwicę.

Za nimi siostrzyczki drobiły. Klemencja habit niosła świeżo szyty, Radocha kordeę panieńską z węzłami, Jachna szkaplerz dzierżyła, Krajna zawicie białe.

Tu śpiewakowie jęli pochwalać Pana głosem czterochórym wedle słów kantyku. I znowuż dzwonki dzwoniły i szpylman i bębennicy.

W zaplocie włosów rozpuściących przyklęła ducissa w ołtarzyku. Ksienie, opacichy, magistry biegly z świecą w jej poblize.

Teraz pan biskup obłożył czystą szerzyneką oboje ramion klęczącej, wziął się do nożyc, i — zachyciwszy splacheć włosia wręcz — ciął. Już je trzymał ucięte, jasne, miłowiewne.

I zapalał w płomieniu trybularza, i płonące w łagwicę wodną rzucał.

Skwierczały, dymiły.

Postrzyżoną odziewały siostrzyce, chodząc dokoła. Klemencja habit podała, Jachna szkaple-rze, Radocha kordeę panieńską, zaco też pocału-sem duchownym przez nią obdarzone były.

Teraz ducissa biskupowi niesie dwie baryłki maluśkie. Baryłkę wina ze złota, baryłkę wina ze srebra. A ten biskup, ująwszy zawicie z rąk Krajny, podniósł je wysoko i modlił się. Potem naokół szyi zawijał i zapinał pągwicami.

Kościół cichcem klęczał patrzący...

Naonczas wpośród tej cichości usłyszeć dał się szum i bzyk niektóry, jakoby go czynili ko-marowie jacy ogromni, brzęcząc w swojej ilości.

A szedł ten szum od przytworu, z między świec, w kruchcie jarzących, z tłumu braci śpie-waków umilkłych. I w kościół wolno biegł.

Poruszyła się ciżba w zdziwieniu i zaraz wy-chynęły z kapturów głowy opacich i księń.

Znowuż pojęk głuchy dobył się, jakoby z udręzonego idący serca.

Tu biskup wstrzymał nieszpór i odwrócony bystro wglądał w kościół. Z pod rogatego kłobuka wysmykały mu szade kędziorki, z rąk, jedwabiem pokrytych, zwisały niedługie, haftem szyte manipularze.

Cicho się stało i najciszej, a te jarzące korony bujały i syczały na sznurach w sposobie błędnych gwiazdeczek.

Tu słyszano, że świeca, z rąk czyichś puszczona, padła, stuknąwszy o kamień.

I wnet ciało jakieś człowiecze ciężko o ziem runęło.

A te pojęki, te haniebne rżenia i mruki biegły teraz jedne za drugimi. Z nich rozruch w kościółku zaczął się. Którzy wszyscy klęczeli bracia i siostry, opacichy i kanonikowie powstali, tłocząc się w zalęku.

I to jedno było słowo do ust im przywarło, którego wyrzec nie śmieli: *satanas!*

Biskup od ołtarza wciąż na kościół patrzył ostro. Na wierzeje pozierał i na stropy dachowe, na wnęki i na jarzące korony, skąd też wynijdzie czarny anioł, skąd sprzeciwnik Chrystusów, czart!

Już diakonowie do stągwi z wodą poświęconą bieją, już i węgielki w kadzielnicach jarzą. Maluśka panna Wisieniega głowę w smolny kapтур ciśnie głęboko, głęboko, i pośpiesznie krzyżyki tą laszczką zakrzywioną kreśli.

Już też ducissa, z klęczek podźwigniona, w ruchu białym czeka...

Truchliwe zbiegły do niej siostrzyczki i wieńcem stają w otoku.

A ona wyższa nad ich pokolenie patrzy. Na obliczu dziwna: uśmiechła, rozświecona, niecierpliwa!

Skąd wynijdzie czart, kogo urazi?

Aliści ani to w świeczydlniki, ani w więźbę dachową, ani w daszek przyzbowy, ale w Pietrka wszedł.

W tego Pietrka łaziebника!

Jenż biduś malutki stał w kruchcie między bracią śpiewaczą z kijkiem dziewanny pałającej w ręku.

Znagła o ziem nim cisnęło.

A potem wzwyż podniosło.

Legł rozwinięty na tych obłych kamykach, jął też pyłgotać i tłuc i jadowitą pienistość z gęby

wypuszczał. Oblicze trzęsło mu się kurczem okropnym, oko stanęło jakoby u sowy, szerokie, małowypięce, zawrócone. Ta purchawka, co ją miał na podgarlu, siniała mu, puchła i chybotąła, widno czartem miotana. Nożęta chude igrały, to kuląc się, to rozwierając, rączyny jedna i druga zaszły otokiem, a cztery palce jeden palec ścisnęły. Też pazurami bardzo o kamień drapał.

Braciszkwowie zdziali rączo z bioder węzliste kordy swoje i trzaskotali niemi po Pietrku, po obliczu, po nożynach, rączynach usilnie: *Apage, apage!* — tak do czarta wołając. Ten trzaskot z bzykiem pomieszany biegł od kruchty w kościółek, a biegnący rósł.

Tłum wszystkim w trwodze klęczkiem leżał. I jedna tylko z między ciałek leżących wynikała Cunegundis.

Tu pan biskup jął głosem zatrwożonym śpiewać z ludem swoim nieszpór przeciw czartu. Podczas braciszkwowie rozpostarli w kruchcie giezło mokre poświęcone i zępnęli tam opętańca. Inszy paprocią nań ciskali, kopiąc dosyć gdzie niegdzie. A diakonowie dymili żywicą z kadzielnic. Aliści czarci kurcz potrzasał Pietrkiem dalej. I wypływała zeń piana szumiąca, która z posoką zmieszana

była. Widno w samym wnętrzu najgłębszem siedział mu djablisko.

W pobliż opętańca podeszedł pan biskup z ołtarza. Rozkazał jeszcze wszystkim obliczem do kamieni przyłgnać. Przyłgnęli. Sam jeden kroczył. Przed nim idąc, chłopiastkowie, niewinni grzechu, nieśli księgę, z której silnie śpiewał.

W powietrzu szumiało, jakoby wichrem. Jarzące korony u stropu chygotały nim kołysane. Z dymów kadzidłnych snuły się obłoki ciężkie, wyonaczone w kształcie.

Przystanąwszy nad opętanym, biskup głosem mocnym do Pana Boga wołał:

Deus coelorum!

deus maris et terrae!

deus omnium, quae in eis sunt!

*deus, qui satanam, sicut fulgura de coelo
praecipitasti —*

te suplice oramus...

— Amen, — oddali mu ku końcu diakonowie, w strachu szczekocąc zębiskami.

Aliści Pietrkiem tłukło i ciskało, jak przódy. One gieżło święcone czart poszarpał na nim i zmierzył na szmatki.

Wówczas pasterz pochwycił laszczkę kropielną i od wszech stron nakrapiał obficie opętańca, i najmocniej do szatana krzyczał:

— Duchu nieczysty, rabie piekielny, oto mówię: wyjdź!!!

Ta purchawka na Pietrkowem podgarlu zachybotwała bardzo i jeszcze bardziej, jakoby mocniej puchnąca.

— Któryś czarną niecotą i tą sztuczką szydliwą brata spętał naszego, dręcząc go i męcząc — wyjdź!!!

Aliści opętaniec dalej stukotał i pazurem kamień drapał.

— W ciemności zewnętrzne wróć i zaniechaj go!

Diakonowie z kadzielnic dymili chybko na cztery strony świata.

Biskup, już w potach trzęsący, jeszcze zaklinał:

— W ogień gorący, w męki nieskończone wróć!

Już najokropliczsze podrywki uchwyciły Pietrka.

I na obliczu śmierć widna mu była krwawa, pienista spuma bulgotała umarlinie na ustach.

Usłyszając to pan biskup, tem ci zapalczywiej

skropił go. I krzyczał głosem ostatnim z wszystkiej piersi swojej:

— Nie jać przepędzam stąd, służebnik niegodny, ale pan Krzystus i wszego stworzenia Bóg! W imię Oćca † i Syna † i świętego Ducha † wyjdź!

A wtedy Pietrkowi, docna już skurczonemu znagła skręciło głowę, jakoby ku onemu miejscu, kędy w otoku leżących sióstr stała prosto ducissa.

I tak czart przez usta jego zagrzytał:

— *Ve, ve, Hungara!*

Leżący podnieśli oblicza w zadziwieniu, szepcąc ku sobie, że ten czart ducissę wspomina, któraż z węgryńskich krain przyjechała jest.

Hnet ją k sobie przywołał pan biskup.

Z między siostrzyczek leżących wychynawszy, stąpała. W zalęku, w zatchnieniu pozierały na nią. Cicho było. Podeszła.

Patrzyła przedsię ostro i mocno.

Po kamykach stukotał klekot sandałów bieżącej.

Jak światółko chąziebne po lesie migotały gorąco jej oczy szmaragi.

U stropów kościelnych syczały jarzące korony.

Stygnęły w strachu siostrzyce i kanonikowie.

Przyszedłszy, śmigła laszczką kropielną i wypowiedziała twardo, na pewne:

— Nie jać przepędzam stąd, służebnica niegodna, ale pan Krzystus i wszego stworzenia Bóg!

I zaraz Pietrka uciszyło. Rozkurczony przywarł do ziem i rzeżał lekko. Zawarł oczy i sprostował palce, a w purchawce skłęśniał. Cicho leżał sobie i potulen. Zaś wszystkie siostry słyszały, jak djablisko, trzepiocąc skrzydłem wielkiem, ulatywał do stropu, w ciemności zewnętrzne.

W wieńcu sióstr spromienionych stała Cune-gundis dumna.

— — —

Nie było tam, u braci, takiego, jenzby wieczoru tego nie uczuł trudu w lędźwiach swoich. Rozkładali je stękając na tapczanach dormitarza i rączo do snu udawali się.

Jarnołt mościł co nieco leże ugniecione i pomrukiwał:

— Otóż dziwna nowina, wielmi dziwna!

A Szczygiełek:

— I to w sam raz, ledwo ino wejrzała. Dziwna!

I Polikarp:

— Nie dziwujcie, nie dziwujcie! A toż mówilech wam, że u niej oczy uroczne? Nic to ino zazor był!

Tu Jarnołt:

— Alić i wygnała go precz i łomotał chwościskiem u stropu.

Już był Polikarp wlaź w tapczan swój na górze i zakłębił w szmatach, alić usłyszając, mówił:

— Łomotał, powiadasz? Widzi mi się, że ten czart niniejszy to bandzie wujec owegoż, co u nas na cle służy!

Zaraz mu Jarnołt uciał te bluźnierstwa, rozkazując surowo z mocy przeorskiej, żeby natychmiast wypłuł z siebie faryzejskie zakwasy.

Polikarp zaś znów:

— Wicie, co mi się widzi? Już ta ona brukwi w klasztorze skrobać nie bandzie!...

Potem spali, sapiąc ciężko. Już odeszły z nich pierwosny, jakoś o drugiej nocnej godzinie, gdy zdało się Szczygłowi we śnie, że gdzieś bardzo dzwonią. Pokoszał się, przewalił, przyciągnął łąchów na głowę i odsypiał dalej. Aliści dzwoniło jeszcze. Potem cicho znów było. A potem w sam raz zdzierzył ktoś mocno pieścią w zawory dormitarza. I wrzeszczał:

— Wielebni, ohej, wileeeebni! Ady dzwonię i walę, aże me mgli!

Przeclaw, u wrót śpiący, odepchnął nogą kłonicę. Wtoczył się dziad niejaki, ogromny, namarznięty.

— Cozech ty, niedomordo, z byka spadł? Dzwonisz po nocy?!

A dziad:

— Z przykazu dzwonię. Wielmożność nowa panna ksieni kazali od ninie dzwonić co noc na matutinę.

Rozbudzeni bracia pozierali k sobie w ogłupieniu. Bo już byli tam oni dawno zapomnieli, kiedy do matutiny wstawali!

Kaparzyli długo, pasków, kopic i kozuchów szukający. A potem szli, tocząc przedsię nożyska zaspane, w kroku ciężkie. Potykali się o drwa i kamienne wyboje, kłący, mamrocący.

Szedł Przytuła i Dusiał, Wypiór niedźwiedziarz, Wawrzon i Polikarpus. I nie gadali nic.

Jeden Polikarp szepiutał błaho do siebie:

— Dobrodzika!... Niechbych ja wam ino jedno o niej powiedział. Le!... Już ta ona brukwi skrobać nie bandzie, no!



Gdyż tylko rankiem słońce z zamorza
wyniknęło, przyszedli do chat brackich lu-
dzie przeoryszyni przy zbroi i ujęli
w kaganiec Pietrka łaziebника. Posadzono bidusia
między żelaza gryzące, oczy zamknięto chustami,
skuto k sobie rączyny. A to było wszystko z roz-
kazu panny ksieni Cunegundis, chcącej, ażeby
czart szkodliwy nie wrócił do postaci jego, nowe
szkody czyniący. Nie zdołał umarlina i kroku
uczynić w tych przekowach, więc go naręcz ujęli
i rzucili w ciemną komórkę, jaż w pierw skropiwszy
mocno wodą poświęconą.

Smuciła się też dolą Pietrkową wszystka
brać sądecka, owszejki nic nie wiedząca, że już
dla nich okowy gorsze zgotowane! Bywsza ducissa
Cunegundis wzięła rozrząd w klasztorze. Co rana
z chatynek panieńskich pojęk obfity wybiegał,
na znak, że się tam widno jakaś smutna sprawa

dzieje. Potem braci służebnych skrzyknęła do się panna ksieni. Dano im do rąk oksze i topory, iżby łomali kamień w pagórku. Insi też nad po-brzeże rzeczne iść winni, gdzie na fali wzdętej urywki drzewa płyną. Te zaś imać będziecie i przy-nosić. Coby te rozrządy niewieście znaczyły, nie wiedział Jarnołt, też Wawrzon nie pojmował, ani Szczygiełek, ani myśliwy Polikarpus.

— A cóż, — tak Jarnołt prawił — chyba od południa na kapitułę was zawołam i uradzimy.

Wpierw ale obiadu czekali, którego pora ogłoszona była. I oto jako zwyczajnie przybyli pachołowie z koszami samotrzeć z siostrą zasło-nioną w gębie. Jak zawdy przynieśli oni konew barszczu dobrze kwaśnego, rzepę skrobaną i cztery bułki chleba. A toż i po ubierze panny Jachny poznane było, że tam im czas niedobry. Plecki swoje nakrywała ona habitem jakimś plugawym, a sznur najgrubszy opasywał biodra. Jak codzien stanęła, na gębie zawita, słoweczka nie rzekąca. Byłby ją może Tłustobrzuch pogłaskał i ninie w ten żłobek skroś bródki, aliści zapuściła dziś szmaty po szyję i nieruchawa zdawała się.

Więc wydwarzał trochę:

— Uj-ha, co nieco was ouździła nowotna panna ksieni!

A Przytuła dośmiewał:

— Jakaż tam rozprawa taka była, że aż do naju ten piskot biegł? Wypłoszy wam z główek zające, to i dobrze.

Cokoli bracia kiedykoli do niej gwarzyli, Jachna gębę trzymała bez słówek, odejścia czekająca. Tak i teraz działo się.

Jarnołt zaś do niej:

— A rzeknijcie tam komu, że od ninie matutina nocna jako wpiersw śpiewana bandzie od południa. Bo tak myślę, że w nocy spaniem trzeba pochwalać Pana Boga.

Tu zawinięta siostrzyca strzęsła się... Ruchem nieco gwałtownym zdziała z oblicza pakłaczną zasłonę, ozżuła wierzchnią kapicę i podniosła kark wysoki. I dziw, ach, dziw!

Braciom wydało się, że w nich wejrzenie ćmi się: to była ksieni wielebna, ducissa bywsza Cunegundis! A ten habit pakłaczny i ten pasek konopny mienił się jakby w czerwone hatłasy, w bisiory lśniące i otulał zjawę mocą jasnego majestatu.

Zmrużyła oczy, z których zaraz pobiegły

w górę iskrzące żary i zielone, gorejące płomyki złości. A jedną ręką zachwyliła koniec pasa węzlistego — dysząc:

— Hach! szkodźcy jadowite! Hach! sługi nieużyte najmilszego Boga! Wiemci ja, jako tu sobie poczynacie. Skaziliście domek mój, obłupcy wy! Alić ja was, pacholy sprośne, do pokory przywiodeę, i do regułki przyuczę. Czartowskie raby wy! Kostyry, suszybeczki wy!

Tak do nich mówiła w potężnej mocy słów rozmaitych. W zalęku ścirnęła brać docna, patrząc głupio okiem rozszerzonym. Tylko pachol jeden z drugim precz uciekali z izby.

A tę ksienię nowe ognie ujęły i wywodziła:

— Ja pani wasza od ninie, nikto a ja, ja opacicha, nad siostrą, nad bracią przewodnia! A chybaby wam paść na ziem przed oczyma myma, w obliczu. I ten wam oto przykaz daję: na kolana!

Omamiona, bezsłowna brać do klęczek udała się. Osunął się przeor, osunął Szczygiełek i Wawrzon i wrzodziły Polikarpus. Który nisko pochylił głowinę, a nad karkiem sterczała mu kapica, jakoby kadłub chrząszczu ogromnemu.

A ksieni jaskrzawo:

— Otóż plugawe zgromadzenie! Ja na was

gniewy Boże zawołam. Widzieliście kagańce, nałożone pokurczu djabelskiemu? Anioła bijącego zawezwę! I k małej liczbie was przywiodę! Zwierz leśny, zwierz polny przeciw wam wypuszczę.

Tu zjuszony dotychczas głosek panny ksieni ustał nieco spokojny.

— Bo tak mi dane z wejrzenia Boskiego, iż wiem, który człek piekła przysądzony. I to wam gadam, zaniedbalcy: wyście w potępie są! Gdyż zapominacie Boga, gdyż dniów świętych nie dbacie.

Tu wyszarpnęła z pod zawicia krzyżyczek mały, świetlisty i praworącz ujęła go. A był on złoty, bizancki i jasnym kamieniem błyskał w ramionach swoich.

Teraz w sposobie cichszym mówiła:

— Odtąd pod rozkazywaniem naszym sąście i wzdacie mi liczbę z uczynków swoich: śpiący, stojący i leżący. I będzie żywot wasz taki: wedle myśli Bożej. A to poddaństwo mi przysięgą utwierdzicie tu!

Jakoby zbójcy kłodą zamykani, pozierali na się chyłkiem braciszkuwie, w niewiedzy przyjdącego uczynku.

Ona zaś, trzymając praworącz wysoko ten krzyżyczek złocisty, wywoływała słowa przysięgi jedne za drugimi:

— ...Jako chcemy i będziemy, przysięgamy.

Chcący nie chcący mamrotała brać klęcząca. Tak przeor, jako Szczygieł, tak myśliwy Przytuła, jak Wawrzon i Polikarpus.

I ksieni dalej:

— ...A to nam dopomóż Bóg i te tu świętobliwe...

A oni wtórem:

— ...i te tu świętobliwe w krzyżyku kosteczki.

Zawinawszy oblicze, odeszła. A tych jakoby pomarlica wzięła. Klęczeli jeszcze.

Szczygieł pierwszy ocknął się, wstając:

— Aliści nam duszę utoczyła tłusto, uf!

A Polikarp:

— I cóż, przysięga ta nieznaczną będzie?

Jakem mówił czarownica, nie chcieliście wierzyć, he?

— Na zgubił, na ostatnią nam przyjdzie.

Teraz Jarnołt rozpoczął:

— Wicie, powiastkę powiem wam.

Nie odrzekli, więc powiadał:

— Beł raz taki król ociec, jemuż się synek mały narodził jest. Tak ten król kaźń wydał za-

raz, aby nie zwolili synkowi jego possać mleka inszego, a jeno niech będzie z wymion nasroźszego źwirza. Więc pytają tego króla królewscy ludzie w smutku, czyli w lesie wilczycy poszukać? Odrzekł król: nie ta nasroźsza. Więc go pytają, czy pod lwicę oddać synka królewskiego? Odrzekł król: ani pod lwicę. To chyba pod niedźwiedzią mać? I do tej nie. Pytają jeszcze królewscy ludzie: któreż tedy nasroźsze z "między żyjących istot? Wymówił król: owoż to samo, które najłagodniejsze. I dołożył: białogłowa!

Ale oni nie mieli do żartów chętu i skargę rozpowiadali. Bo tak: ma być ten klasztor w mocy ducissy ksieni, co go założyła, ale rząd nad bracią klasztorną w brackiej jest mocy, na co pergaminek świętego oćca w skrzyni chowają.

Tu insi skrzykną:

— Nie do skrzyni, a na Kraków iść nam. Owaciem i zaraz! Do prowincji. I rozpowiedzieć, która tu nowina niegodziwa stała się. Niech ją na sąd zawezwą. Bo nie będzie tak, iżeby żywot nasz w niewieścim chceniu ostał! I żeby parkoty z nas wypuszczała.

Na to Wawrzon:

— Tu i prowincja nanic. Już ta się ona

z nimi poprzód zmrugała! I to wam przepowiem, wyronie, że i wy tak na wstydlivych przyuczeni będziecie, jak był przez nią ten książe.

Mówiąc, uradzili potem, że owszejki na Kraków pojedą. Pojadzie przeor, i podprzeorze z Szczygielkiem samatrzocim. Więc poszli przyładzić wozy i kozuchy.

Polikarpus, co był pędem wybiegł, powrócił teraz, niosący w ręku urywek czerwonego łachmana i nieco kamyków soli. Ten urywek rozdzielał na cząsteczki, a też dawał skubać soli z kamyka, rzekąc:

— Cząsteczki one pod habit włóżcie, a soli zjedz każdy po trzy szczypty. Zawszeć tak na zaziory najlepiej, przeciwek tym oczom ogniowym, uh! Kto tam wie, czy i nie zarzuciła uroków. Bo mamuna w niej jest, tysiącochytra, hej! I jeszcze nam od tej mowy dziki mięs wyrośnie!

Jeszcze nie pojedli tej soli i tych cząsteczek nie ukryli, gdy okrzyk przeorski zdala słyszany był. I też on sam biegał widno z nowiną dobrą, bo zdał się na twarzy uśmiechły.

— Witaj mi to! — tak wykrzykał przeor — witaj mi to! Pozna wosk Węgierka.

I okazał pisaną tabliczkę, dopiwo co pacholem

brata ministra z Krakowa przywiezioną. W tabliczce taki rozrząd zapisany był: iże przyjadzie do Sącza miasteczka i wespół z bracią siądzie w klasztoru niektóry brat Boguchwał, z italskich krajów przybyły. „Z naszej woli ten-ci jest“, — tak stało w tabliczce, — „który wielebnej Cunegundis bywszej ducissie, ninie pokornej służce Franciskowej ucho spowiednie podawać będzie“.

— Ten-ci jest, — dokrzyknął przeor z ochotą, — który na nią sposób znajdzie. *Sit nomen Domini benedictum!*



Teraz ducissa przyrządzała klaszterek od nowa. Iżby był odtychmiast cerkwią groźnego Boga. I w rozpaczę czekał sądu koniecznego, który przyjść może, zanim się chwila jedna na półzegarzu godzinnym przesybie.

Po śniegu i po lutym ledzie, poprzez ostre przechody i wądoły kamieniste biegly wszyściuchne siostrzyce co nocy na gorący paciorek w kościółku. Iżby się w grzechu ocuciły, same jedne bogumiłe w niedostatku wszystkiego chrześcijaństwa. Bose, w pytle włosiennym drogę swoją odprawiały.

Idącym kazała bacznie pozierać ducissa, czy też wierzeje kościelne nie otworzą się czasem same przed niemi. Ale się nie otwarły. Lub czyli skroś nocnego powietrza nie wychynie tam kiedy z niebiosów umarła pani Salome. Ale nie wychynęła. A gdyżby inny jaki dziw stał się, niech rzekną. Ale nie stał się i nie rzekły.

Tedy ułożyła je wszystkie na twardem kowadle utrapienia. Abychcie bezprzestannie płakały boleści duszy swej! I choćby studnicy zbrakło na te łezki wasze, płaczcie! Płaczcie i łzę dawajcie! Wyplakał bo za nas pan Krzystus tysiąc po siedmdziesiąt najśłodszych płaczów swoich.

Tu im sześć zgryzów zadała.

Ten był zgryz pierwszy: strawę swoją z ziemi szczyrej gębina jako psi jadły.

Ten był wtóry: na szyjkach szyjnice konopne zawiesiła im ku zawstyżeniu.

I ten był zgryz trzeci: na biodrach przepas, goździem kolący.

I ten był czwarty: pomyslenia swe, tak jawne jako i senne, wypowie każda wszem wobec w kapitule otwarciem.

I ten był piąty, haniebny: codzien was wszystkie wespołek karcermistrzynie podrapie.

A toż im tama źle było w klasztoru siostrzyczkom, a toż na nędzę przyszło już biduśkom! Kul słomy posadzono w okieńce, ćwieków w kratę dobito w dwojnasób. Jakoby w kłonicę zamknięte siedziały w krwawym trudzie, na suszy. Tak sobie myślące, iż to już zgubił ostatnia nadeszła.

I nie była tam żadna, któraby łyzy swoje ugasiła, a ten pojęk żałosny szedł przez chatynki nieutulony. Radocha karcermistrzyni ustawiała pokutę i zgryzy. Było babsko owo chciwe w rękę i w rozmierzaniu tych plag biczowych nigdy nasyte. Do czarnej izby wiodła je za przewinłę namniejszą i tam paznokciem żelaznym drapała dō znaku, lub twardym kańczugiem trzaskotała mocno. Gdyż jako wrzątek wody pieska strzymuje od kuchni, tak ten paznokieć występki.

Chopiły się biduśki, prosząc do opaciszynych nóg, tej kaźni bolesnej prosząc się daremnie! Lecz Cunegundis samej sobie jednako ostra była, a też krzywa jednako i bezlitosna. Powszędzy z niemi podobna, równa, cierpiąca. Bo jako w wnętrzu swoim anielska była panna opacicha, tak w zewnątrz siertzista, tak w mowie i uczynku sroga.

Narówni im jako sobie po czworgu chleba na tydzień wydawała, a ten chlebek bywał poprzód w ługu gorzkim umaczany. Wespolek ni ku czemu używy nie mająca, a ciałko swe, chocia włodarskie, księńskie, w dniu każdym na rozdrapież dawająca.

Pobudzała je, rzekąc :

— Tak to już będzie do żywota waszego.
I przynaglała je, rzekąc:

— Jażem dla pokajania was w habit poszła
i w tej udręce na sąd was poprowadzę.

I zagrzewała je, rzekąc:

— ...W rozpaczy i trwodze bądź wszelkna
myśl nasza, siostrzyce!

Ku słońcu przenigdy nie patrzmy.

Od wody myjącej chrońmy się.

I od jasności dnia.

Od pośmiechów uciekajmy i od słówek
głośnych.

Iżbychmy umarły czartu, światu i ciału.

To jedno dobre nam, iż w zamrozy kwiecie
polne nie pachnie! A gdyż nas latem wonia taka
otoczy, liczka skrywajmy!

Bo z tego słonka — tak uważała — pokusa
idzie. Która powszędzy przyczajona jest, w wietrzyku
czyha, w kwieciu i w zarannej rosie!

W takiej zaś męce bolesnej i pokucie mać
nasza żyła, jeże modlimy się codzien: Klara,
panna święta. Która, gdy mi się w majaku sen-
nym pokaże, krwią zawdy ocieka...

Słowem żadnem wyprawić się nie śmiały
siostry styране, do boleści przynaglone.

A choćby co tajne było i najtajniejsze pomiędzy, to już przejrzała, kapłanica nad niemi twardousta.

Tylko tę trwozę narzuconą, tylko tę rozpacz przymuszoną w sercu nosiły.

Tak Ofka, jako Jachna, tak Krajna i Mrochna, Częstobronka jednakie.

Żeby już ten antychrystus w piecu żelaznym przyjechał czekające...



Nad stołem z tarcic świeżych siedział człek pochyły, w obliczu jakoby od prażma słońca wielkiego ogorzały. Sute, jasnobujne kędziorki snuły mu się rąbkim węzutkim nad uszami; stężone, pracowite oczy błyskotały mocno w otoku kół szafirowych, a plesz golony pośrodku łba wilgnął rosą z nasilenia. Na stole doniczki stały, w nich on coś mieszał, rozcierał. W doniczce jednej białko było jajeczne, w doniczce drugiej czernidło. Znów ujął praworącz grudkę cynobru i tę tarł na osełce, gniotąc kostką zajęczą. Uśmiechy rozmaite przebiegały mu podczas w obliczu, te smutne, te dobruchne, ucieszone. Teraz czerwień już startą nanic pomieszał z białkiem jajecznem, ujął prątek pióra ptaszego i zarzezał ostro skryturałem. Zaczem powstał i ku almarji postąpił.

W tej almarji księgi leżały różne, przedziwne. Barwami pisane i czernią, złotem rysowane i minją, w deszczkach zamknięte zawiaskami. Były tam opuskuły i pateryki, były kamienne tabliczki, rozmaicie zapisane rubryką, a to wedle roku i zdarzenia, i też podług prawideł wszelkich historie. Te wszystkie on tu przywiózł z sobą, a teraz patrząc, czytał. Pochwilek dorzucił drewno w palowisko i zdjął z nad okapu splechcę skóry bydlęcej, którą już w pierw pergaminnik sprawił czysto ku pisaniu. Tę do stołu przytwierdził i leżącą łagodził wzwyż, wzniz i napobocz laszczyką zuzłową.

Teraz odgarnął szerokie rękawy habitu i na tej łagodnej płachcie ustawił ciężkie lineały.

Pomyślał i znak krzyża uczynił na czole, na uścicach, na piersi.

Potem nacinał skórę skrypturałem a stylusem zadawał ołowi. Zaczem ten prątek unurzał w donicze, ułapił go trzema palcyma i na splechciu postawił ryse rubinową. Ta prosta była, dodał jej wtórą: skośną i trzecią: zwięzoną.

U wezłowia żółtego pergaminu siedziła pierwsza rumiana litera. Odchylony od tarcic pisarz wodził po niej okiem długo i rozmierzał

tędy, tamtędy, jakaby była. Suta była, czerwona, kapitalna!

Znowu mu jasne uśmiechy spromieniły oblicze i uczynił znamię krzyża na czole, na uściech, na piersi.

Przy kapitałce drugie rysy nacięte czekały. Te przyoblekł w barwę i stanęły w porządku za pierwszą jakoby dziwne, kręcocyrwone gadzinki, jakoby kwiatki czerwone, piórem na skórze dziergane. Które, zrazu osobne, potem zmrugnęły się wespół i wyrzekły słowo:

INCIPIT...

Pisarz odsunął lineale na pobocz i dalej rysował, nacinał, barwił, odmierzał, wykreślał.

Pochwilek nowe wężyki samoczwart na skórze ustawiły się, zrazu osobne, potem społem mówiące:

VITA...

Umęczony trudem pisarz ustał i spoczywał.

A jako jeno kołatka jęła wołać panny na naukę — poszedł.

Już tam w chórze panińskim klęczały one w rzędzie. A były sine z płaczu i żałosliwe. Co dzień je karcermistrzynie złośliwym paznokciem trapiła, włosie końskie drapało biodra krągłuchne,

na tarcicach, na gołych nocy dręczone. Z niemi podobna, z niemi podrapana klęczała w chórze ducissa ksieni Cunegundis.

Przystanąwszy u kraty, pisarz wysłowił się imieniem Bożem i mówił, tak jako tam w zwyczaju było, niewidny a słyszany.

A siostry owe uciśnione ani uważały głosu zmienionego, ani też rozliczały, że preceptor inszy, nieznan. Wyziębłe były, pragnące, spuchłe i zatrwożone. A od słów tej nauki czekały nowej trwogi i potępy.

Pisarz jął przemawiać z ukrycia i prostym wykładem wykladał słowa swoje. Głosek drżał mu przytem co nieco, bo pierwsza ta jego mowa była w tym klasztoru.

...A najpierw rozważał o tem, komu modlimy się. I też kto patrzy na nas codzień z nieba gwiaździstego?

Ano Ten patrzy, jenż utworzył wszystko.

I wywiódł ziele z opoki ku służbie ludzkiej.

Ptaszyny ustanowił na siedlach swoich.

Siedm planet założył na niebiosach.

I kropie wody policzył i morze wiatrem wielkim porusza.

Jemu bydłęta, Jemu gadziny pływające służą.

I też Go stwór każdy pochwała. Tak wilcy, tak łosiowie, niedźwiedziowie i lwowie, tak leśni ptaszki, tak ziółka i zwaliska gór.

A gdzież ten Bóg? Wśród winnych sadów na niebieskiem morzu mieszka i gwiazdy sieje w obłokach.

A jakoż chwalić Go? Dwoją rzeczą chwalić: czystotą serdeczną i radością doskonałą. Tu pychę i pokorę dokładnie rozliczył. Bo cóż pycha? Uciska serce kamieniami złości, owszejki pokora jest żywotem w obliczu Boga. Pycha ma córek siedm a szkaradnych, pokora ma córkę jedną, a cudną, którą zowią radością. Więc im dołożył, jakaby była radość doskonała. Tejże rozmnożką jest Bóg, a któż szatan jest? Otóż szatan pomnożycielem smutku. Bóg świąty płaczliwe utula, chcący, iżby brzmiał w sercach rozśpiew wesela.

Patrzmyż tedy, aby swe serce ku radości mieć, a jako daleko wschód słońka od zachodu, tak my oddalmy trwogi nasze gaudentes in Domino...

Każącemu płynęło z ust słowo w porządku, śpiewne i dźwięczące i na obraz lekwaru smaczne. Tem słowem jakoby trwogi rozrzucał, tem słowem boleści przepędzał i łagodził. Widno, że w niem rozumny był.

Zatchnęły się siostrzyce z ksienią ducissą w słuchaniu.

Wydało się, jakoby dobruchny wietrzyk do serduszek postąpił. I wymiółł im był myśli czar-niawe, a nałożył insze, jaśniejsze. Sama tylko panna ksieni nieco ruchliwa zdawała się.

Prezbiter przydał teraz mocy wyrazowi swemu:

— ...A chcecie inszą ważną rzecz usłyszeć?

Tęż powiem. Ni to pustą modłą, ni to kolankiem zgiętem nie objednacie radosnej łaski w niebiesiech. Ni też świeczkami, ani paznokciem drapiącym nie uwielbicie Bożego Syna i Jego Matuchny dzie-wicy. Ku smutku was one zawiodą, ku truchłej trwodze, a te są od czarta zesłane.

Wy zasię czarta wiarujcie się! Czystotą serca wiarujcie i radością doskonałą.

A wtedy, gdyżby i kamienie z gór ciskał na was czarcisko, wieleby chciał, nie bójcie się!

W radosne serce wstąpić mu nie lza.

I w miłujące też.

Miłujcie Boga i utwory Jego, z których ra-dość wynika.

Miłujcie te zamrozy i śniegi białe i ptaszki jatem trzepiotopióre i jastkolice śliczne czar-niawe.

Miłujcie kwiecie wśród łąk pachnące...

Tu jużci dziw jakiś wystąpił na chórze.

Zmiedzy tych słówek skrzydlatych, płynących wyniknął uśmiech i uśmiechły wpośród siostrzyc siadł.

Prezbiter już kończył naukę swoją :

— ...A tylko jednego nie miłujcie, otoć ciała swego niewieściego, które z głupstwa plugawego zrodzone ku głupstwu plugawemu pośpiesza.

Poklękawszy na kolana wasze, módlcie się codzień Bogu za ludzie smutne, aby je pocieszył, a od trwogi zbawił. Amen...

Tu wzniośł ręce obie ku górze wysoko i nakrywszy oblicze uśmiechem czystym, padł o ziem modlący się głosem bujnym i roznośnym.

A słowa modlitwy owej przedziwne były i takie :

Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.

A najpierw tym naszym braciszkiem wiel-

[możnym słońcem,

z jegoż mocy jasność dnia wynika,

a cudna w wielkim blaskocie —

Twoim jest, Panie, obrazkiem!

Pochwalony bądź i tym braciszkiem

naszym miesiącem i siostrzycami gwiazdami,

*jeżeś ustawił na niebie —
kosztowne, świetliste i piękne!*

*Pochwalony bądź i tym braciszkiem naszym
[wiatrem,
a też powietrzem, tak ciemnem jako jasnem,
jako i wszelkiem,
ilkoraz je przysyłasz ludzkiemu stworzeniu Twemu!*

Zgubiony w pacierzu zakonnik nie widział i nie słyszał i też świadom nie był, coliby się dzieć mogło. A tam to działo się, iż znagła poderwała się z klęczek ksieni ducissa, toż samo rozkazawszy inszym siostrzycom swoim. I spędzone z klęczek precz oddaliła od wysłuchu tej płynącej z poza kraty modlitwy. Z nią razem złąziły rączo po drabince chórowej wzníž, i już tam żadnej nie było.

Modlący u kraty dalej wysławiał:

*I też pochwalon bądź, Panie, tą naszą siostrzycą
[wodą,
abowiem i ona pokorna jest, ważna, czysta
[i pomocna!*

*Pochwalon bądź tą naszą siostrą i macierzą ziemią,
onaż bo zachowuje i żywi,
rodzi owoc w ilości i kwiatki barwiste i ziółka!*

*Pochwalon bądź osobliwek i tą czarną siostrzycą
śmiercią, jejże nie ujdzie niżaden
człek żywiący! Amen.*

Skończywszy, powstał, spojrział — i w niewiedzy dziwił się owej pustej cichości.

A wonczas ozwały się wierzeje kraty mocno pchnięte od panieńskiej strony i przystanąła w nich ksieni Cunegundis.

I popchnęła go laszczką w pierś, krzycząca:
— Hej, ktoś ty?!

To rzekła twardo i zgłobliwie.

Zakonnik pochylił głowę i kapicą.

— Boguchwałem zowią mnie w konwencie.

A ksieni z nim w spór:

— Nie szukaj łży! Wiemci ja, ktoś ty!
Tyżeś omyła, tyś znowu ten isty sam, ten sam
a w nowotnej postawie!

I wzieriała w oczka jego swemi oczyma
żadliwie i obiegała go wzrokiem płonącym po-
wszędę.

Boguchwał, nie wiedzący czegoby chciała, stał. Ani hardy, ani pokorny.

A ksieni:

— W imię Pana Krzystusa i Franciszka, oćca naszego, powiadam: cożech ty prawił, ohydo? Tochto zaśpiewy były, czarnoksięskie hymny, kacerskie blekoty — kwasu w duszyczki naplułeś! W stróżę odejdiesz, w żelaza, otchłanniku!

Więc Boguchwał w spokoju:

— Posłuchu zwólcie mi siostrzyczko, a powiem.

Słuchała, on zaś prawił cicho:

— Ten tam paciorek mój przeciwek regułce naszej mniejszej był może. Aliści już takie ślubiny moje dziwne są.

Zamknęła mu słowo w okrzyku:

— Jakież zaś ślubiny przeciwek regułce być mogą, jakie?

— Zwolicie mi? opowiem — a nim zwoliła, rozpoczął:

—...Jako wiecie i rozumiecie, jam przed ośmiorą niedziel dopirko powrócił jest do swej polskiej krainy. A już to dwa dziesiątki lat i więcej przeminęło, odkolim stąd odeszedł był, by tam u włońskiej braci mniejszej w sztuce pisma uczyć się.

Po tychże leciech dwudziestu, jechalichmy do dom żaglem, rozpodniosłym w korabiu.

I tam to na tem morzu zagnała nas wiatr niemały pochwycił i też zawołał do siebie burze i powichry różne z ciemności nocnej.

Wiatrem ruszone wzdęło się morze spuchnięte.

W okropliwej nawałności toczyły się tam srogie wełny morskie i przewały ryczące. Które swoją mocą wodną szumiały i szumiały powszędy.

Oneż to nasz korab porwawszy, na szkopyły podwodne cisnęły. W też to chwilę przepęknął, ukazując miejsce otwarte, przez które woda morską nadbiegała w ilości.

A wtedychmy, ilko nas tam jechało, do różnych opiekunów niebieskich uciekali się. Jedni świętemu Tyburcemu wzdawali się, inszy posyłali prośbę do panny Rustykuli świętej, drudzy do Eufemji i Tomasza angiельczyka, ci znów do Anastazji utrapionej mękami, i do Amandusa i do Prokarjusa. Ale widno ci wszyscy mocy nad morzem nie mieli...

Tknięta słowem ksieni słuchała. A Boguchwał:

— ...Ja podczas na powierzchni stanąłem. I pozierałem na zakręty wód, na bałwaniska huczące, przelewające powszędy. A otóż wydało mi się,

że z między wełnów owych wynika ku mnie zjawa jakaś. I to była zjawa panny Klary świętej, tem samem okiem na mnie patrząca, jak wtedy żywa w Damjanie...

Tu ksieni znagła przerwie mówiącemu :

— Wyżeście ją widzieli za żywota, w ciele ?!

Tę świętą pannę Klarę naszą ?

— A widziałem. Koli stareńka już odsyłała duszkę Bogu z cielesnego domku swego, widziałem ją klęczący u podźwierzy wraz z inszą bracią mniejszą.

Gorące różańce wystąpiły na obliczu ksieni, jaskrzawe stanęło oko. Zaparta w tchu ścigała słóweczka mówione. Boguchwał dalej wiódł:

— ...I taką ją tam wśród wełnobia ujrzałem, cichą, dobruchną, stareńką. Tedy z serca gorącego zaniósłem modły jedne i drugie, ażeby nas wiarowała od tej wodnej śmierci. I wtedy ślubinę uczyniłem pewną: jak skoro ona panna święta, za którą modliłem przy jej śmiertelnem łóżeczku, wejrzy na nas i potopieńcom wypłynąć z potopu pomoże, wtedy już do żywota swojego przepowiem codzień po dziesięć i więcej razy ów ten ostatni franciszków paciorek, słoneczny a cudny paciorek do Boga, jegoż w skonaniu śpiewał

Franciszek, na pannę Klarę patrzący. Wyrzekłem. Bałwany dalej łomotały, a wichrowie bieżeli k nam i k nam odwszędy, i już już zła wełna korab nakrywała...

Ducissa ksieni jakoby nie słyszała owej powieści mówionej. Ino jedno jej twardo w myślach stanęło, że ten Boguchwał tem swoim dziwnem obliczem pozierał w otwarte oczy żywej panny Klary. On zasie dalej mówił:

— ...Aliści widzę, jak w czarnem powietrzu wysoko rozmaite światłości maluśkie zabłyskają: jedna, druga i trzecia. I te światłości z powietrza ku korabiowi zstępują. Pirwsza na dzióbek korabia upadła, insza na poślad, trzecia w stek, kędy się woda gromadziła. I ta światłość w otwór przepęknięty weszła i zamknęła go. Otóż i wichry ustały i wełny przepadły, a bałwaniska wsiąkły i siadły na morzu cicho, równiutko. A trzy światłości, idąc przez ciemnię morską, wiodły korab za sobą aż do spokojnej przystani. Przetoż ja tę piosnkę słoneczną w polskie włożyłem słowa i do żywota odprawiam, gdziebych nie zaszedł. To i przewina moja. Już też i ninie ósma przewina taka. Przyzwólcie sestro, że i dziewiąty raz powiem ją przed wieczorem!...

Poszedł w klęczki i powtarzał:

*Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.
A najpierw tym naszym braciszkiem słońcem...*

Ksieni Cunegundis osunęła się na kolana
modląca, zachwycona bardzo.



Gdy srogi powichr lelejał na polu, a śnieżny przewał ruchem białym obłóżył nieoprawne chatynki zakonne, wonczas powiadał ksieni swej brat Boguchwał o tem rozkosznem przyrodzeniu krainy włoskiej, o słodkolubym wieprzyku, jenż pomyka między cyprysami, i o tej niebieskości morza wielkiego, jegoż wodę wszystką jeden Bóg chyba policzył. Tam lato mało czasu zimie zostawuje, a ludzie italskie śpiewające są i uśmiechłe. Którzy cybulę z oliwą w obfitości jedzą, a też niejaki truskawki ogromne i słodziuchne. Tam u nich siostry franciszkowe bieją przedsię w rąbkach cienkich, rozwite. A kiedy modlą Bogu w odwieczarz, szumi morze, a kiedy modlą Bogu w zaraniu, pachnie róża grzędami... Mówiąc, tarł mocno ręce swoje, sine od zamrozu, jenż szumiał ziąbem w ksieńskiej izbie.

Troje ich było w tej izbie. Ducissa ksieni na pniaczku przysiadła, słuchając. Boguchwał opodał palowiska stanął gwarzący. A w srebrnej strugałce wyryty patrzył na oboje maluśki opiekun, Franciscus!

Cunegundis, samotna żyjąc w żywocie swoim, nigdy męzczyńskiej mowy nie zaznała w pobliżu. A te słówka Boguchwałowe pirwsze były, w ilości przez nią słuchane.

Rada im w uchu była, rada w sercu. Rąbek zawicia swego osunęła wzniz, mówiącego nie widząca. Bo ani lza jej było, a też nie chciała tego. Aliści chocia nie patrząca, widziała go przedsię w tym krągłym, na krętowłosych kędziorach mucecie, w tej miłopłynnej powieści.

Teraz o Franciszku rozповідаł. Tenci abowiem był pirwszy miłośnik przyrodzenia i utworów jego. Owaciem on i gadziny, choziaby pływające, choziaby latające, umiłowal, a miłosierdziem nienawiść ich rozrzucal. Tu odmieniona była wymowa brata Boguchwała. I prawić jął w sposobie ślicznym, raz świegotliwym, inak znów cichutkim.

Najpirwej o tem, jako nasz ten ociec świętobliwy raz turkawice leśne ułagodził, znów, jak z wilczyskiem dzikim po dobremu gadał, kudły

jego swą rączyną głąskający, a też, jak mówił do jastkolic czarnych i słuchały go, lub kiedy na różach kwietnych śpiący spoczął i cóż? róże zapomniały kolców swoich.

Tu wziął Boguchwał o innej braci Franciszka rozpowiadać, gadki wcale wyborne.

A to, że był tama jeden taki Maciaszek, jenż przywykł modlić się Bogu głosem gołębim i gruchał na obraz ptaszka tego: u-u-u! u-u-u! u-u-u!

Zaczem prawił, jako te stare bracieńcy samoczwart w żebry chodzili i z dzieciną na drzewie wesoło bujali, a też o tym śmiechu wartym bracie Jałowcu przypomniał. Tak bo zdarzyło się, iż dnia jednego pokusa czarna podeszła do serca jego i kołata silnie. A Jałowiec: ostań se ta na polu, ostań, moja gospoda zamknięta!

Ksieni, o ziem patrząca, słuchała zapaliście, wciąż tej powieści nienaśyta i różnie myśląca.

A te słówka miłopłynne w duszę jej szły, cicho niktające.

Powszędy czuła na sobie wejrzenie Boguchwałowe. Na obliczu je czuła, na zawiciu i na wszystkiej osobie swojej.

I pomyślała: jakież on dziwny, ten pan brat Boguchwał.

Pirwsza w nim radość dobra, druga mądrość.
A choć uśmiechły we wnętrzu swoim, żartobliwy.

Owaciem rozmaitym rozumem rozumny.

I też umowny, wierny i prawdziwy.

Czy aby bogumiły?

Oczu w górę wznieść nie śmiejąc, cichutkie
podała pytanie. A to prosząc, żeby jej jeszcze co
nieco objawił o tej pannie Klarze, jaż nieraz w sen-
nych zjawach widzi. Osobliwek jaka też wydawała
się, będąc jeszcze w ziemskim ciele swem.

Więc Boguchwał rozgwarzał, że już jej wtedy
było przeszło roków sześćdziesiąt bez jednego.
Stareńka wydawała się, malutka, jak łąteczka, ale
zawdy uśmiechła, świegocąca. Też przypomniał,
jak to sam święty ociec w otoku wielkich panów
kardynałów podeszedł w osobie swej do tejże
domku w Damjanie. I schorzałą dobrem słowem
okładał. Potemuż stanowił nożynę w mięcieńskich
jedwabiach na podstołek i dał, aby całowała.

Teraz mu mowa popłynęła z serca:

— Jam jest z tych, którzy słowa ostatnie
błogosławionej słyszeli. Mamci je w sercu dotych-
miast. O miłowaniu były. A najpierw cichutko
wyrzekła: *Erat columna nostra*. A potem cichutko

wyrzekła: *Et unica post Deum consolatio* — i samą jedną był mi on okrom Boga żywiącego uciechą.

Więc ksieni:

— To zaś o panu Krzystusie mówiła?

A Boguchwał:

— Nie o Krzystusie, o Franciszku świętym! Cunegundis myślała nieco.

— A toż nie miłowała go chyba sercem człowieczem?!

— Owoż i miłowała. Ale miłość owa była ponad przyrodzenie inszych białogłów. I też w sposobie wysokim. Tak iż...

Tu rozjaskrzony szukał długo słowa, któreby rzekł, zaczem krzyknął gorąco:

...iż samym jednym serafinom tak czuć dozwalam do Boga, jak ona tam czuła ku Franciszkowi.

Tu rad był powiedzieć wiele. O tem, jako ci dwoje w niebardzo wielkiem mieście Asyżu śniadali wespół na zielonej darni, i o tem, jak raz modlący się samotnie, ujrzeli schodzącego z niebios anioła o sześciu skrzydłach lśniących i ognistych, — aliści wyrazić nie zdołał.

A jeno dołożył:

— Tegom ja rzec nie godzien przed wami.

I nigdy nie wyprawię w słowie myśli mojej. Niech li wam starczy pisane.

I dał jej księgę, jaż przyniósł z sobą.

Była niewielka, z kart pergaminu uszyta, deszczkami dwiema zamknięta.

Więc tę księgę ozwarła w ciekawości wielkiej, gdy już spowiednik za progiem był.

Łyskotała barwami.

W obrzeżu karty pirwszej jakoby żmij błyszczący połyskał, który, biejąc sposobem krętym między minuskuły drobnouchne, coraz to inny wydawał się. Raz jakoby listkiem kwiecica snuł się, a to kwiecie było czyrwone, indziej kolcem cieniowym kwitnął, a ten kolec złoty stał i świecący.

Wszystkim wzrokiem pozierała na te dziwności ksieni blaskooka. Poznawała, jakieby litery były, i składała je społem w słóweczka, próbując zrazu cichutko, potem głośniej a zwolna.

Rubinowe majuskuły mówiły głośno błyszcząc:

Vita sanctae Clarae virginis.

A drugie, czarne, maluśkie szepiutały ciszej za niemi:

auctore fratre Bogufalo Polono.

Cunegundis nie znała księgi takowej, jeden sam psalterz, stareńki i zbrukany w librarji swej mająca. Dziwne jej zdały się te barwy mocno błyszczące, nigdy widziane. I to, że je uczynił rękoma swyma ten pan brat Boguchwał.

O nim myślała, o pisarzu. Ileżby rozumów miał?... Owoż i w piśmie umiejący, i w słowach myśliwy, a też w stawianiu liter rozmaitych przebiegły. Tu czarnych, tam czyrwonych, tu złotych! I też znakomity w całym uczynku pisarskim, który osobliwie od Boga umiłowan jest.

Teraz o żywocie panny Klary czytała:

emicuit in vita!

post mortem radiat!

claruit in terra!

in coelo relucet.

Dźwięcząc słodko, upływały wymyślne słóweczka. A gdyż tak je k sobie doliczała, czytając głosem, wydało się jej, że nie ona, a ten, co rysował, czyta. I tak czuła, jakoby znowu mówił sam przed nią stojący w tym krągłym na krętowłosych kędziorkach mucecie, żółt od słonecznej gorącości i miłopłynny w swych uściech!...

Lica jej stanęły w różańcach, dziewczyńskich prawie, bo czuła w nich jakoby wejrzenie pana

Boguchwała; z między słówek księgi patrzył w nią, mądry.

W tęż chwilę poderwała się od stołu i ku żarom palowiska pobięła.

Rozgarnęła popioły, ujęła głównię płonąca, tak chyba chcąc, aby sobie dawną mękę zadać pod ramieniem. Wierę inaksze pomyslenia w nią nadeszły, bo rzuciwszy ten żar gryzący, wróciła do stołu. Usiadła i dalej czytała. W księdze były najpirw niektóre słowa własne panny Klary, rozdane siostrom klaryssom, gdziekoli są i będą na świecie; te słowa od wielebnego ojca Waddingusa spisane w Damjanie:

„Abychcie córuchny moje, wszechwszędę i przez czas was wszystkim żyły proste, śmierne, ubogie.

„*Sicut ab initio conversionis nostrae edoctae fuimus a beato patre nostro Francisco*“.

Tu czytająca łzą na twarzy spłynęła, piąstką piersi swe uderzając:

„... A która ksienią ostanie, upraszam, izeżby była jako matka córkom swoim.

„*Sicut mater erga filiolas suas.*

„Nie z kaźni aby jej słuchały, a z umiłowania.

„...Zabiegliwa niech ku nim będzie, zawdy a zawdy dobruchna.

„I łagodna, i w sercu otwarta, iżeżby owszem bez lęku ukazywały przed nią potrzeby swoje.

„A coby im gorzkie być miało, ona niechaj w słodkie obraca“...

W wierzeje komnatki kołatano potrzykroć i weszła mocno karcermistrzynie Radocha.

Czyrwona, z kańczugiem w łapsku, sapiąca.

I pytała pokornie o pokutę dla sióstr na odwieczarz.

I łypała chciwie okiem, plag rozmierzanych nienasyta...

Przy stołku spowiednim chóru panińskiego klęcząc, czyniła ksieni ducissa wypowiedź generalną z żywota swojego. Mówiła tam prawdę z serca i z ust, wszycienką. Rozpowiadała o tym Przeborze i o różnych pani Grzymiszynych uczynkach, i o troistych ślubinach czystoty. Też o tej chwili, w jaką dziwna pani Salome przybyła. I jako ją darmo ku świeckiemu dworu przyprawiali. A też o samotnym przez trzy dziesiątki lat żywocie i o pokutach, w każdy czas czynionych.

Konfessor słuchał dobrotliwie, łagodząc ręką kędziory szade swoje, i czoło pocierał jakoby w zgryzocie, i głową zaprzeczał, jakoby w sporze.

A kiedy zakończyła mówić prawdę swoją, milczał.

Pochwilek podjął:

— Rozmaitą przewinę widzę w żywocie waszym. Rozmaitą i ciężką, mało rzec: śmiertelną!

I tak był, jakoby nad tą przewiną dumał.
Zaraz spowiednica najczerwieńszym różańcem
spłonęła.

— I też śmiertelną?! Gdzież zaś ona, go-
spodzie? Jazem jest grzechu śmiertelnego nie-
świadoma ni razu, a to przez żywot mój cały!

— A toż była ona i tej wam się w żalu
kajać trzeba.

Więc stała się gorzka w słowach.

— ...Bo i któreż te grzeszenia moje, mówcie.
Czyli te, żem od świata kwapiła, pawłoki drąca
i bisiory, czyli te, żem ponęt świata cielesnego
nie zaznała i nad przyrodzone prawo żywie, nie
podług obyczaju. A to tak, jak owe cioty i przed-
baby moje, w poczet niebieski posłane!

Wierę wymówcie, któraż przewina moja?
Czyli ta, że siedmdziesiąt paciorków stawię Fran-
ciszkowi świętemu, a z wszech paznoktów moich
rzuca się co niedzieli krew żywa, gorąca.

I też nie raz a po wiele razy pędziłam precz
szatany! A chocia był ten, co mnie okiem kusił,
sam hejtman piekielny z imienia Astaroth, aliści
i jemu nie lza było dosięć przenigdy czystoty
ciała mojego.

Czyli tę winę dajecie mi, że w trojej czy-

stości wytrwałam jest, tak dziewczynskiej, jak małżeńskiej, jak wdowiej? Ejże, panie bracie! Jażem władczynią księstwa obojogo i ziemi polskiej całej teraz ostać mogła, a wżdy tu siedzę w zgryzocie, pilnie Panu robotująca.

Wymówcie, nuże, któraż z nich śmiertelna?...

Brat Boguchwał przymknął oboje oczu.

— ...W kwasie, w złości rozmaitej i w zgłobie bywał caluśki żywot wasz. A w tem grzech, że wy źle się modliliście, siostró!

Bo nie ten jest Franciscus święty, jemuż paciorki stawiacie, nie ten.

I nie ten pan Krzystus, krwawą chwalony udręką.

Też nie ta powinność człowiecza, jać czynicie, nieszczęсна!

I głupi ten czart, z którym bojujecie, głupi!...

To mówiąc, w żadnem słowie nie wąpił.

A ta ksieni jakoby stoma kamienioma uderzona była, też jakoby żegawką pokrzywną skłuta, i zapiekłą, szydliwą boleścią bardzo potrząsana. I długo to zetrwało, nim zgłobę ową i nieśmiałość przemogła. Wtedy poderwała się z klęczek odmieniona: wpierw gorzka wydała się, teraz wyniosła, dumna.

I oko w oko konfessorowi temu patrząca, mówiła słowa żardkie:

— ...Uwłóczysz ty mi tą mową swoją!

Owszejki słysz, że mi ta prawda twoja wątpliwa!

Nie Franciszkowi modlę ja, a komużby, hej? Owoż jemu samemu! Czy inak jawiłby mi się co nocy, a to tak ninie, jak wczora, jak zawczora? Tenże isty z rytego obrazku, ten, który w godzinę śmierci Salomy wszedł w komnatę i patrzył ku nam.

I nie ten czart prawdziwy, z nimże bojuję? Eja to! A któreż słówko czciłam stojące w tym waszym opusku o pannie Klarze. Nie bojowałam i ona?...

Tu Boguchwał:

— Słusza jest! Bojowała i też różnie wiem o tem. Było tak, że raz pokazał się jej pod postacią niejakiego chłopczyka murzyńskiego, a że spotkał ją płaczącą nad grzechoma swyma, więc rzecze: jakli tyle płakać będziesz, panno, oślepniesz, a wtedy cóż? Jemuż Klara na to: ejże nie frasuj się ty mną, ja ta nie oślepnę. Indziej podszedł do niej w tę chwilę, kiedy szlochając nosek swój ucierała i prawi: nie płacz tyle, bo

ci krzywonos wyroście. A Klara: niech i wyroście, a ty odstęp, koli mówię!

Tu ksieni, a krzywo:

— Toż figlikowała z nim, strachu nie czująca?

— Czowała ona strach, czowała, ku inszemu djabłu ale...

— Ku któremuż?

— K temu, jenż w człowieku wszelnym siadł i knuje. Czart-stróż! Ten od wszyściuchnych, w jakiejby nie byli postawie, ważniejszy!

Więc Cunegundis:

— Mówiliście przeciw drapaniu. Tu zaś Hedvigis święta i Elżbieta święta przeciwność wam zadają. Nie drapałyż się one przez swój żywot cały, co?

A Boguchwał:

— Był wśród italskiej braci mniejszej Maciaszek, brat pewien, jenż udręczał nadto ciało swe. Raz pojawiła mu się przed oczy Matuchna Boża w osobie Swej, a z Nią wespolek przyszły trzy śliczne dziewice, niosące trzy koszyczki powidłek różanych o niezmiernej woni. I tak mu — sam prawil mi o tem w starości — rozdawały tych powidłek po trzykroć z pirwszego koszyczka,

z drugiego, z trzeciego. A to, aby się skrzepił w cielesnej krzywdzie swojej.

Ksieni, jakoby tej mowy nie uważająca, rzuciła zniemagła blaskotem mocnym na konfessora, a z tych jej ocząt szmaragowych poszły odkosy błyszczące. I dufna zaczęła spór mówiony:

— A toż wiem teraz, że mdła mowa wasza, a prawda moja! Bo inak nie obłożyłby mnie pan Krzystus mocą pewną, za jąż wielbię Go codzień.

Brat Boguchwał spojrział, widno nie świadom niczego.

A ona:

— Wierę słyszeliście, co prawią o mnie?

— Jakżem mógł słyszeć, indziej bywszy, w okrajach?

— A wżdy i dziecińy małe gwarzą o tem w krainie wszystkiej, jako mi anioły wino słodkie nocami znoszą, i o tem jako ja chóry serafińskie słyszę śpiewające, a też o wierzejach kościelnych, jak się ozwarły, nie mówili wam, eh? I wiedzcie, panie bracie, że tak bywa. Też i znamiona mam. Mówią, że w samem jednym wejrzeniu mojem błogość siedzi zdrowiąca... A przeciw kómu spojrzę źle, umiera śmiercią. Bywa tak. Ilkoraz zachcę czegoś w imię Boże, dzieje się!... A nieraz skroś

pól idąca czuję, jak źródło pod ziemią blaskoce, lub na obłokach dziwy... A też wiem w pomyśleniu swoim, kto zbawion, kto zaś piekłu przysądzony! Nikto z żywiących nie zdolen tego, a ja! Hedvigis pirwsza była, Salome wtóra, ja trzecia. Jam jest nad wszystko pokolenie swoje podwyższona. Tom tyle wyrobiła sobie za owe udreki, za żywot, przeciwek przyrodzeniu będący.

Mówiąc, jaśniała, ani do żalu, do kajania nieskora.

Brat Boguchwał słuchał, cały w wielkiej uwadze, i okładał ducisę spojrzeniem ostrem, nagabliwem, a to bez umysłu złego, jednostajnie.

I to jeszcze pospytał:

— A jakąż rzeczą stroicie wy te dziwy swoje, sestro?

Jemuż Cunegundis suchooka, dufna:

— Troją rzeczą: chceniem, myśleniem, wejzeniem. Niechli jeno zachcę, a...

— I ta jest wasza pożądź nadnawyzsza, to wasze miłowanie wielkie?

— Owo. Ta moja pożądź nadnawyzsza i miłowanie pirwsze.

Boguchwał patrzył dobrze i patrzył łagodnie,

a też długo w myślach swoich szukał. Aż i znalazł, mówiąc:

— To, co powiem, z serca głębokiego mówię. I pod utratą zbawienia wiecznego powiadam. A też i oblicza panny Klary śmiertnego pamiętny. I na tę kordeę braci mniejszej ślubiący. A oto mówię wam: ta poządź wasza grzeszna, ciężko-grzeszna jest! Z niej szara pycha urodzona, która siedm córek ma i cztery osoby, a te są wszystkie grzechy śmiertelne. Bo przecz wy te swoje dziwy stroicie? Przetoż jedno, abychcie się nad insze powyższyli. Nie onci, nie nasz Franciscus tym sprawom oręduje!

Już też ducissie ksieni zdało się, że ma pod zawiciem w główce rozum nie ten swój, a inszy i zaćmiony. W gorzkiej krzywocie, w mątach szydliwych krzyczała:

— Otóż i krotofila, widoma krotofila! A cho-ciabym i w grzech popadła, powiem: przy tobie głupstwo, nie przy mnie!

A ten Boguchwał nie rzekł nic, jeno wy-dobył z zanadrza membranulkę skórzaną, na której najpirwsze prawdy franciszkowe zapisane były; ucałował ją najgoręcej i czytał z niej jakoby sobie samemu:

„...I choציaby kto z braci mniejszej ślepym wzroki otwierał, choציaby słućh głućhym i krok chromym oddawał, gdyżby i czarta przepędzał a zmarłych od dniów czterech wskrzeszał — pomnij, bracie Leonie, iż nie ta jest jeszcze cnota doskonała!“

Odczytawszy, ucałował pisanie, schował je i słowem mówił:

— ...At i wytoczyło się! Wy siostró rzekliście do mnie wpierw, iż z wielkiego pokolenia jesteście. Z wielkiego, tak. Owaciem nie z Franciskowego. Bo ten nasz Franciscus tak przykazuje do wyznawców swoich:

„Gdzieby nie podeszli bracia, niechże będą najmniejsi pośród bliźnich swoich. *Sint minores!*“

I to samo jedno mam, cobym wam rzekł: *sis minima!*...

Aż zemdlała w oczach panna ksieni od zapalistej zgłoby swojej. I tyle wyrzuciła ze zgorzałych ust:

— *Sis minima!* Hach, a ktożeś to ty, mówiący?

— Nie pojme, co prawicie.

— Ktoś jest, tak pytam, ktoś był w świeckim żywocie swoim?

Tym swoim dobrym uśmiechem znów się rozjaskrzył Boguchwał:

— Nie zawstydzę, a powiem. Wiadomo. Jam był ot hultaj, nieosiadły człek. A pospytajcie panów Szafranców wielmożnych, powiedzą. U nich ja pieśni składał, z gęślą za grosz chodzący, igracz byłem, wesołek, szaławila.

Ksieni oczka zmrużyła.

— A wiesz? Popalić stołki kazał król-ociec mój, gdy usiąść chcieli panowie węgryńscy w obliczu córy jego dziecinnej! I jaż to ninie o szarą pychę wołana? Która przed pieśniarzem kajam się w posłuchu, przed szaławilą. Hej, jakż druga uczyni w świecie cesarzówna?!

Potem dalej krzyczała ku bratu milczącemu:

— Hach! *Sis minima* — mówiliście, co się wykłada bądź namniejszą. I gdzież to u was takie ludzie namniejsze, któreż minimalne? Gdzież owe cnoty doskonałe? Czy te tu mnichy zbujane, mną codzień żywione, ten Jarnołt, ten Wawrzon i Polikarpus ten? Błogo mi tu, ha!

Odprawił cicho, jednostajnie:

— Nie wszyscy oni, alic jest jeden między bracią sądecką.

— Owa jest! Witaj mi to... I któryżby?

- Ten tam w okowach zamknięty.
- Pietrek? Bezkost djabłem opętany?
- Pietrek.
- A z między sióstr?
- Z między sióstr niszadna.
- Niszadna pośród wszystkich nas?
- Niszadna.



rybniku klasztornym karpiecia zimowały w ilości, a tak tam było, że ten stawek ciekącej wody w sobie nie miał i oddechu potrzebował. Więc zimą bracia służebni coraz musieli do przerębli, ze świdrem jedni, z okszami insi, i tę przerębel przerębowali, aby oddechu rybkom pozwalać. Bo inak nie zetrwają do przedwiośnia i poziebną. Jakoby ruszycą białą odzian, jaskrzał stawek ścięty i pokryty śniegiem, jegoż wydry nocą żerujące zamiatały ogonami swemi.

Rąbanej roboty dozierał Szczygiełek i Przytuła, patrząc, aby na bliską odwieczerz dokonana była.

Ale ci obaj myśli dobrej nie mieli w sobie.

— At, niech i poziebną karpiki, bo i tak zyz nam z tego. Któż powie, co z niemi będzie? A byłby syrmski fas wyborny za takie półkopy dwie.

— Ano to będzie, co se panna ksieni wyfiguruje. W jej chceniu klaszterek wszelkny, to i karpięta. Wolno pani, jako pani. A cóż tamten? Kołatałeś doń?

Mówiąc, Boguchwała myślał.

— A juści. Alic zawarł na łańcuch wierzeje.

— Wierę, już to czwarty dzionek, jak nie wyszedł on do nas.

— Le!... Chociaby i wyszedł, to nic. Nie wyśpiegujesz ty go! Które słowo powie, kręto mówi, a w uśmiechu. Ani on zły, ani hardosz, nie. Ale nie dojdiesz, gdzie mu zając wyskoczy. Zatrzaśnie jak nie bądź słówkiem figlackiem, a potem nuże prosić, a to utrzyj mu czernidła, a to czytaj z nim litery...

— Ile on zaś tych rozumów ma? Bo tak: ku rysowaniu pisma ma, ku składowi słówek ma, ku gwiazdom ma?

— Przenajgorzej, że i w prowincji twardo siadł. Próbował Jarnołt w Krakowie namawiać przeciw niemu, alic go wielebność sfuknęła, urwawszy. Et, głupiochmy to uczynili, jego ku pomocy myślący.

Na ścieżynce śniegowej skroś pola widny stał się zdala człek w kształtach nieco obfitych.

A to Tłustobrzuch był. Podbiegał rączo do rybnika, widno z wieścią idący. I wołał:

— Nowinka, otóż nowinka! Pietrek powrócił. Wypuściła go z żelazów.

— Pietrek? Czyż? Przecze go wypuściła?

— Szukaj przyczyny! Chyba, że nas w nie pozamyka.

Tak Przytuła, a Szczygiełek:

— liich! Ja już nie zdzierzę. Żebych miał w karcer pójść, nie ostanę w rozrządzie tym.

I poziewał wściekłością.

Po śnieżystym zagonie sanice wielkie zakryte gnały przedsię od panińskich chatynek. A pachół szkapy naglił. Którego Wawrzon skrzyknie:

— A gdzież to, hej?

Przystanął i pozierali na obite łubą sanice.

— Dobrodzikę wiozę.

— Dobrodzikę? Którażby?

— A no oną grubego ciała, co poprzód przy habitach była.

Poznali, że to Radocha, karcermistrzynie. I dziwili się, gdzieby tak po śniegu jachała.

Więc ten pachół:

— Do Skąły posłana, w klasztor, już tam i na pobyt.

I Przytuła :

— Jakieś to dziwy są! Radocha pokutę ustawiła. Widno, że już im kaźń odpuszczona. Bo też i nie piskają rankiem, jak przódy. Dziwne.

A Szczygielek :

— Et, ostaw już to. Lepiej my z Boguchwałem próbujemy. Trzebaby mu wciąż a wciąż wezgłówko podkładać słowami. Możeby tak na wino chciał? Wicie, pošlimy Polikarpa, niech siłuje o to...

Podczas ksieni ducissa zostawała w komnacie swojej. W zalęku wielkim żyła ona od dni trojga, zmacona, zmieniona, insza!

Już i pokajała się, darmopycha.

I serce swoje uczyniła ku pokorze.

Zeznała hardość swoją, posłuszna.

I tak siostrom odpuściła jak sobie, utulna.

Duszny jad z niej odeszedł i mgła.

A to słowo Boguchwałowe było, które ją przekonało.

Ten ją ku Franciszkowi nawrócił i między duszą a ciałem mir uczynił.

Aliści zalęk czuła i w niejakej rozpaczy żyła.

Kędy ukojenia szukać nie wiedziała.

Coraz lży tocząca, w swoich myślach ustawnie szukała.

Bo stanął oto władarz i natchniciel nad jej żywotem całym.

I pirwszy człek żywy ponad nią wyższy.

Poseł Franciszków, z krainy dalekiej.

Który powiedział jest: najmniejszą bądź!
I też uczuła się taką w jego obliczu, najmniejszą.

Teraz poszła pytać o radę tych słówek, w księdze Boguchwałowej zapisanych. I czytała, aby z czytania wziąć ducha właściwego. Zawczoraj i wczora i ninie czytała. Już wyplonęło docna w komnacie pięć prątków owych, prze pamiątkę ran Zbawiciela płonących, ona zasię ustawnie nad stołem pochylała się, oczęta szmaragowe topiąca w każdym znaku barwistym.

A najpierw o tem, jak święty pan Franciscus, uchwycon sławą pobożnej panny Klary, zapragnął zyskać ją, iżby wespół Bogu służyli.

Visitabat ille istam, et saepius ista illum.

„Często też on ją nawiedzał, a częściej jego ona. A to było tajemnie.“

Tak czytającej raz boleść odchodziła, raz nadzieja wracała.

Na inszej karcie wyszukiwała:

Ista enim filia oboedientiae fuit.

„Ona bowiem córuchną posłuszną była, tak

ku Franciszkowi mówiąca: otożem, mój ojczy, gotowa powszędzy i wszzechwszędzy iść, gdzie jeno posłać zechcesz mnie!“

Potem przyszedł jej na myśl ten skrzydlaty wykrzyk Boguchwała, gdy mówił: „A samym jednym serafinom tak czuć pozwalam do Boga, jako ona ku miłemu naszemu czuła!“

Wzięła inszą kartę pergaminu, gdzie stało, jak to panna Klara w dni troje po obłóczeniu precz odrzuciła znaki opacichy i między siostry zstąpiła jako równa...

I znów czytająca wróciła do liter uprzednich: *Visitabat ille istam, et istum illa.*

Tu zatrzasnęła deszczuły księgi cudnej. Powstawszy, odziała się kożuchem ciepłym i precz wyszła z komnaty. Podworcem szła po ziąbie do furty. Koło wrotniczki, koło zdziwionej przebiegła. Pchnąwszy, ozwarła i w pole zimne zdążyła.

Na polu dymiło śniegiem sypkim. Kłujący powichr wiał ksieni ostro naprzeciw. Zrazu ścieżynką zasypaną mknęła, zaś potem skroś, przez półłany kmiece ozime, przez wągrody, posady klasztorne, pomiędzy chycze, w śniegu zgubione. Z nią wespół biegły lelejące tumany wichury. Daleko biegły, aż w same brackie chatynki.

Z dormitarza wychynał wciśnięty w kapiec Polikarpus i milczkiem kluczył ku siedzisku tego mędrka wszędobyla, raz jeszcze popróbować go chcący. Czarnośpiczasty na śniegowej bieli, sunął chybko przedsię.

Już ksieni nadybała chatynkę spowiednika. Zaskrzypiały zawory lodowate, weszła.

Z za węgła Polikarpus patrzył jadowity. Jak ciemny anioł przytulił się do bierwion i pozierał mocno, ile mógł, okiem zupełnem. Pod więzią dachu słomianego chatynki okienko było. Wyprężył chudą szyję wzwyż, mocno i najmocniej, jako ten rodzaj ptaszy, który zowią żóraw. I zachyciwszy ręką okapu, rad był podgląd uczynić. Aliści błonna zawora nie zezwoliła mu. Tego dla postąpił miękko ku drzwiom i wpełznął w przysień chąziebnie, cichutko. Stojąc tak w ómach bezwidnych, swędrał nieco palcyma po deskach, aż tam szparkę wymacał. Do tejże przytknął zaraz oczko swoje wylupiate i gapił, ile można było. Potem ucha przykładał i znowuż oczko jedno i drugie na zmianę. Hnet ale odstąpił jakoby w strachu kogoś idącego i do braci biegł.

Cunegundis na pniaczku siadła, który jeden w chatynce był. Boguchwał przystanął sparty

o almarję, z tarcic ukleconą, jak zawsze uśmiechły w obliczu.

Siedząca pozierała na te opuskuły i pate-ryki, na księgi ciężkie, na czernidła pisarskie, na doniczki i splachcie, kamieniem przyciśnięte. A to tak, aby oczu wzwyż nie podniosła.

Potemuż szepiutała ustą cichą:

— Bądź odtąd we mnie wszystko wedle słowa waszego.

Tyleż rzekła, a nie więcej.

Cicho było, tylko w palowisku igrały głównie dymiące.

Teraz, dobyła te znaki opacichy, co je z sobą przyniosła: był tam pierścień i ryte sigillum, znak mocy księńskiej nad klasztorem.

Pojął już, ale pytał jeszcze:

— Przeczże mi te oznaki wasze?

— Nie moje już. Od ninie siostram jest po-spólna i równa jako inne.

Zaczem prosiła go, niech kanclerstwo kla-sztorku tego weźmie i rozrząd da mu wedle pra-wych pomysłów braci mniejszej.

O tym rozrządzie więcej mówić jąła. Biada-jąca, że nad tymi braćmi ani mocy ani umyśłu nie ma. Już też przykazała siostram modły

codzienne odprawować, iżby Bóg dobry grzeszną ich złąbę odmienił. Więc o to pytała, jakoby ich na drogę franciszkową powrócić.

Boguchwał teraz:

— Nijako! Za pośmiec mam tę brać całą. Złaja to. I też *beatus pater* nasz tak o niej trzymał, nie chcący, iżby obłojów w habit osnuwać. Nie stąd dla chwały Bożej pożytek i nie ten był umysł Franciszkowy.

— Jakiż zaś?

— Ażeby wszystkie ludzie w sercu naprawić i uciszyć i w pospólne dać przyjacielstwo. Nie te są klasztorzki franciszkowe, a owa regułka wasza fałszna i docna odmieniona przez tych wielkich panów kardynałów.

Cichutko, pokornie jęła bywsza ksieni ducissa upraszać brata Boguchwałę, aby nie wydwarzał przeciwek tym panom kardynałom przed nią, której pod przewiną grzechu nie lza wysłuchać tego. I spytała tylko:

— Lecz jak tę brać przemienić?

— Jak? Precz dać, ku wiatrom!

— A któż oficja śpiewać będzie w nie-szporach?

— Któżby?...
 Rzekł i popatrzył.

— — —
 Chełtający kapicą, biegł Polikarp ku braci,
 a ręce swe tarł. Nie z ziąbu tarł, a z pociechy.
 I zaraz prezbiterów w ką jeden skrzyknął ku
 sobie, gdzie tak rozpoczął:

— Ilkoście to rozliczyli tych rozumów pana
 Boguchwałowych?

Sfukali go.

— Krętu, wętu dla zakrętu. Cóż nam one?
 Sześć ich było.

— Owoż powiem wam, że on i siódmy
 rozum ma!

Tu odpowiedział, co widział. Ażci w skok
 poszli bracia z tej nowiny słyszanej.

— Ops! ops! Witaj nam to!

— Tożci słodziuszek!

— Lele, dochcipny peregrinus!

— Aż i zmrugał się gallicus z hungarą!

— Jakiejby cięższej szukać przewiny, niemasz.

Mówiąc kładli potwarze i osławę, aż im
 Jarnołt przerwał te pociechy:

— Teraz nam dojsć potrza, co tam oni oboje
 pod cieniem rozmówek duchownych czynią.

A Polikarpus:

— Czynią, czyli nie czynią, nie wiem, ale mój łeb w tem, że ta krzykwa jęta będzie i karcermistrzom dana. A przeto gonta z nieba nie spadnie, nie...



Od ośmiu niedziel prawie siedział tam w Sączu kantor pewien z Krakowa, choć stareńki, ale pracujący w żmudzie, aby siostrzyczki mniejsze *ad primum cantum* przysposobił. A to było w cichości wielkiej. Miał on tam z sobą rozliczne sprzęty gędziebne, któremi głoskę siestrzyński do śpiewu ustawiał.

Zrazu deszczynkę ujął, a z tej deszczynki rozmaite dzwoneczki i dzwonki zwisały: maluśki, mniejszy, większy i inne takie. Te dzwoneczki uderzał pałeczką w porządku, pannom zasię kazał piskać wedle. I tak było: wedle maluśkiego dzwonka Jachna śpiewała dokładnie a też słodziutko i Hanka druga słodkokwilnie. Wedle większych śpiewały Ofka, Mrochna i Krajna: cienko, grubo i średnio, jako zależy. Często-bronka piała twardo, jak surma, chwalebnie.

Potem je ten kantor na piszczałce próbował,

Porówni opiewały za nią głosem zupełnym. A tak wszystkie w chóralistki zaliczone były.

Staruch ćwiczący ustawnie to jeszcze wyjaśnił, jak te głosy osobne w zgodnym dźwięku pojednać, iżby stał się pospólny, jakoby z jednego gardziołka idący.

Więc je rozstawił na dwie strony w komnacie.

Jednym kazał cienko pisać, a to będzie dyskantus.

Inszym nierychło, smętnie, a to będzie górogłos.

Mrochna, Jachna i Ofka dyskantem wypuszczały.

Częstobronka, Hanka i Krajna opiewały górogłosem.

Rychło też pojęły, coby antyfona była, którą macie pisać sztucznie, naprzemianę to w jednym to w drugim zespole. Te poprzód, te za niemi, równiutko.

Po kantorze ksieni ducissa wzięła siostry swoje w dobrą i ustawną stróżę. Z psalterza swego, z łacińskiego wrażała im w pamięć wokabuły mądre, te, które do nony, do prymy i matutiny przydatne; które „kirlesz“ jest i jako pisać wzwyż i wzniz to słoweczko krótkie: „alleluja“.

I tłumaczyła słowem przyjemnem, co z tego. Żeby pilnie robotowały w rzeczy owej!

— Bo ten wasz przyśpiew ku gwiazdom popłynący będzie. I staniecie jakoby druchny serafinów, aniołów świętych! I też wywyższą was te pienia! I też polepszą!

Czuły siostrzyce podsyte duchową, od rozśpiewu idącą, i pełniły w pokwapie kaźń tej ksieni dobruchnej i kaźń kantora starego.

On zasię stanął przy pulpicie z laszczką i pergaminkiem w ręku.

Na pergaminku linijki były czerwone, napozdłuż po pięcioro w rządku. A na tych linjach czerwonych i pomiędzy siedziały tam i sam czarne kostki, większe i mniejsze. Kantor mówił, że te większe „gółki“ są, a te mniejsze „ognatki“. Wedle tych gólek i ognatek kazał głosu dobywać. Owoż i dobywały!

A tak i w psalterji rozumne stały się i w kantyku, a też i do śpiewomszy z okrasą gotowe, gdybyż tylko lza im było głosem śpiewać w kościele!...

Brat Boguchwał, rad w sercu swoim, podsycał siostrę Cunegundis w tym uczynku żmudnym, przydatnym. Boć dotychmiast krzywota polskim kla-

ryssom dzieje się i nieme siedzą w kościółku. Wierę insze śpiewają: w Damjanie śpiewają i Bolonji, w Niemcach i w gallickich krainach, powszędy. Niechże i sądeckie naumiałe będą, *cantantes!* Wtedyć pójdzie z klasztoru prośba do prowincji, aby brać zbyteczna precz oddalona była. A tak domek ten w spokoju ostanie bez skazy! Więc pytał Boguchwał bywszą ksienię, czyli pilnie się uczą tych świętych, króla Dawidowych kantyków, i czy rada jest temu śpiewnemu tonowi, jenz rozjaśnił klasztorok powszędy. .

Dała mu słuszność najgorętszą, ale widno coś w myślach chowała jeszcze. Coby chowała, pytał.

Więc Cunegundis:

— Owoż nie wiem. I chciałabych rzec przed wami i nie lza mi. Te tam kantyki z psalterji cudne są. Cudne, święte i regułce powinne. Alić nie te... Bo mowa ich jakoby umarła. Inszej chciałabych!... Jąż piałby siostry moje. Chiałabych — pieśni...

Boguchwał, nie mówiąc, uskoczył najradośniej i rączo grzebał w librarji swojej.

— A toż dam wam, dam, pienia najprzedniejsze wynajdę...

I dobywał z deszczek różne opuskuły śpiewalne. Były tam wszelkie sekwencje Balbulusa, i świetnodźwięczne hymny Adama Victora, i wymyślne jubilacje w neumach ułożone, i pienia ambrozyjskie, i *historiae rythmatae*, a też bolesna „Passio S. Adalberti Martyris“, a też i antyfona o św. Hedwidze z Trzebnicy.

Ale na dziwy, nie była wśród nich wszystkich ni jedna, którejby chciała Cunegundis.

Boguchwał nie pojmował:

— A toż śpiewalnej pieśni chcecie i chórowej? Owszejki są tu różnodziwne.

A Cunegundis w ognjach:

— ...Inszej mi potrza... inszej chciałabych. Nie aby w twardą uwięź łaciny schowana była, nie!

Z mowy żywiącej niech będzie, z niniejszej pospolitej mowy naszej.

Niechby ją siostry moje nie z pergaminku piały, a z serca.

Które, słów nie pojmując, sucho pieją z psalterji.

A ma być ta pieśń z tej ziemi urodzona od nas, od nikogo inszego, pierwsza Bogu śpiewana!...

A tamten mocno zdziwiony:

— Coże to? Wierę kantyku wulgarnego chcielibyście? Śpiewek?

— Owoż.

— A toż śmiałość, wielika śmiałość! Chórom kościelnym chcecie przyzwolić śpiewki wulgarniej? I tak myślę, siostró, żeby wam tego w prowincji nie odpuścili. A też powiem, że i panna Klara święta sama jedną psalterję łacińską śpiewała z dziewicomą swyma.

— ...Jakąż zaś ta jest, którą po dziesiątym na dzień odprawiacie. Ta „słoneczna“? Takiej pragnę.

Któraby w słówku polskiem wyobrażona była.

W temże, twardo dźwięcznem, krzywogłowym słówku.

I w naszej mowy szyk ułożona, aby przez nie, przez słówka, dosięć mogła powszędy.

Niechta ją nawet pachoł klasztorski posłyszysz i pojmie...

Boguchwał poszerzał oczy swoje zdumiałe. I patrzył na mówiącą, tak jako nigdy wpierw. Wzruszyła mu w sercu myśli najtajniejsze, w głębi zakopane.

Ducissa dalej wołała:

— ...Niech ją i siostra pojmie, i służebna. I też ten Pietrek umarlina. Niech do maluśkich

w oddal bieży, do bosych, do kmiących chycz i włókitów, którzy pojną słowem i sercem, pochwyca tę pieśń, z tejże co oni ziemi urodzoną.

Wy zaś mi ją złożycie w cudnem słóweczku, nikto a wy, bracie Boguchwale!...

Jemu zaś, na dziwy, oczy łąą zaszły i tak szepiutał:

— Ja miałbych, ja... Tenże isty, który wpierw w tym szyku składałem fryjowne śpiewanki i wiły łaskotliwe. Czyliżem godzien tylko — myślicie?

Tem swoim okiem szmaragowem spojrziała Cunegundis prosto w oczy Boguchwała. I już w porozumieniu zbieżeli się oboje.



żeśmy nie winowaci są, na to i przy sięgę damy tu zaraz do rąk wielebności waszej!

...Tak oni wołali, Jarnołt i Szczygieł z Polikarpusem, w strachu, w okropliwym trzęsący, pokuleni.

Bo tak im przyszło, że przed sądem srogim stali. A ten sąd w dormitarzu odprawiał się.

Z Krakowa zjechał na klasztor wielebny inkwizytor prowincji.

K niemu teraz wołali i prosili się.

A ta przewielebność nie powiadała nic. Ino głęboko siedziała w obfitej kapicy swojej, zmrzywszy oczy świdrujące, złożywszy ręce twardepalce. Pyłgocąc, poglądali braciszkwowie na stolec karzący, kędy błyszcząca ciężka w klamrach i zawiasach ewangelja i rejestry przysiężne, i haniebne szyjnice z konopi, i kłódki do ukarania wolności, i goły miecz, gdyby kto ostał w głowie winowaty.

A to klasztorzek paniński był, jenz pozywał tę brać niedobłą przed duchowny sąd, prosząc wyroku w gorącej potrzebie.

O sromotę pozywał, o niecną osławę i naśmiewisko. Użałał się i zaszczyty szukał.

Bo tak zdarzyło się, że ci bracia w dzień święta wielkiego zerwali ofiarę mszalną w ołtarzu i ostawili w grzechy siostry niewinne, a to był grzech niewysłuchanej ofiary.

Zaraz przewielebny inkwizytor do opytek wziął się i skrzyknął, który winę czuje?

Wtedy Jarnołt postąpił, rzekąc: otom jest!

Zaraz rozkazane mu było, aby wyznał jak stało.

Wyznawał, że tak było. W owe święto wielkie, gdyż na półzegarzu chwila trzecia była, wyszedł on w ołtarz ze śpiewomszą, jako należy. W panińskim chórze siostry szeptały, w brackim śpiewakowie odpisać mieli hymny niejaki, odpowiednie. Na kościele prezbiterowie siedzieli w stołkach; służebni bracia w okręgu ze świecami modlili. A to było najpobożniej: Bogu na chwałę, czartu na pohybę, klasztorowi temu w użytek.

W też to chwilę, gdy śpiewakowie w hymn uderzyć mieli, stanęła gańba niesłychana. Z chóru

panieńskiego rozruch poszedł, a za rozruchem śpiew. Które milczkiem siedzieć powinny, piałły! Które cichcem paciorki mruzczeć, gardłem śpiewały! Bez znaku uprzedniego, we dwunaście głosów w antyfonie, przeciwek słowom Pawła apostoła, przeciwek regułce mniejszej grzeszące. A bywsza ksieni i ducissa z niemi tak samo wraz!

— Kiedym to usłyszał jest, — tak Jarnołt wyznawał — zerwę ofiarę i precz uciekłem w obawie grzechu. Abym nie pogrzeszył, słuchający kantyku wulgarnego. Wierę inna rzecz też sromotna stała się i haniebna...

Nie wiedzieć, jaki Jarnołt zamysł w tem słówku miał. On zasię już zaczął jawną bitwą walczyć i wydał z ust krzywe świadectwo. A to przeto, aby stoczył winę swą i zasłonił lichotę, i też, ażeby był pohańbicielem bywszej ducissy, ninie pokornej siostry Cunegundis.

Więc tak wołał ten chytrus:

— Wydajcie osąd, wielebności wasza! Abo-wiem w plugastwo popadł klasztor ten. I żywie między nami nieczysty anioł w ukryciu! Bo tak wszyscy wiemy i świadczymy, jako ten pan brat Boguchwał, z okrajów inszych przybyły — fryjerz

tajemny jest. I słusza, aby jęty był i winą potępiony!

Słowem rażona przewielebność poruszyła się i słuchała pilnie.

A Jarnołt mocy nabrał:

— Onci to z niektórą Bogu ślubioną siostrzycą usta w usta rozgwarza; w księgach potajemnie czyta i kantyki wulgarne składa. A ta siostra Cunegundis jest z imienia swego!

Na tem zamknął i dodał, że na insze brat Polikarpus rękojmię da, aby prawda wątpliwości nie miała. I hnet Polikarp wystąpił. Jakoś on ninie mdło pozierał i nieco podciepnie, w obliczu swoim zmięty i żółt, jako figa dławiona. Owszejki błyszczał jadem i chytrością.

Przewielebność pytała go nagabliwie.

Wypowiedział, jako okiem własnem widział pannę ksienię do Boguchwałowej chaty wchodzącą, którzy tam oboje grzech wspólny uczynili.

A przewielebność:

— Azali przysięgniesz na tę ewangelję Bogu jednemu, iżes ich widział czyniących?

Zmętlil się chytrus, ale wysupłał:

— Jako widziałem, przysięgnę!...

Podsunięta mu była księga od klamer i za-

wiasów ciężka. Złożył tam dwa praworęczne paluchy i powtarzał:

— *Sic me magnipotens Deus adiuwat!*

I zaraz dołożył:

— A jeśli raczycie, to i w tę chwilę ułapić możemy tę siostrę na sekretnym pogwarku z galli-cusem!

Brat inkwizytor spojrział się, pomyślał i przyklasnął.

Poszli zaraz, aby ją ułapić: wielebny sędzia, z nim przeor i Polikarpus.

We ómach bieźeli, w zupełnych, człapiąc haniebnie po wiosennych roztopach, po łąchwach pola roztajanego. A gdyż chatynki panien bliskie im były, przycichli.

Jakoby obrzezani żydowie, którzy nocą brata swego uświerkłego wloką, aby go pogrześć w kirkucie i patrzą w strachu przeciwności od źaczków nie-miłościwych, tak oni postępowali, chąziebni, przy-czajeni, bezgłośni.

Ten jeden, jenż tam mocen był wnijsć, inkwizytor, pierwszy, z urzędu swego próg przestąpił. I zagnała przypadłszy, we wierzeje kułakiem uderzył, raz, wtóry i trzeci. Na nic. Zaparł się mocno, sapnął, wyłomił łańcuchy. Wszedł.

A wtedy stała się rzecz wielika i dziwna!

Z komnaty wypadł i postąpił ku nim blask...

I całą przysień zagarnęła powszędy jasnota nieogarniona, nieogarniona!

Lepiona komnata płonęła zgorzelą ognia błyszczącego i jaśniej tam w niej pokazywało się nad dzień biały.

A szły te poblaski wszystkie od srebrnej figurki świętego Franciszka, która tam była w ołtarzyku.

Wielkie poblaski z figuryнки maluśkiej, z niej jednej.

Jakoby w złocie roztopniona, w srebrze rozjarzona, wydawała odwszędy blaski, a ze srebrnego serca płynęło ich najwięcej!

W klęczkach u stóp ołtarzyka klęczała wmodlona Cunegundis.

W jasność świetlistą spowita, jakoby w swój jeryz biały.

Ta, jaż w osławę i potwarz przyoblec chcieli!

Z srebrnego serca strugałki wynikały k niej te promienie naprost i do głowy rozwitej płynęły. Jedne, drugie, nieustanne.

I kręgiem ją opływały, zbiegając się nad włosami w koło jedno, jasnogorące i złote.

W tejże jasności, w tejże światłości kłę-
 czała. Nie było widać oczu, nie było widać lic.
 Jeno jakoby jej ten pan blaskotwórca promion
 swoich użyczał i na nią otęcze swoje kładł.

Srebrna była i złota, błogowonna i biała.

Chyba i mówić tam do niej musiał święty
 śpiewak z ołtarzyka, bo mu co nieco odpowia-
 dała głosem.

Cała w różańcach, w posłuchu, w zaświecie.
 Dzięki czyniąca. Nawszerz blaskomiotna.

Jakoby zaświat daleki odpoczywał nad nią.

— — —
 A ta przemoc świetlista potępiła trzech braci,
 u przydźwierza stojących.

Zatrzasnęła ich oczy, przeraziła ich myśli.

Inkwizytor wielebny dłonią nakrywał wiel-
 możne oczka swoje.

Omamiony, zgłupiały patrzył w dół Jarnołt.

Blasku strzymać nie mogąc, rozpostarty padł
 o ziem Polikarpus.

Ani skomlił, ani rzeżał — krom plamy, krom
 znaku i poruszenia, padł już nieżywy.

Widno tem srebrnem powietrzem zabit i tym
 promieniem gorącym, który z serca dobrego ku
 nieśmiłościwemu wpadł..



dniu wiosnym działa się, w czas siejby lnu. W zielonej postawie stanęła klasztorna posada. Na pólłanach, na kmiecych usiadła wiosna, dobra macierz kwiatuszkom, i wywoływała na ziem zawilce, przylaszczki i trawy.

U niebieskich bierzmi wisiały obłoki, rade słońcu już prawie ostatniemu.

Z kościołka sądeckiego wybiegł w pole śpiew.

Nie ten zwyczajny, nieszporny — inszy śpiew.

Wiotki był, wysmukły, ptaszęcy, pierworodny był, paniński.

Z chóru wybiegłszy, poszerzał się.

Przez rozwarte wierzeje uchodził w pole.

I piął się wzwyż ku więziom dachowym, zdziwionym.

Jak płowe pierwiośnie, z śniegu wyjrzałe, rozkwitała w tym śpiewie — pieśń...

Błoga, swadziebna, pierwsza pieśń tym cudem świetlnym ducissy pozwolona, z tego cudu wynikła.

Nie z pergaminków zgrzybiałych, — z mowy żywiącej pospolitej, polskiej wysnuta.

Po krzach rozkwitłych przyklasztornych i dalej po zielonej przestrzeni wiosnego dnia ganiały się słówka - motylki:

*Zdrowaś — gwiazdo — morska
Uliczko — niebieska...*

Jako wietrzyk majowy lelejała nieco, znów jak wichrek szumiący chełściła skroś gałązek, sama zdziwiona tym swoim składem nowotnym:

*Rozwiąż — zawiązane —
Oświeć — zaślepione —
Odpędź — nasze — złości...*

Truchlutka zrazu, potężniała potem; już szumna, już pełnym wichrem wiejąca:

*Tyś — radość — anielskich — chorów
I — świętość — niebieskich — zborów
Tyś — uciecha — wszego — świata
Tyś — ustałych — moc — i — siła...*

W nadszczyty biegła, ku gwiazdom, na łany
pola niebieskiego, wysoko.

I zasłyszeli ją wszyscy, których chciała Cu-
negundis.

A też pachowały i włókity bosc.

A też dzwonyzki kwiatki i na siedlach le-
śnych ptaszynki.

A też gadziay lotne, pływające.

Abowiem z ziemi swojej, z mowy żywej szła!

Przetoż radowała się.

I był w niej, w tej pieśni jakoby śpiew
triumfu chwalebneho, był wykrzyk żywota roz-
głośny.

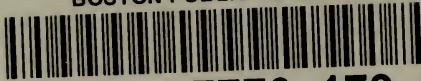
Ku pokoleniom dalekim kędyś biegł, w czasy
inne, przyjdące. Bieząc tężał, wzmagął moc i rósł —
aby ziemi na siłę, aby mowie na zetrwanie.

W chórze panieńskim, w wieńcu sióstr śpie-
wających klęczała w tęż to chwilę bywsza ksieni-
ducissa i na dal wiekową posyłała myśli.

W tęż to chwilę nieszporną szedł człek
niejaki w kapicy. W okraje dalekie odchodził.
A to był pan brat Boguchwał, tej pieśni twórca.



BOSTON PUBLIC LIBRARY



3 9999 07770 179 3



